

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ

Nr 4/547

1993



• *« La Culture » • Revue mensuelle •*

J. M. BOCHEŃSKI: **CO TO ZNACZY BYĆ
POLAKIEM?**

Z. P. ZAGÓRSKI: **DZIEDZICTWO CZARNOBYLA**

L. UNGER: **JAK WYŚPIEWAĆ REWOLUCJĘ
NIE WZBUDZAJĄC PANIKI W MOSKWIE?**

K. WOLICKI: **TEMAT NA WYROST**

SPIS RZECZY

J. M. Bocheński:	<i>Co to znaczy być Polakiem?</i>	3
Zbigniew Paweł Zagórski:	<i>Dziedzictwo Czarnobyla</i>	19
Agata Tuszyńska:	<i>Uczniowie Schulza</i>	31
WIERSZE		
Wacław Iwaniuk:	<i>Czapski; - Wieża śmierci w Toronto; - Pewność</i>	45
Krzysztof Jeżewski:	<i>Oda do kota</i>	48
ARCHIWUM POLITYCZNE		
Leopold Unger:	<i>Widziane z Brukseli i z Tallina</i>	49
Józef Garliński:	<i>List z Londynu (27)</i>	65
KRAJ		
Krzysztof Wolicki:	<i>Temat na wyrost</i>	70
Smecz:	<i>Z ukosa</i>	76
SĄSIEDZI		
Mirosław Czech:	<i>Polska i Ukraina — działanie i roz- mowy</i>	86
Roch Kowalski:	<i>Sezon na Polaków</i>	98
Berlińczyk:	<i>List z Berlina</i>	103
Adam Kruczek:	<i>Notatki rosyjskie</i>	107
—	<i>Wschodnia szkoła letnia</i>	113
KRONIKA KULTURALNA		
Teresa Halikowska-Smith:	<i>Powrót do płynności czasu (Rozmowa z Ewą Hoffman)</i>	115
Dorota Kudelska:	<i>Malarstwo Myrosława Jahody</i>	120
—	<i>Komunikat Fundacji Pomocy Bibliotekom Polskim</i>	124
O JÓZEFIE CZAPSKIM		
Mirosław Adam Supruniuk:	<i>Trzy „podróże” Józefa Czapskiego do Polski</i>	125
Bohdan Osadczyk:	<i>„Oddychać razem”</i>	133
KSIĄŻKI		
Włodzimierz Odojewski:	<i>Obym się mylił!</i>	135
Rafał Węgrzyniak:	<i>Poznański Przegląd Teatralny</i>	138
Leszek Szaruga:	<i>Pożytki płynące ze szperania w gazetach</i>	141
Anna Frajlich:	<i>„Wietrzne miasto” pod znakiem mani- festu</i>	144
Maciej Niemiec:	<i>Izraelskie „Kontury”</i>	146
Andrzej Vincenz:	<i>Huculszczyzna</i>	150
—	<i>Nadestane nowości wydawnicze</i>	151
•		
—	<i>Wydarzenia miesiąca</i>	154
•		
Z. R. Grabowski, Z. Stan- kiewicz:	<i>Listy do Redakcji</i>	158
—	<i>Odpowiedzi Redakcji</i>	160

Varsovie W006

KULTURA

Szkice • Opowiadania • Sprawozdania

PARYŻ Kwiecień/Avril 1993

INSTYTUT  **LITERACKI**

WPLATY NA FUNDUSZ «KULTURY»

Bronisław Baczko, Genewa, zamiast kwiatów na grób Michała Wróblewskiego	F. 300,00
N. Barakoński, Sherman Oaks, CA (USA) — po raz 23-ci — dol. 21,00	F. 116,00
Wiesław K. Brodowski, Spartanburg, SC (USA) — zamiast bukietka fiołków na grób Wielkiego Rotmistrza Józefa Czapskiego — dol. 50,00	F. 275,00
W. Iwanowski, Milton, MA (USA), po raz 33-ci — dol. 13,00	F. 72,00
Jadwiga Juchniewicz, Lugano (Szwajcaria), po raz 17-ty	F. 121,50
Walter Łuszczak, Thunder Bay, ON (Kanada) — po raz 17-ty	F. 86,70
M.I., Michigan (USA) — po raz 9-ty — dol. 1.000,00 ...	F. 5.500,00
Grażyna i Krzysztof Pomianowie, Antony (Francja)	F. 400,00
Andrzej i Irena Pleszczyńscy, Santa Barbara, CA (USA) — dla uczczenia pamięci stryjecznego brata, Stanisława Pleszczyńskiego, zmarłego w styczniu 1993 r. w Lennoxville, PQ (Kanada) — dol. 100,00	F. 550,00
Prof. Ihor Sevchenko, Cambridge, MA (USA) — dla uczczenia pamięci Józefa Czapskiego — dol. 100,00	F. 550,00
Aleksander Kostrzanowski, Mermaid Waters, Qld (Australia) — zamiast kwiatów na grób Stanisława Kobierskiego-Nowaka, zmarłego 20 stycznia 1993 r. w Brisbane (Australia)	F. 200,00
Anonimowo — czytelnik z Warszawy z symbolicznym podziękowaniem za 38 lat lektury	F. 500,00

DZIĘKUJEMY

Jan Zalewski, Chester, (Wielka Brytania) — na pomoc dla Polaków w Rosji — £ stg. 20,00	F. 160,00
----------------------------------------------------------------------------------------------	-----------

Co to znaczy być Polakiem?

Poniższe rozważania mają na celu sprecyzowanie sensu określenia „X. jest Polakiem”. Można je uważać za filozoficzne z dwóch względów: 1. Filozofia zajmowała się zawsze przygotowaniem dociekań naukowych, jeszcze nie istniejących, zwłaszcza gdy chodzi o analizę pojęć. Otóż istnieje bardzo niewiele studiów naukowych dotyczących naszego przedmiotu. 2. Jest rzeczą filozofa dokonywać syntezy danych należących do różnych dziedzin. Otóż, aby móc na nasze pytanie odpowiedzieć, potrzeba informacji z dziedziny historii, językoznawstwa, literatury i różnych gałęzi socjologii.

Nacisk będzie położony tutaj nie na dociekania doświadczone, ale na analizę pojęć. Dane empiryczne użyte w tym studium zasługują zapewne na nazwę banalnych, wszystkim dobrze znanych (aczkolwiek naukowo przeważnie nie zbadanych). Jeśli podjęto się trudu ich zestawienia, to dlatego, że posiadanie ich razem wydaje się nie być bez pożytku*).

I

Przyznanie się do polskości jest przyznaniem się do narodu polskiego, zakłada więc pewne określenie tego narodu, bo aby przyznać się do czegoś, trzeba wiedzieć, czym to coś jest. To zakłada z kolei przynajmniej szkicowe określenie pojęcia narodu w ogóle. Wypada nam więc na wstępie szukać odpowiedzi na dwa pytania: 1. Czym jest naród? 2. Czym jest naród polski? Wbrew temu, co można by sądzić, oba są trudnymi pytaniami.

* Autorowi chodzi także o sformułowanie jego odejścia od ideologii nacjonalistycznej, której był wyznawcą za młodu.

1. *Złożoność pojęcia narodu.* Aczkolwiek poczucie solidarności narodowej sięga w Europie XVI wieku, pojęcie narodu powstało, jak się zdaje, dopiero w XIX wieku, a mianowicie w narodach, które nie miały wówczas własnego państwa, to jest na kontynencie europejskim w Niemczech, Polsce i we Włoszech. W innych, np. we Francji, nie było znane aż do drugiej wojny światowej — tym mniej można o nim mówić w innych częściach świata. Pierwsza znana autorowi międzynarodowa dyskusja na temat tego pojęcia miała miejsce w r. 1922.

Tym tłumaczy się być może fakt, że nie istnieje powszechnie przyjęta definicja narodu. Definiowano go przez wspólny członkom odcień obyczaju, a więc moralności (o. Woroniecki), odcień kultury, ostatnio przez wspólną ideologię (Lehmann). Wszystkie te definicje zawierają wprawdzie część prawdy, ale żadna z nich nie jest adekwatna. Żadna nie uwzględnia też dwóch ważnych faktów dotyczących tego słowa.

Jeden z nich to różnorodność znaczenia, zależnie od kraju. Tak na przykład we Francji pojęcie narodu łączy się stale z pojęciem państwa — podczas gdy nic podobnego nie jest do pomyslenia np. na Łotwie albo w Armenii. W wielu krajach naród definiuje się po prostu przez język, podczas gdy w innych nie jest to możliwe ze względu na wielość języków narodowych (Szwajcaria) albo na wspólny język kilku narodów (Irlandia i Anglia).

Drugi fakt, to złożoność pojęcia i, co za tym idzie, postaw ludzkich odnoszących się do narodu. Niektóre spośród nich są biernie nabyte przez wychowanie w ramach danego narodu — np. przywiązanie do pewnego krajobrazu i pewnych obyczajów. Inne są przyjęte, przynajmniej częściowo, przez decyzję: przyznanie się do pewnej kultury i ideologii narodowej. Ich waga, znaczenie nie jest jednakowe. Tak np. uznanie pewnych zasad moralnych i określonej ideologii jest nieraz znacznie ważniejsze niż przywiązanie do krajobrazu. Nie mniej wszystkie odgrywają pewną rolę w pojęciu narodu i stosunku do niego.

Ten drugi fakt uniemożliwia definiowanie narodu przez jedną tylko cechę i prowadzi do rozróżnienia dwóch pojęć narodu: podstawowego albo ludowego z jednej strony, pełnego z drugiej.

2. *Podstawowe pojęcie narodu.* Naród jest zespołem, grupą ludzi. Tym samym jest przedmiotem realnym, jednost-

kowym, a nie idealnym, ogólnym. Ten zespół jest zawsze związany z pewnym krajem. To związanie nie ginie w wypadku wychodźstwa: wychodźca czuje się związany z krajem ojczystym tak długo, jak długo uważa się za członka danego narodu. To jest bodaj jedyna cecha wspólna wszystkim narodom. Inne znajdujemy tylko w pewnych, ale nie we wszystkich narodach.

Na pierwszym miejscu wypada wymienić tutaj znajomość języka narodowego i przywiązanie do niego. Tej cechy jako charakterystyki narodu brak tylko tam, gdzie istnieje wielość języków narodowych, albo język wspólny paru narodom. W przeważającej liczbie innych narodów jest to jednak, obok stosunku do kraju, cecha najbardziej powszechna.

Wreszcie należą tutaj obyczaje i swoisty odcień moralności. Do obyczajów należą m.in. pieśni i obrzędy — np. na Boże Narodzenie — i u wierzących także obrzędy religijne odprawiane na sposób przyjęty w danym kraju.

Ten zespół cech — stosunek do kraju, mowa i obyczaj — charakteryzuje naród w podstawowym tego słowa znaczeniu. Można by nazwać to pojęcie narodu „ludowym”, jako że masy jego niewykształconych członków pojmują naród w ten właśnie sposób. Rota Konopnickiej wymienia dwa pierwsze i najważniejsze składniki tego pojęcia:

*Nie rzucim ziemi skąd nasz ród
Nie damy pogrześć mowy...*

3. *Pełne pojęcie narodu.* Obok tego podstawowego istnieje także inne, bogatsze pojęcie narodu, zawierające razem z wymienionymi inne składniki, w szczególności historię, kulturę i ideologię danego narodu. Przez „ideologię” rozumiem tu (z Lehmannem) zespół poglądów i wyobrażeń określających rolę danej grupy ludzi w dziejach ludzkości. W ludzkich postawach odpowiadają tym cechom narodu ich znajomość i przynajmniej częściowo dodatnia ocena, połączona z przywiązaniem do tak rozumianego narodu. To pojęcie, które nazwę „pełnym”, znajdujemy tylko w jego inteligencji, względnie elicie. Normalny, wykształcony członek narodu zna je lepiej niż cudzoziemiec i umie lepiej ocenić ich dodatnie strony. To nie znaczy, że pochwała w nich wszystko. Jego ocena bywa zróżnicowana, zwłaszcza gdy w dziejach są różne okresy, w czasie których naród przyznawał się do różnych postaw kulturowych i różnych ideologii.

Jak dalece wymienione dwa pojęcia narodu się różnią,

świadczy następujący fakt. W czasie kryzysu bitwy pod Warszawą w r. 1920 włościanie mojej rodzinnej wsi Cuszów w Kieleckiem mówili na huk dział „nasi biją Poloków”. Równocześnie w inteligencji był powszechny zryw do obrony kraju i narodu. Różnica pochodziła z przyznawania się do narodu polskiego w dwóch różnych znaczeniach: podstawowym u czuszowskich włościan, w pełnym — u „Poloków”.

4. *Dwupiętrowość narodu.* Gdy chodzi o niektóre narody, położenie komplikuje się jeszcze przez istnienie, jeśli wolno się tak wyrazić, dwupiętrowego pojęcia narodu. Takie pojęcie znajdujemy całkiem jasno w dawnej Polsce i w Wielkiej Brytanii (Szkocja!) a być może także gdzie indziej.

W Polsce naród dwupiętrowy powstał skutkiem stworzenia Unii Lubelskiej Rzeczypospolitej Obojga Narodów. Równoległe do federacji dwóch państw powstał także naród drugiego piętra, w szerszym tego słowa znaczeniu, którego państwem była właśnie owa Rzplita. Słowo „Rzeczpospolita” odpowiada w tym kontekście nie francuskiemu *république*, ale angielskiemu *commonwealth* i powinno być tłumaczone przez „wspólnota” albo wyrażenie podobne. Stosowanie go do współczesnej Polski polega więc na nieporozumieniu.

Brakło niestety terminologii dla wyrażenia dwupiętrowości w pojęciu tak powstałego narodu. Jednym ze skutków tego braku jest dwuznaczność wyrażenia „Polska”. Oznacza ono bądź Polskę etnograficzną, to jest Koronę, bądź Rzplitą jako całość. Podobna dwuznaczność obarcza nazwę „Polak”, która może oznaczać albo członka pierwszopiętrowego narodu polskiego, Koroniarza, albo członka drugopiętrowego narodu Rzplitej, który mógł być Litwinem albo Rusinem.

Obecnie, mimo zniknięcia drugiej Rzplitej pojęcie dwupiętrowego narodu nie straciło bynajmniej znaczenia, zwłaszcza gdy chodzi o dyskusje historyczne.

II

1. *Pytania.* Pytanie „co znaczy być Polakiem?” może więc odnosić się najpierw do narodu bądź w podstawowym, bądź w pełnym znaczeniu. Ale stawianie pytania w pierwszym rozumieniu nie jest celowe i to z dwóch powodów. Najpierw dlatego, że określenie kto jest Polakiem w tym znaczeniu nie napotyka na żadne trudności — wiadomo kto ma pozytywny stosunek do kraju, mowy i obyczaju. Po dru-

gie dlatego, że to nie masy ludowe, ale elita rozstrzyga o zachowaniu się jej narodu — a dla elity istotnym składnikiem pojęcia Polaka jest stosunek do kultury i ideologii. Celowe będzie więc nasze pytanie pojmować w sensie „być Polakiem znaczy dla wykształconego przyznanie się do jakiej kultury i ideologii?” Wobec ścisłego związku, jaki zachodzi między tymi dwoma składnikami (np. w wypadku tolerancji) będziemy je omawiali razem.

2. *Rola decyzji osobistej.* Przyznanie się do określonego narodu jest wprawdzie uwarunkowane przez okoliczności niezależne od woli jednostki np. przez miejsce i chwilę urodzenia — ale jest także rzeczą osobistej decyzji. Ta decyzja może występować nawet w stosunku do narodu w podstawowym znaczeniu, mianowicie wtedy, gdy ktoś wynaradawia się, porzucając nawet przywiązanie do kraju i mowy. Przede wszystkim jest ona jednak potrzebna gdy chodzi o naród w pełnym znaczeniu, czyli o kulturę i ideologię, do której ktoś się przyznaje.

3. *Możliwe odpowiedzi.* Nasuwa się tutaj najpierw pytanie 1. czy kultura itd. o którą chodzi jest historyczna, to jest czy rzeczywiście żyła względnie żyje w narodzie — czy też chodzi o zerwanie z tradycją i przyjęcie czegoś całkiem nowego? Następnie, w razie wyboru ideologii historycznej, decyzja musi dotyczyć co najmniej dwóch spraw: 2. tam gdzie naród posiadał kolejno różne ideologie i kultury, które wykluczają się wzajemnie, przyznający się do niego musi rozstrzygnąć, które spośród nich chce uważać za swoje. Konieczna jest też 3. decyzja co do stopnia w jakim wybrany ideał narodu ma być historyczny, wierny rzeczywistości.

a) Wypada więc najpierw rozstrzygnąć, czy się chce przejąć jakąś tradycję, czy też stworzyć nową. Pytanie robi wrażenie absurdalnego, jako że w pojęciu przyznania się do czegoś zdaje się leżeć istnienie tego czegoś przed aktem przyznania. Widocznie nie jest jednak całkiem absurdalne, skoro wielu współczesnych Polaków zdaje się odrzucać wszelkie związanie z tradycją i chce Polski całkiem nowej pod względem ideologicznym i kulturowym.

Logiczna struktura tej postawy jest prawdopodobnie następująca: zakłada się przyznanie do narodu w podstawowym znaczeniu, to jest do kraju, języka i obyczaju. Tę narodowość chce się następnie uzupełnić przez nową ideologię i kulturę.

b) W razie wypowiedzenia się za wiernością tradycji, tam, gdzie w dziejach danego narodu znajdujemy wielość kultur i ideologii, nasuwa się pytanie „jakiej tradycji?”

c) Wobec tego, że żadne ludzkie rozumienie przeszłości nie jest całkowicie przedmiotowe, obraz narodu do którego się przyznajemy jest zawsze przynajmniej częściowo mityczny, to jest stworzony przez nas. Aby tylko jeden przykład przytoczyć, większość Francuzów jest przekonana, że ich naród był i jest wyjątkowo tolerancyjny — podczas gdy w rzeczywistości od nocy św. Bartłomieja, poprzez mordy rewolucyjne, aż do wydania Niemcom dziesiątek tysięcy Żydów na śmierć, ten naród dawał prawie stale przykład nietolerancji.

Stwierdzenie częściowo mitologicznego charakteru każdej ideologii, każdego obrazu kultury, nasuwa dość trudne zagadnienie stosunku składnika historycznego przyjętej kultury do jej składnika mitologicznego. Bez tego ostatniego obejść się nie możemy — ale historia uczy, że mity narodowe prowadzą nieraz do skrajnie nieracjonalnych postaw. Żydzi wierzą, że są narodem wybranym, Niemcy, że ich naród to *Herrenvolk* powołany do rządzenia innymi, Serbowie, że ich naród jest największy w świecie itd. Stąd ważny postulat: Przyznając się do określonego narodu należy baczyć, by mitologiczny składnik tego przyznania był jak najbardziej ograniczony.

III

Po tych ogólnych rozważaniach możemy przystąpić do analizy wypadku polskiego. Polacy posiadają swój *własny* język, którym nie mówią członkowie żadnego innego narodu; posiadają też tylko *jeden* język, a nie wiele, jak Belgowie i Szwajcarzy. Określenie, co znaczy być Polakiem, jest więc o tyle ułatwione. Ale gdy idzie o ideologię, zagadnienie nie jest pozbawione trudności.

1. *Zerwanie z tradycją.* Pierwsze pytanie, na jakie trzeba nam odpowiedzieć, brzmi: czy naród, do którego współczesny myślący Polak się przyznaje, może być pojęty jako zrywający z całością dawnej polskiej historii, kultury i ideologii?

Zdaje się być faktem, że niejeden współczesny Polak chciałby zająć takie stanowisko. Przejawia się to najczęściej woli uzupełnienia podstawowego pojęcia narodu nie przez ideo-

logię zaczerpniętą z przeszłości polskiej, ale przez wierzenia „zachodnie”, w szczególności amerykańskie.

Wypada jednak stwierdzić, że myślącemu Polakowi nie jest łatwo przyjąć taką ideologię. Zakładałoby to wyrzeczenie się przywiązania do polskiej historii i kultury — to jest do Polski o którą Polacy walczyli w ciągu wieków. Zakłada także, że wchodząc do Europy Polska nie wniesie niczego poza swoim krajobrazem i językiem, które, bądźmy szczerzy, nie interesują nikogo prócz samych Polaków. Zakłada wreszcie, że myślący wykształcony Polak jest w stanie wyrzec się swojego przywiązania do kultury, literatury itd. w których wyrósł i którymi duchowo żył dotychczas. Otóż to wszystko jest wprawdzie możliwe, ale wysoce nieprawdopodobne.

Narzuca się więc wniosek, że pierwsze rozwiązanie naszego zagadnienia — zerwanie z tradycją — nie jest dla myślącego Polaka możliwe. Być Polakiem w pełnym słowa znaczeniu musi więc polegać na przyznaniu się do jakiejś polskiej tradycji kulturowej i ideologicznej.

2. *Wielość tradycji.* Ale naród Polski należy do tych, które w ciągu swoich dziejów przyznawały się kolejno do paru różnych ideologii.

Można mianowicie rozróżnić pod tym względem trzy okresy: 1) klasyczny, obejmujący Polskę Jagiellońską i wiek następny aż do Sobieskiego włącznie, 2) saski i 3) porozbiorowy. Początek XX wieku i druga Rzplita (1918-1939) są okresem, w którym rozpowszechnił się i został rozbudowany nacjonalizm, przejęty w zasadzie z okresu saskiego. Nie jest to więc nowa ideologia, tym bardziej, że przyznawała się do niego tylko część inteligencji. Mimo to, aby być w zgodzie z przyjętą terminologią, mówić będziemy tutaj o ideologii „narodowej” względnie nacjonalistycznej.

O nowej ideologii i kulturze Polski pod ponownym jarzmem moskiewskim (1945-1989) i współczesnej trudno mówić. Trudno też uznać „kulturę” polskiego getta w Detroit czy Chicago za nowy etap w dziejach. Przyznając się do polskości ma więc wybór tylko między trzema ideologiami: klasyczną, porozbiorową i „narodową”.

2. *Eliminacja mesjanizmu.* Z tych trzech wypada jednak wyeliminować główną ideologię porozbiorową, a mianowicie mesjanizm. Jego centralną tezą jest twierdzenie, że naród polski jest „Chrystusem narodów” — jak On niewinny, cierpi straszliwie jak On, dla zbawienia narodów.

Przyjęcie tej postawy jest możliwe, co więcej, według moich informacji ideologia mesjanistyczna jest jeszcze wyznaczana w pewnych kołach katolickich. Wydaje się jednak, że normalny współczesny Polak nie może jej przyjąć. Jeśli się dobrze orientuje, głównym powodem tej niemożliwości jest rozpowszechnione obecnie pragnienie czynnej roli Polski. Istnieją jednak także inne argumenty przeciw jej przyjęciu. Ideologia Chrystusa narodziła się na stworzenie, musi więc wywierać na wierzących chrześcijanach wrażenie bałwochwalstwa. W każdym razie nie ma dla tej ideologii żadnej postawy w wierze chrześcijańskiej — a jej wyznawcy są z reguły wierzącymi chrześcijanami.

Skądinąd uderza czysto mitologiczny charakter mesjanizmu. Historia ludzkości jest, jak pisał Hegel, *Schlachtbank der Geschichte*, rzeźnią, nieprzerwanym szeregiem mordów na narodach. Naród polski nie jest bynajmniej jedynym narodem cierpiącym — wystarczy wspomnieć los Ormian i Żydów. W świetle wszystkiego, co wiemy, twierdzenie, że tylko Polska odgrywa rolę owego Chrystusa jest prostym wymysłem.

Z tych względów ideologia mesjanistyczna musi być wyeliminowana. Polak współczesny ma więc tylko wybór między ideologią Polski klasycznej i Polski okresu saskiego.

3. *Znaczenie ideologii saskiej.* Wymienienie ideologii saskiej w tym kontekście może wywołać zdziwienie, jako że powszechnie i słusznie uważa się czasy saskie za okres upadku. W rzeczy samej Polska przestała być wówczas przedmurzem Zachodu i poczęła odgrywać rolę forpoczty Wschodu. Stwierdzamy tym samym ówczesne odejście od zasadniczych składników kultury i ideologii epoki klasycznej. Nie jest nawet pozbawiona prawdopodobieństwa hipoteza, że utrata niepodległości była skutkiem tego zerwania z niemal wszystkim, co stanowiło ideową ośnowę Polski klasycznej.

Ale wśród składników kultury i ideologii tego okresu znajdujemy jeden, który miał mieć trwałe znaczenie: nacjonalizm, przejawiający się m.in. we wrogości do wszystkiego co obce. Jest to o tyle ważne, że stanowi zupełnie przeciwieństwo Polski okresu klasycznego, a zarazem jest uderzająco podobne do postawy narodowców XX wieku.

Otóż ideologię tych narodowców można lubić, albo jej nie lubić, ale niepodobna przeczyć, że odegrała znaczną rolę w II Rzplitej. Toteż musi być wzięta pod uwagę, gdy chodzi o nasz wybór.

4. *Dwie ideologie.* Dzieje II Rzplitej charakteryzuje spór między federalistyczną i etnograficzną koncepcją Polski. Ma on przeważnie postać sporu politycznego, ale nietrudno dojrzeć poza nim starcie dwóch przeciwstawnych ideologii narodowych: klasycznej i „narodowej”.

Ten spór miał ujemne skutki dla II Rzplitej. Zwolennicy nacjonalizmu zmarnowali zwycięstwo nad Rosją i stworzyli państwo kompromisowe — za wielkie na Polskę etnograficzną, a za małe — na jagiellońską federację. Dalszy rozwój wypadków — Jałta — sprawił, że polityczny spór dwóch wizji Polski został, przynajmniej tymczasowo, rozstrzygnięty na korzyść nacjonalizmu: jagiellońska federacja nie jest obecnie możliwa.

Ale niemożliwość urzeczywistnienia zamiarów politycznych nie jest tym samym, co niemożność przyjęcia podstawowych składników ideologii — mimo klęski poniesionej przez federalizm polski nie ma powodu do uważania ideologii, której był wyrazem, za przeżyłą.

Wynika z tych rozważań, że współczesny Polak ma w dalszym ciągu wybór między dwiema ideologiami narodowymi, klasyczną i nacjonalistyczną.

IV

1. *Kultura Polski a Zachód.* Kultura Polski klasycznej pochodzi z Zachodu. Jej chrześcijaństwo przyszło z Czech i jest łańciskie, jej początkowy ustroj jest ustrojem późnego feudalizmu, jej filozofia późną scholastyką. Co więcej, Polska przeżyła przed Anglią wydarzenie stanowiące punkt zwrotny w dziejach Zachodu, a mianowicie spór o inwestyturę, w którym zachodni Europejczycy zdali sobie po raz pierwszy sprawę, że istnieje coś niezależnego od władzy państwowej: św. Stanisław (+1079) zginął w tym sporze niemal sto lat przed św. Tomaszem Becketem (+1170).

Toteż podstawowe prawa Polski klasycznej są nie tylko typowo zachodnioeuropejskie, ale są nieraz wyrazem zasad, które gdzie indziej w Europie zostały przyjęte dopiero później. Zachodnioeuropejska jest zasada praworządności (*neminem captivabimus*) i zasada równości (*szlachcic na zagrodzie równy wojewodzie*); parlament polski był jednym z najstarszych w Europie. W Polsce jagiellońskiej panowała nieznaną praktycznie nigdzie indziej wolność prasy: kanclerz Zamoyski powiedział posłom moskiewskim, że „w tej Rzplitej ksiąg drukować ani nakazujem, ani zakazujem”.

To wszystko — wyidealizowane przez ideologię — odnosi się oczywiście tylko do szlachty. Ale po pierwsze demokracji w dzisiejszym powszechnym rozumieniu nie było wówczas w żadnym większym państwie europejskim; po drugie, szlachta polska była stosunkowo najliczniejsza w tej części świata.

2. *Cechy oryginalne.* Zestawienie tych faktów historycznych świadczy, że podstawowa kultura i ideologia Polski klasycznej jest zachodnioeuropejska. Ale nie jest ona pozbawiona także cech oryginalnych. Najbardziej podstawowym jej składnikiem zdaje się być pluralizm; większość innych cech przypisywanych narodowi polskiemu przez tę ideologię jest konsekwencją pluralizmu. Wymienimy jako takie przyznanie się do narodu w szerszym, drugopiętrowym znaczeniu, otwartość, tolerancję i europejskość. Dwie inne cechy narodu polskiego to, zgodnie z tą ideologią, upowszechnienie mentalności szlacheckiej i specyficzny typ religijności.

a) Naród w rozumieniu Polski klasycznej to przede wszystkim naród Rzplitej jako całości, drugopiętrowy, którego pierwszopiętrowy naród Korony jest tylko częścią.

b) Bodaj najbardziej uderzającą cechą kultury Polski klasycznej jest tolerancja, sformułowana przez Zygmunta Augusta w słowach „nie jestem królem ludzkich sumień”. Jest to *unicum* w okresie Reformacji w Europie. Wskutek przyjęcia tej zasady Rzplita jest w XVI wieku jedynym wielkim krajem europejskim, który nie zaznał ani wojen religijnych, ani wypędzenia Żydów. Aby przytoczyć tylko jeden przykład ówczesnej tolerancji w Polsce, Serwet, anty-trynitarz, żył długo i bezpiecznie w Krakowie, choć głosił poglądy obrzydłe zarówno katolikom jak protestantom. Nieszczęśnik wrócił jednak do Genewy, gdzie Kalwin kazał go rychło (1555) spalić na stosie.

Ta tolerancja Polski klasycznej wynika z jej otwartości na kultury obce. Nic nie jest bardziej przeciwne jej ideologii niż ksenofobia. Jeśli wolno ufać intuicji Sienkiewicza, tolerancja panuje jeszcze w Rzplitej XVII wieku. W każdym razie nie ma w „Trylogii” śladu antysemityzmu.

c) jako trzeci składnik ideologii Polski klasycznej obok tolerancji i otwartości wymienię jej europejskość. Polska jest jednym z krajów stanowiących wschodni, krwawy brzeg zachodniej Europy i jej ideologia epoki klasycznej jest tego w

pełni świadoma. Ten składnik nie jest na pierwszy rzut oka widoczny, bo mowa jest o przedmurzu i obronie nie Europy, ale chrześcijaństwa, tak że odnosi się wrażenie myśli religijnej. To jest jednak nieporozumienie. Chrześcijaństwo jest zespołem narodów wyznających wiarę chrześcijańską, a ten zespół był wówczas praktycznie identyczny z Europą.

Warto zauważyć, że europejskość Polski klasycznej jest bez porównania głębsza niż u wielu innych narodów. U nich chodzi najczęściej o korzyści gospodarcze, podczas gdy Polacy związani są z Europą wiekami krwawej walki w jej obronie. Trudno oprzeć się pokusie przytoczenia w tym kontekście słów, które Sienkiewicz wkłada w usta Sobieskiego:

„Jeśli nas zguba czeka, jeśli imię nasze ma być imieniem umarłych, nie żyjących, to niechże sława po nas ostanie i wspomnienie onej służby, którą nam Bóg wyznaczył. Niechże potomni, patrząc na one krzyże i mogiły powiedzą: 'Tu chrześcijaństwa, tu krzyża przeciw mahometańskiej sprośności, póki tchu w piersiach, póki krwi w żyłach bronili i za *inne narody polegli*'. To jest służba nasza, Bogusz! Otośmy forteca, w której Chrystus mękę swoją zatknął na murze, a ty mnie prawisz, abym ja, żołnierz boży, ba, komendant, pierwszy bramę otwierał i pogan jako wilków do owczarni puszczał i Jezusowe owieczki na rzeź wydawał! Wolej nam od czambułów cierpieć, wolej nam bunty znosić, wolej na ową straszną wojnę pociągnąć, wolej polec mnie i tobie, *wolej całej Rzeczypospolitej zginąć*, niżli imię pohańbić, sławy zbyć i owo stróżowanie, ową służbę bożą zdradzić”.*

d) Obok tolerancji i otwartości oryginalną cechą kultury Polski klasycznej jest upowszechniona szlacheckość, mam na myśli przejście przez masy ludowe ideałów warstwy szlacheckiej. Podobno to zjawisko występuje poza Polską tylko w Japonii. Pomnik postawił mu w „Potopie” tenże Sienkiewicz. Michałko, pacholek księżowski, prawdopodobnie poniewierany i wyzyskiwany, odpowiada na pytanie co chce za wiadomość, że król szwedzki jest na plebanii: „szablę”. Dostaje ją, walczy i ginie w walce. Piszący te słowa wziął udział w potrzebach 1920 i 1939 roku razem z oficerami i szeregowymi ludowego pochodzenia i mógł się naocznie przekonać, jak dalece to rozpowszechnienie było faktem.

* „Pan Wołodyjowski”, r. 31, str. 319. Podkreślenia moje.

Szlacheckość ma u nas zwykle złą prasę. Widzi się w niej nieraz tylko butę, pogardę innych, pieniactwo i tym podobne wady. Ale to nie jest oczywiście wszystko. Ideał szlachecki zawiera także przywiązanie do wartości rycerskich — bojowości, służby, lojalności i honoru. Wydaje się, że one właśnie znalazły zrozumienie w masach ludowych polskich dzięki rozpowszechnieniu mentalności szlacheckiej.

3. *Religijność*. Na oddzielne omówienie zasługuje wreszcie czwarta oryginalna cecha polskiej kultury: specyficzna religijność Polaków. Ta cecha nasuwa pewne trudności, dlatego, że w Polsce istnieje od wieków, obok głównego nurtu katolickiego, także inny, wtórny typ religijności wzgl. światopoglądu, reprezentowany w okresie klasycznym przez protestantyzm, później przez Oświecenie itp. Wobec istnienia tego drugiego nurtu utożsamianie Polaka z katolikiem („Polak-katolik”) nie odpowiada rzeczywistości.

Niemniej większość, przytłaczająca większość Polaków składała się z katolików i wiara katolicka należy bez wątpienia do najbardziej charakterystycznych składników ich kultury. Pod tym względem naród polski podobny jest do dwóch innych „narożnych” narodów europejskich, hiszpańskiego i irlandzkiego.

Ale właśnie wymienienie tych narodów rzuca światło na specyficzność polskiego katolicyzmu. Bo wbrew rozpowszechnionym mniemaniom religijność Polaków nie jest identyczna z religijnością Francuzów czy Anglików. Dowód co do tych ostatnich mieliśmy podczas drugiej wojny światowej, kiedy żołnierze polscy w Wielkiej Brytanii odmawiali nieraz chodzenia na lokalne nabożeństwa, twierdząc, że „nie są katolickie”. Katolickie to one były — ale nie były polskie.

Istnieniu specyficznego katolicyzmu polskiego jako wartościowego odcienia wspólnej wiary przeczy wielu polskich inteligentów zapatrzonych w wierzenia i praktyki kościoła francuskiego. Piszący te słowa należał do nich w młodości: chciał zastąpić „grubiański zabobon polski” przez cywilizowaną religijność Gallów. Zrozumienie, że się mylił, zawdzięcza przypadkowi, odkryciu, że figury tzw. Chrystusa frasośliwego istnieją na całym obszarze Rzplitej i tylko na nim. Te figury są wyrazem uczuciowego stosunku pewnego typu do Chrystusa, stosunku spotykanego widocznie tylko w dawnej Rzplitej.

Na czym specyficzność religijności polskiej polega, niełatwo jest powiedzieć. Praktyka religijna — nabożeństwo —

jest zdumiewająco posoborowa (język narodowy). Stosunek Polski klasycznej do innowierców jest także o tyle posoborowy, że ówczesny Polak w przeciwieństwie do wielu innych nie odczuwał niechęci do protestantów: ich wiara wydawała mu się najwyższej dziwna. Typowe dla polskiego katolicyzmu jest także przywiązanie do tradycji i do Stolicy Apostolskiej. Pewne jest też, że nie grzeszy on intelektualnością: poważnej teologii polskiej nigdy nie było i dotąd nie ma. Ale czym ten katolicyzm jest pozytywnie, nie wiemy, jako że polscy intelektualiści zamiast analizować, wolą przeważnie odrzucać go w czambuł.

4. *Konsekwencje praktyczne*. Przyjęcie postawy, której wyidealizowany obraz podaliśmy tutaj, pociąga za sobą daleko idące konsekwencje praktyczne, w szczególności polityczne.

a) Zachodniość podstawowych składników kultury Polski klasycznej wyklucza nie tylko „przestawienie się” na Wschód, ale także pojmowanie roli Polski jako kulturowego pomostu między Zachodem a Wschodem. Ze stanowiska tej ideologii naród polski jest i będzie narodem zachodnioeuropejskim albo go nie będzie.

b) Przyznanie się do Rzplitej w dawnym słowa znaczeniu prowadzi do wzięcia na serio żądań terytorialnych narodów, które do niej ongiś należały, np. roszczenie Litwinów do Wilna.

c) Inną konsekwencją przyznania się jest zaniechanie przypisywania Koronie osiągnięć dawnej Rzplitej jako całości. Za przykład może służyć zwycięstwo grunwaldzkie, odniesione nie przez samą Koronę, to jest przez naród polski, Polskę w ciaśniejszym, pierwszopiętrowym znaczeniu, ale przez połączone siły polskie i litewskie, to jest przez wojska Rzplitej.

d) W wyniku uznania zasady tolerancji logicznie konieczne jest odrzucenie wszelkiej dyskryminacji ze względu na pochodzenie. Fakt, że ktoś jest pochodzenia niemieckiego, tatarskiego czy żydowskiego nie ma żadnego znaczenia. Ta ideologia wyklucza w szczególności antysemityzm.

e) Programowa europejskość kultury zobowiązuje z jednej strony do popierania dążeń ku jedności Europy, z drugiej uniemożliwia uważanie dobra narodu za najwyższe dobro.

V

Drugą ideologią, którą Polak współczesny może przyjąć bez wielkich trudności, jest ideologia „narodowa”*, kontynuująca zdaniem piszącego zasadniczą postawę okresu saskiego, ale która otrzymała jasne sformułowanie dopiero w wieku XX. Istnieją zapewne tu i ówdzie podobieństwa między nią a ideologią klasyczną, ale uderzają przede wszystkim znaczne różnice. Gdy chodzi o wiele zasadniczych twierdzeń, ta ideologia jest przeciwieństwem klasycznej.

1. Cechy podstawowe.

a) *Pojęcie narodu.* Ideologia „narodowa” operuje zdecydowanie pierwszoplanowym, węższym pojęciem narodu polskiego. O żadnym pluralizmie językowym a także kulturowym nie może być w tej ideologii mowy.

b) *Nacjonalizm.* Do tak pojętego narodu odnosi się podstawowe hasło tej ideologii „dobro narodu jest najwyższym dobrem”.

c) *Zachodność.* Mimo politycznej pro-rosyjskiej orientacji odnosi się wrażenie, że jeśli chodzi o przyznanie się do kultury Zachodu nie ma różnicy między ideologią „narodową” i klasyczną.

d) *Stosunek do katolicyzmu.* Początkowo negatywny, ten stosunek przemienił się z czasem w kategorię afirmacji katolicyzmu w Polsce. Uderza też tendencja do re-interpretacji religijności polskiej w sensie nacjonalistycznym i nietolerancyjnym. Jest to dalsze przeciwieństwo do ideologii klasycznej.

2. *Konsekwencje praktyczne.* Z tych założeń wynika szereg konsekwencji praktycznych, przeważnie sprzecznych z konsekwencjami ideologii klasycznej.

a) Zwolennicy ideologii „narodowej” nie są skłonni czyścić ustępstw terytorialnych innym narodom. W szczególności nie ma mowy o wyrzeczeniu się Wilna i Lwowa.

b) Ze stanowiska tej ideologii wszystkie osiągnięcia dawnej Rzplitej należy przypisać narodowi polskiemu w ciśnieńszym, pierwszoplanowym znaczeniu.

* Używam cudzysłowu, aby odróżnić tę ideologię od innych ideologii polskich, także narodowych.

c) Z nacjonalizmu zdaje się wynikać nietolerancja. Nie jest ona wprawdzie wyraźnie sformułowana jako ogólna zasada, ale była zawsze cechą zwolenników ideologii „narodowej”. Wyraźnie sformułowana jest wrogość względem Żydów.

d) Europejskość Polski ulega relatywizacji. Wobec tego, że dobro narodu polskiego jest najwyższym dobrem, nie może być podporządkowane niczemu innemu, a więc także dobru wspólnoty europejskiej.

3. *Ocena cudzoziemców.* Bez względu na to, jak wielki odsetek Polaków przyznaje się do ideologii „narodowej”, cudzoziemcy zdają się uważać ją za panującą w Polsce. Świadczą o tym dwa fakty. Jeden z nich to narzucenie Polsce, w chwili gdy powstawała po I wojnie światowej, traktatu zobowiązującego ją do tolerancji. Drugi fakt, to sympatia z jaką spotykała się nieraz oczywiście oszczercza nagonka antypolska prowadzona przez Żydów.

Pierwszym warunkiem zmiany położenia w tym względzie jest zdanie sobie przez Polaków sprawy z jego przyczyny. Tą przyczyną nie są fakty, np. pogromy, ale wypowiedzi Polaków wyznających ideologię „narodową”. Wypadałoby też zrozumieć, że jak długo wielu Polaków nie zna żadnej innej ideologii, trudno wymagać, by cudzoziemcy wiedzieli, że ona istnieje.

Ale aby ocena Polski uległa radykalnej zmianie, potrzebne by było jasne przyznanie się większości Polaków do tolerancyjnej ideologii klasycznej i jej konsekwencji.

VI

Z powyższych rozważań wolno wyciągnąć następujący główny wniosek: Powiedzenie „X. jest Polakiem”, może mieć trzy różne znaczenia zależnie od pojęcia narodu polskiego, do którego X. się przyznaje.

1. W razie użycia podstawowego pojęcia narodu, X. jest Polakiem wtedy i tylko wtedy gdy jest przywiązany do Polski jako kraju, do mowy polskiej i tradycyjnych obyczajów, w tym u wierzących do polskiego typu religii.

W razie gdy do pojęcia narodu należą także jego historia, kultura i ideologia:

2. Jeśli są nimi kultura i ideologia Polski klasycznej (XV-XVII wiek) X. jest Polakiem dokładnie wtedy, gdy przyznaje się do dwupiętrowego pojęcia narodu, do otwartości, tolerancji, europejskości i innych cech Polski klasycznej.

3. Jeśli przyjęta jest ideologia „narodowa”, jest Polakiem wtedy i tylko wtedy, gdy pojmuje naród nacjonalistycznie, tj. jednopiętrowo, a jego dobro uważa za najwyższe dobro.

Wspólna Polakom w dwóch ostatnich znaczeniach jest polskość w pierwszym, podstawowym tj. ludowym znaczeniu, oraz przywiązanie do innych składników kultury polskiej.

Obok wspomnianych dwóch ideologii logicznie możliwe jest zarówno odrzucenie wszelkiej tradycyjnej kultury i ideologii polskiej, zastępując je przez kulturę i ideologię obce — jak i rozumienie narodu polskiego na sposób mesjanizmu. Wydaje się jednak, że współcześni Polacy niełatwo by takie pojęcia polskości uznali za swoje.

J. M. BOCHEŃSKI

IV

Dziedzictwo Czarnobyla

Czarnobyl — stare miasto Rzeczypospolitej utracone w rozbiorach, miasto które wydało jednego z najlepszych chemików polskich tych czasów — Aleksandra Chodkiewicza (1776-1838) — zresztą jedno z najbardziej polskich miast i miasteczek kresowych. Dziś służy do straszenia już nie dzieci, żeby były grzeczne, ale dorosłych.

Siódma rocznica awarii skłania do przypomnienia całej sprawy. Temat nadaje się dobrze do dalszych rozważań o konieczności popularyzacji nauki i techniki wśród humanistów i praktykujących polityków. Podstawy naukowe i techniczne zdarzeń stają się coraz bardziej skomplikowane, a dziennikarze starają się bez głębszych studiów wszystko uprościć. Z kolei zbyt dużo ważnych ludzi opiera się na informacjach gazetowych z oplakanyimi skutkami. Nie wiadomo dlaczego dziennikarze upierają się przy poznaniu istoty faktów w kilka minut, gdy zabiera to fachowcom całe lata studiów. A więc bardzo prosimy do źródeł!

W roku 1986 miała miejsce awaria wysokiego stopnia w siłowni nuklearnej w Czarnobylu, w jednym z bloków elektrowni. Dotknęła reaktor nuklearny typu RBMK, którego rdzeń składa się głównie z grafitu. W przeciwieństwie do reaktorów z chłodziwem i spowolnieniem wodnymi, konsekwencje musiały być znacznie gorsze niż w Three Mile Island, a to głównie z powodu palności grafitu. Gwałtowny pożar i niedobra choć prosta konstrukcja przyczyniły się do znacznego rozproszenia materiałów silnie radioaktywnych na dużym obszarze Europy. Nietypowe kierunki wiatrów, które normalnie wieją w kierunku Wołgi, przyczyniły się do szybkiego ujawnienia sprawy, która kto wie czy nie byłaby przy wiatrach zachodnich utajniona na dłuższy czas.

Cała sprawa natychmiast obrosła kłamstwami. Jeszcze w czwartą rocznicę p. Danuta Drzewińska z Wolnej Europy twierdziła, że w elektrowni czarnobylskiej nastąpił wybuch nuklearny, choć łatwo udowodnić, że był to wybuch chemiczny, który ledwo uniósł pokrywę rdzenia i podsycił pożar grafitu. Co tam zresztą p. Drzewińska: Polska Agencja Prasowa doniosła w dn. 17-18 lutego 1990, że „Czarnobyl równa się trzystu bombom atomowym które zdetonowano nad Hiroszimą”. To podobało się szczególnie mass mediom, które wbiły sobie tę liczbę w głowę i powtarzały ją w Telewizji Polskiej (na przykład) przy każdej okazji. Ogólnie winien być znany fakt, że bomby atomowe zabijają głównie podmuchem, falą uderzeniową i żarem zapalającym wszystko setki metrów od punktu zero. Promieniowanie jonizujące działa w niewielkiej strefie poza obszarem pewnej śmierci na powierzchni ziemi. Dalej jest już zbyt słabe dla wywołania uszkodzeń. Podobnie nieznaczne są efekty w schronach, nawet pod punktem zero, jak to wykazał przypadkowo dolny kościół w Nagasaki. A skażenia w tych miastach nie było w ogóle, bo produkty rozszczepienia zostały zwiane i rozproszone. Najlepszym na to dowodem są zdjęcia fotograficzne dokonywane w Hiroszynie kilka godzin po ataku, bez żadnych oznak „dymku” na czułych przecież na promieniowanie kliszach. To przydługie wyjaśnienie jest sprowokowane nonsensem twierdzeń o analogiach z bombami atomowymi. Analogie „bombowe”, które pojawiły się w czwartą rocznicę, były zresztą odległą czkawką po oświadczeniu Gorbaczowa w dwa tygodnie po awarii, że awaria czarnobylska jest przedsmakiem wojny nuklearnej. Była to pierwsza faza upolitycznienia zdarzenia, sprowokowana chyba przez wyjątkowo nieodpowiedzialnych doradców Gorbaczowa.

Nie potrzeba przypominać, że w każdej sprawie o zabójstwo — a tak można traktować awarię czarnobylską — muszą być zwłoki lub przynajmniej poszkodowani. I tu masochiści natrafiają na trudności, a żeby ich zadowolić, będą nawet zaokrąglali liczbę w górę na ich korzyść. Mamy więc czterdzieści ofiar ostrej choroby popromiennej po dawkach nie rokujących przeżycia. Lekarz amerykański Robert Peter Gale, który wziął udział w akcji ratunkowej, przyznał w publikacji naukowej, że jego przeszczepy szpiku nie mogły się udać, ponieważ głównym uszkodzeniem organizmu były oparzenia termiczne. To akurat jest prawdą i nie można w tym miejscu nie zauważyć, że główną przyczyną późnych zgonów w Hiroszynie były rozległe oparzenia termiczne, których i

dziś nie jesteśmy w stanie leczyć. To były oparzenia bardzo podobne do oparzeń napalmowych i fosforowych w „konwencjonalnych” nalotach na Anglię, Niemcy i Japonię.

Żeby panikarze nie mieli do mnie pretensji, to do sprawdzonych ofiar promieniowania doliczę jeszcze trzysta, o których niejasno wspomina się w byłym ZSSR bez żadnych dowodów i dokumentacji medycznej. Ta ostatnia zaczyna dopiero napływać od osób przymusowo przydzielonych do oczyszczania elektrowni — znam osobiście jedną z nich, a jest nią doktor chemii. Prowadzono skrupulatną ewidencję dozymetryczną dawek, jakie otrzymali, bo tylko to jest obiektywną podstawą wnioskowania o wczesnych i późnych skutkach promieniowania. Pracę przy oczyszczaniu przerywano po pochłonięciu 5% dawki powodującej śmierć 50% napromieniowanej populacji. Ta ogromna z pozoru dawka jest dawką, po której dopiero można zauważyć różnice w wynikach badań medycznych w stosunku do stanu wyjściowego. Dodajmy jeszcze, że są to dawki wielokrotnie mniejsze od dawek podawanych lokalnie na guzy nowotworowe w celach leczniczych. W siedem lat po awarii nie ma jeszcze wyników badań i każdy dalszy rok zmniejsza szanse na przekonujące wnioskowanie, ponieważ „normalne” dla Rosjan niehygieniczne warunki życia zaciemniają obraz ewentualnego działania promieniowania jonizującego.

Nie sposób niefachowców przekonać, że trzeba idących w dziesiątki tysięcy przekroczeń naturalnego promieniowania tła, żeby coś dostrzegalnego mogło działać się w organizmie. Charakterystyczna cecha promieniowania — niezwykła łatwość wykrywania, wykorzystywana w medycynie, nauce i technice — tu stała się przekleństwem. Każde zwiększenie częstości pyknięć licznika wprowadza laika w stan nerwowości.

Następstwa pożaru czarnobylskiego zostały ogromnie skomplikowane dodatkowymi szkodliwymi działaniami ratowniczymi. Otóż w panicznie prowadzonej akcji w czasie pożaru i po nim zrzucano na reaktor i otoczenie setki ton ołowiu, kadmu, związków boru, a później tajemnicze chemikalia, które miały związać glebę, by nie pyliła. Były to prawdopodobnie związki polimeryzujące, które zaklejały ziemię. Powodowały co prawda zlokalizowanie skażenia, jednak zabijały wszelkie życie roślinne. Związki te nigdy nie były ujawnione, jednak łatwo zrozumieć, że to one powodowały dziwne zmiany w roślinach, które przypisuje się skażeniu radioaktywnemu, łącznie z domniemanym powstaniem mutantów. Mutanogennych czynników chemicznych niepromienio-

twórczych jest więcej niż się przypuszcza. A jednocześnie trzeba wiedzieć, że w ciągu ostatnich dziesięcioleci zbadano jak najdokładniej wpływ promieniowania na wszelkie formy życia, od martwych już produktów jak większość tego co spożywamy, poprzez wirusy i bakterie, dalej rośliny, insekty aż do człowieka. Zmiany w świecie żywym obserwowane w otoczeniu Czarnobyla nie pasowały do efektów promieniowania o określonych tymczasem dość dokładnie dawkach. Nie pasowały też do obserwacji obszarów po wycieku radioaktywnym w okolicach Kysztymia na Syberii (1957), gdzie niczego nie stosowano. Najwyraźniej „lekarstwa” zastosowane w Czarnobylu okazały się gorsze od samej „choroby” co zresztą nader często się w życiu zdarza. Jako chemik z niecierpliwością czekam na rezultaty badań nad wpływem metali ciężkich i tajemniczych polimerów na życie biologiczne okolic Czarnobyla, choć zdaję sobie sprawę, że publikacje takie, jako demitologizujące sprawę, mogą się nie ukazać. Miejmy jednak nadzieję, że reguły jak i czym gasić płonący reaktor grafitowy gdzieś są zapisane. Nie łudźmy się, mimo wzmożonej czujności, skutki awarii reaktora grafitowego muszą być znacznie groźniejsze od skutków awarii reaktora z moderatorem wodnym, w którym nie ma co się palić.

Drugą fazą manipulacji po oświadczeniu Gorbaczowa było wykorzystanie nierosyjskich republik do oskarżania Rosjan o lekceważenie ich bezpieczeństwa. Trzeba przyznać, że tak to mogło wyglądać przez lokalizowanie inherentnie niebezpiecznych elektrowni grafitowych z dala od Moskwy, za to blisko Kijowa, Mińska i Wilna. Tymczasem republiki oddzieliły się szczęśliwie od centrali i argument czarnobylski stracił na działaniu. W tym momencie co światlejsi obywatele byłego imperium zaczęli zastanawiać się, jak to jest naprawdę z działaniem promieniowania, skoro nie widać wielu ofiar, rodzą się dzieci z wadami wrodzonymi tak jak rodziły się zawsze itd. Zwrócono się więc o rozstrzygnięcie do Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej (IAEA). Agencja wysłała duży zespół, do którego weszli nie tylko specjaliści radiobiologii, ale psychiatry i psychologowie. Bardzo uczciwe badania praktycznie nie wykazały żadnych skutków działania śladowego przecież, choć łatwo wykrywalnego promieniowania, głównie od rozproszonego (szczególnie w żywności) cezu 137. Okazało się przy okazji, że niektórych efektów nie można w ogóle wykryć, choćby były, bo rejestracja schorzeń w Sowietach była prowadzona niedbale. Nic dziwnego, epidemiologię i jej metody badań uznano jeszcze za Stalina za

wybryk burżuazyjny. W badaniach niezależnej komisji nad skutkami skażeń były sprawy kuriozalne, jak wykrycie u wielu poszkodowanych dużego stężenia selenu w krwi. Okazało się, że w pakietach pomocy humanitarnej były tabletki z uzupełniającymi witaminami i mikroelementami. Ci, co mieli dostęp do pomocy i dostaw brali garściami wszystko co Zachód przysyłał, bo wydawało im się to ukrytymi środkami przeciw promieniowaniu! Przydarzyło się to z pastylkami z selenem i Bóg wie z czym jeszcze.

Problem stopnia szkodliwości skażeń które wydobyły się z rdzenia reaktora i mogły przejść do płuc z wdychanymi pyłami oraz do żołądka ze skażoną żywnością z pól Czarnobyla i dalszych do których zaniósł je wiatr, jest starym problemem radiobiologicznym wpływu małych dawek promieniowania. Działanie dawki która powoduje śmierć człowieka z pięćdziesięcioprocentową pewnością jest medycznie jasne. Było takich nieszczęśliwych wypadków kilka, ostatnio w pewnym państwie południowo-amerykańskim, gdzie wskutek niedbalstwa znalazł się na śmietniku cez 137 (taki jak w Czarnobylu) z medycznego źródła terapeutycznego, w ilości odpowiadającej skażeniu setek kilometrów kwadratowych najbardziej skażonych stref Białorusi. Mimo że grzebały się w tym dzieci skończyło się na ostrej, uleczonej chorobie popromiennej. Wystarczy jednak by dawka promieniowania była dziesięciokrotnie mniejsza od śmiertelnej by nie można było niczego od razu zauważyć! Tu zaczynają się problemy, bo mogą, lecz nie muszą rozwijać się uszkodzenia manifestujące się późno. A życie biegnie swoim torem i na to wszystko nakłada się to co już przedtem tkwiło utajone w organizmie. Nakładają się też nowe wpływy, często bardziej szkodliwe. W przypadku obywateli b. ZSSR są tu np. nawyki leczenia przez znachorów oraz stosowane samodzielne manipulacje paramedyczne, np. picie tzw. „żywej wody”, dobrej na wszystko. Receptura tej wody przyprawia specjalistę o ból głowy: jest to domorosta elektroliza z użyciem metali ciężkich i wojskowego brezentu. Technologia jest zatwierdzona przez sowiecki urząd zgłaszania odkryć. Jakby mało było nieszczęść ze Wschodu, receptura „żywej wody” jest szeroko propagowana, nawet przez prasę w Polsce. Popularność tego jest dla mnie zresztą zagadką psychologiczną. Ale jak można oceniać stan zdrowia obywatela dajmy na to z Prypeci, który nie poddał się ewakuacji, ale jednocześnie spija roztwory chromu, niklu i jeszcze czegoś nieznanego z brezentu. Założmy, że nie spija niczego złego tylko nosi w sobie napromieniowane tkanki i ko-

mórki. Czy można uważać, że efekty otrzymanej jednej setnej dawki śmiertelnej spowodują śmierć nie po 30 dniach jak to było w definicji wpływu dużej dawki, ale po 300 dniach? W żadnym wypadku! Nie ma żadnej proporcjonalności. Co więcej działają radiobiologiczne mechanizmy samonaprawy uszkodzeń. Zresztą trudno przypuścić żeby takich nie było, skoro życie na ziemi rozwija się w ciągłym tle naturalnego promieniowania gleby, skał, promieniowania kosmicznego. Przecież promieniowanie naturalnego potasu, który musi być w nas, bo inaczej zachwiałyby się delikatne równowagi elektrolityczne, było dawniej jeszcze silniejsze. W ten sposób jedyna statystyczna prawie-pewność że osobnik po dawce 6 greji, nieleczony, w ciągu dwóch tygodni umrze, zamienia się w całkowitą pewność, że nic się nie stanie komuś kto wchłonał o wiele rzędów wielkości mniejszą dawkę, jak to było udziałem większości narażonych pożarem czarnobylskim. Jak widać jedyną metodą studiowania skutków czarnobylskich jest niezwykle żmudne podejście epidemiologiczne, to znaczy prowadzenie statystyk chorób milionów ludzi z uwzględnieniem ich odżywiania się, nałogów jak palenie tytoniu itd. Uzyskany obraz nakłada się na podobny ale otrzymany przed zaistnieniem nowego czynnika jakim było promieniowanie. Dopiero różnice, poddane obróbce matematycznej mogą dać odpowiedź czy wpływ jest statystycznie znamieny i to na określonym poziomie zaufania. Indywidualne stwierdzenia nieodpowiedzialnych i niedokształconych lekarzy że „w ich rejonie wzrosła liczba białaczek z dwóch do trzech” nie mają żadnej wartości. Nawet przy zastosowaniu prawidłowej techniki epidemiologicznej efekty wypadają najczęściej znikome. Tak było z tropieniem białaczek w Anglii, o przyczynę których posądzano przemysł nuklearny, a po fiasku przypuszczając, linie przesyłowe wysokiego napięcia, zanieczyszczenia powietrza i inne uboczne skutki cywilizacyjne. Od czasu do czasu pojawiają się jakieś nowe koncepcje. W Polsce po sprawie czarnobylskiej na którą jako czynnik sprawczy zrzucano wszystkie niewyjaśnione cierpienia, głoszono nieśmiało, że promieniowanie uszkadza systemy odpornościowe. Ale na zjeździe naukowym Polskiego Towarzystwa Immunologicznego nie było ani jednego referatu oskarżającego promieniowanie o takie efekty. Efekty, jeżeli są, kryją się w rozrzucie metody badawczej. Już łatwiej, zdaje się, znaleźć korelację niewyjaśnionych chorób z hodowaniem zwierząt w domu, czyli z chorobami odzwierzęcymi. Pozostaje jeszcze do wyjaśnienia sprawa, o którą pyta społeczeństwo: dlaczego maksymalne

dopuszczalne dawki nawet dla pracowników przemysłu nuklearnego są ustalane na niskim poziomie? Otóż nie należy sądzić, że przekroczenie tych dawek oznacza jakieś okropne skutki dla narażonego. Przekroczenie dawki jaką wykrywa służba dozymetryczna jest przede wszystkim ostrzeżeniem, że coś nie jest w porządku z technologią, albo, co jest częstszym zjawiskiem, wykazuje lekceważenie przepisów przez pracownika. Może to być wstępem do zwolnienia.

Wszystkie obserwacje faktycznych i domniemanych skutków pożaru czarnobylskiego, zwłaszcza w miejscach wskazywanych przez tubylców jako najgroźniejsze, są opisane na setkach stron raportów Agencji, dostępnych dla każdego. Mass media zlekcewały wydawnictwa IAEA. Niektórzy Rosjanie oskarżyli nawet tę ONZetowską organizację, że za cenę 200 milionów dolarów sfałszowała wyniki badań. A członkowie Komisji pracowali pilnie i uczciwie. Co ich przerażało, to m.in. groźba dalszych (po pięciu latach!) wysiedleń ludności rzekomo narażonej, szczególnie na Białorusi, na skażenie promieniotwórcze. Członkowie Komisji zdołali przemówić do rozsądku władzom, by wstrzymały przesiedlenia, które niosłyby nowe niezmiernie cierpienia i tak już skołowanych ludzi. Publikacja tych perypetii spowodowała, że inna międzynarodowa organizacja, ustalająca bezpieczeństwo radiologiczne, wprowadziła do swych prac pojęcie dodatkowego ryzyka płynącego z nieuzasadnionej ewakuacji. Warto przy tej okazji zauważyć, ile jeszcze elementów stalinizmu pozostało na terenie imperium: na wszelki wypadek wysiedlić wieśset tysięcy ludzi! Co za nienasycona chęć przesiedlania, jaki sentyment do załatwiania wszystkiego takim posunięciem!

Skażenie ponad 15 Ci (curie) cezu 137 na kilometr kwadratowy, obserwowane podobno gdzieś tam na Białorusi, jest prawdopodobnie faktem. Nie mówi ono jednak o tym jaką dawkę otrzymają tam ludzie. To dopiero jest istotne dla oceny narażenia, a zmierzyć to można rozwieszając w miejscach gdzie przebywa człowiek proste i tanie dozymetry całkujące z fluorkiem litu. Co jakiś czas odsyła się je do pomiaru i nareszcie wiadomo jakie jest narażenie. Dozymetry te produkuje się w Polsce; były one znacznie przed rokiem 1986 umieszczane na ścianach mieszkań, podejrzanych o domieszkę popiołu z polskich węgli, jak wiadomo znacznie więcej niż w innych krajach radioaktywnych. Gdyby nie dozymetry Polacy mogliby popaść w histerię typu czarnobylskiego. A więc jeżeli coś mogę doradzić Białorusinom, to zbadanie jaką dawkę można otrzymać w okolicach skażonych,

no i oczywiście przestudiowanie punkt po punkcie raportów Międzynarodowej Agencji Energii Atomowej, która przecież na życzenie ludności badała i obszary koło Homla.

Imperium się rozpadło, republiki usamodzielniały się, ale psychocha czarnobylska pozostała. Jaka jest przyczyna manipulacji w tym trzecim stadium? Wyciągnięciu wniosków sprzyja obserwacja dzieci z Czarnobyla, przyjmowanych na obozy wypoczynkowe w Polsce, w szlachetnych akcjach pomocy. Działania te były rozpowszechnione i są słusznie chlubą Polski. Okazało się jednak, że były różne kategorie tych dzieci. Były dzieci aparatczyków, które nawet nie pochodziły z okolic skażonych, ale ich rodzice uważali, że pobyt w szczęśliwej Polsce dobrze im zrobi. Przyjeżdżały nawet z torbami towaru, który dobrze w Polsce idzie. Były też w dużej liczbie dzieci autentycznie zabiedzone, brudne i niedożywione. Badane szczegółowo przez lekarzy, nie miały śladów wpływu promieniowania, bo mieć ich nie mogły. Były po prostu dziećmi nędzy sowieckiej. Badania dzieci nie uszły uwadze czujnych post-Sowietów: pojawiły się oskarżenia, że polscy lekarze robią doświadczenia na dzieciach z Białorusi i Ukrainy! Doprawdy, mogło się odechcieć pomocy i wiele osób zrezygnowało.

Dochodzimy do mechanizmu manipulacji trzeciego etapu — w okresie samodzielnych republik. Nie łudźmy się, w ich władzach zasiadają byli komuniści, z tych samych powodów, dla jakich w pohlterowskich Niemczech niemal cały system sędowniczy opierał się na prawnikach, którzy egzekwowali poprzednio obowiązujące prawa hitlerowskie. Ludzie postsowietcy nowych republik widzą nędzę sowiecką i nie mogą już zwalić jej na Rosjan, a nie chcą na komunizm, więc cóż łatwiejszego, niż zwalić ją na Czarnobyl?

Zwalanie całego zła na Czarnobyl może działać w stosunku do otumanionego narodu, ale nie w stosunku do zagranicy. W kwietniu 1992 r. zostałem zaproszony do prowadzenia dyskusji okrągłego stołu na temat skutków awarii czarnobylskiej w ramach Zjazdu Polskiego Towarzystwa Badań Radiacyjnych w Krakowie. Oczekiwałem tej dyskusji z napięciem, byli przecież zaproszeni i obiecali swój przyjazd naukowcy z Ukraińskiej Akademii Nauk. Ale nie przyjechali, wystraszyli się otwartej dyskusji. Większość z nich była działaczami partii komunistycznej. Czyżby obawiali się, że będziemy ich zarażać poglądem, że nędza pochodzi z systemu, a nie od promieniowania jonizującego? Pozostało zdjęcie fotograficzne z pustym krzesłem dla bodaj jednego

Ukraińca. Cóż, podyskutowaliśmy sobie parę godzin, ale co to za dyskusja fachowców, którzy nie chcą i nie mogą podważać faktów. Może większą niż do tej pory uwagę poświęcono psychicznej stronie całej sprawy. We wcześniej otrzymanych materiałach były skargi Ukraińców na wszelkie możliwe dolegliwości zdrowotne. Znalazły się nawet reklamacje jakiegoś mołojca, że promieniowanie czarnobylskie uczyniło go impotentem. Dawki promieniowania nawet tysiące razy większe od tła czarnobylskiego w „gorących punktach” nie mogłyby tego spowodować, natomiast głęboka wiara, że coś zostało uszkodzone — tak! Działa tu mechanizm podobny do działania uzdrowicieli, którzy ze szczególnym upodobaniem grasują po Polsce. Każą wierzyć, że zamawianie i poruszanie rękami szamana coś spowoduje i czasem się udaje. A z Czarnobylem przeciwnie, coś niewidzialnego czyha na biednego kołchoźnika i po wszystkim. Bioenergoterapeutyka ze znakiem minus.

Gdy nie bardzo już dało się szukać sensacji poczarnobylskich, jak cielę o dwóch głowach czy stary kot wyleniały od promieniowania, zaczęto rozglądać się po reszcie byłego ZSSR z jego rozbudowanym przemysłem jądrowym i nukleoniką militarną. Okazji nie brakło. Popularne są skargi ludności mieszkającej w pobliżu poligonów gdzie przeprowadzano próbne wybuchy. Nie natrafiłem na publikację naukową w tym względzie, toteż nie wykluczam, że ofiary były. Ale w związku z tym zwrócę uwagę na analogiczną sprawę w USA, według stanu prawnego z grudnia 1992. Ogromna liczba uczestniczących w próbach z bronią nuklearnymi domaga się od rządu odszkodowań za szkody na zdrowiu. Niezawisłe sądy nie uznały do tej pory ani jednego wniosku, nie stwierdzając związku schorzeń czy też śmierci z uczestnictwem w manewrach przy użyciu wybuchów nuklearnych. Co więcej, podobnie jak to ma miejsce z pracownikami przemysłu nuklearnego, weterani odznaczają się lepszym zdrowiem niż porównywalna populacja, która nie spotykała się z innym promieniowaniem niż to które stanowi tło naturalne i medyczne badania diagnostyczne. Nie wykluczam możliwości, że w Sowietach, znanych z pogardy dla człowieka i bałaganiarstwa, mogły mieć miejsce przypadki narażenia przez promieniowanie jonizujące. Ale to trzeba udowodnić, inaczej powiększa się panika uniemożliwiająca prowadzenie normalnego życia. Jeżeli nie zacznie się prostowania nonsensów, to panika będzie się ciągnęła w nieskończoność. Dziennikarz *Życia Warszawy* donosi ostatnio z powa-

gą i grozą w reportażu z b. ZSSR, że jest ono tak skażone, że istnieje nawet jezioro, przy którym przystąpienie na 10 minut nad jego brzegiem oznacza wchłonięcie dawki śmiertelnej promieniowania jonizującego. Pocziwiec ten zapewne nie widział tego jeziora (mógłby logicznie twierdzić, że gdyby widział to wróciłby do Warszawy śmiertelnie schorowany), no i nie wymyślił sobie tej historii, bo musiałby być baronem Münchhausenem. Z pewnością jednak gadkę tę usłyszał gdzieś przy wódce na obszarach połowy kontynentu euroazjatyckiego. A swoją drogą przecieram oczy: czy nie znaleźliśmy się w ciemnych wiekach, gdy podróżnicy przywozili opowieści o syrenach i podobnych atrakcjach?

Nasi wschodni sąsiedzi to naród uczuciowy. Uczuleni są na sztukę teatralną, a ta ich czasem wpędza w fobię antynuklearną. Poszliśmy z żoną z ciekawości na wystawiony w Warszawie „Sarkofag” (aluzja do obmurowanej po awarii resztki po reaktorze). Nie ufając pamięci aktorów i zakładając swobodę reżysera, sięgnąłem do *Dialogu* (nr 4 z roku 1987) i podam stąd parę próbek manipulacji. Tekst autora — Władimira Gubariewa — nosi ślady konsultacji z fachowcem, ale albo jego uczciwość jest wątpliwa, albo dramaturg zniekształcił jego słowa. Mówi jedna z bohaterek, Pticyna: „...Wytrysk z reaktora. Sześciokilometrowa smuga przykryła je (kobiety) obie. Kury też. Tylko mówiąc nawiasem kury są bardziej odporne. Nie wiadomo dlaczego, ale dawka niebezpieczna dla kur jest pięćdziesięciokrotnie wyższa. Ludzie, drzewa, trawa, wszystko co żywe ginie, a kurom prawie nic. Stają się tylko bardziej agresywne”. Szkoda czasu na dyskusje. Ale u słuchacza zostaje zakodowany w pamięci obraz kur wydziubujących mózg królika. Czy polska młodzież spędzana na to przedstawienie będzie w przyszłości akceptowała energetykę nuklearną, diagnostykę lekarską stosującą izotopy i w ogóle postęp techniczny?

Wreszcie finał. Anna Pietrowna dziwi się, dlaczego dyrektor elektrowni, też poszkodowany, ma być uratowany, szczególnie on, „nawet kosztem innych”? Gubariew, inżynier dusz, wyjaśnia: „on powinien żyć. On nie ma prawa umrzeć razem z nimi... trzeba żeby wszyscy wiedzieli, że to jeden z tych, którzy są winni... Niech nim straszą dzieci... Woziłbym go z miasta do miasta i pokazywał ludziom, to właśnie on, patrzcie, jeden z głównych winowajców... Chcę go skazać na życie”. Trzeba powiedzieć, że ten finał wzbudził mieszane uczucia u zachodnich krytyków, którzy oglądali „Sarkofag”. Odsłuchałem jeszcze dla porządku wersję radiową, po angielsku,

w programie BBC. Wszystko było, i te wściekle kury i ten dyrektor obwożony według gułagowego chyba prawa. Czytając to można mieć w oczach pochodzący z podobnej strefy obyczajowej lincz na Ceaucescach, ponurą dintojrę członków tego samego gangu.

Oparry absurdu — najgorszego skutku awarii czarnobylskiej — mają bardzo trwałe życie. Unoszą się i pojawiają w najbardziej niespodziewanych miejscach i w skutkach kosztują bardzo dużo Bogu ducha winnych ludzi, jak my w Polsce. Przyczyniły się do ogromnych strat, o których pisałem w poprzednim artykule. Nawet rząd RP i jego funkcjonariusze nie mają ochoty poinformować się i szerzyć poprawną informację. W połowie stycznia 1993, przy okazji ujawnienia osobliwej historii rzekomej próby sprzedaży przez troje cwaniaczków materiałów reaktorowych fałszywym dziennikarzom niemieckim, wyższy urzędnik odpowiedniej Agencji rządowej w Warszawie ogłasza wszem i wobec w telewizji NTW, że cez 137 kumuluje się w organizmie ludzkim. Informacja jest całkowicie fałszywa, zwłaszcza w zestawieniu z dodatkową, jakoby pluton nie kumulował się w organizmie. Informacja o cezie jest szczególnie szkodliwa, ponieważ długo jeszcze będziemy spożywać żywność skażoną tym nuklidem. Na szczęście półokres przebywania cezu w organizmie jest krótki i wynosi ok. 2 miesiące. Cez nosimy w sobie i jest on równie bez znaczenia jak znajdujący się w nas naturalny potas radioaktywny.

Oparry absurdu pogłębiają osobliwy pseudonaukowy mistycyzm końca dwudziestego wieku. Ten sam rząd Trzeciej Rzeczypospolitej, który w grudniu 1990 roku zdecydował z przyczyn irracjonalnych, że przerwie budowę wartej już pół miliarda dolarów elektrowni nuklearnej, wstawił się wiarą w radiestezję. Przejmując lokale komunistyczne Rady Ministrów, zaczął obawiać się różnych miazmatów. Ideologiczne na pewno były, choć realne były na pewno tylko chemikalia wydzielające się z podejrzanych lakierów i apretur dywanowych, których nikt w poprzednim ustroju nie badał pod kątem ewentualnej szkodliwości dla człowieka. Ale najlepszym środkiem na to byłoby założenie odpowiednich urządzeń do filtrowania i wentylowania. Rząd jednak zdał się na radiestezjotów, a ci za nieznaną opłatą założyli ekrany radiestezyjne. Rzecz ciekawa: gdy w krajach cywilizowanych rządzący, np. prezydent Reagan, zabierają się do konsultowania astrologów, podnosi się słusznie hałas. W naszym przypadku *mass media* poinformowały sucho o ekranach, bez komentarzy. Przyczyna

jest prosta — większość dziennikarzy uwielbia wszelkie paranauki i wierzy w nie. Znów mi się coś przypomina — wybaczenie koledzy humaniści, jeżeli tłumaczenie będzie trochę wolne — tym razem jest to Chesterton: „Nie sądzicie, że niewierzący w nic nie wierzą, przeciwnie, oni wierzą we wszystko”.

Wiele elementów sprawy czarnobylskiej ma oczywisty związek ze specyfiką nauki i techniki sowieckiej — o niej w następnym artykule jako o ważnej przyczynie upadku imperium.

Zbigniew Paweł ZAGÓRSKI

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 474 — ZYGMUNT HERTZ

LISTY DO CZESŁAWA MIŁOSZA 1952-1979

WYBÓR I OPRACOWANIE RENATA GORCZYŃSKA

Indeks nazwisk

Z listu Czesława Miłosza: ...Wiesz co byłoby najśmieszniejsze? — gdybym przeszedł do historii literatury jako adresat najwspanialszego epistologa Zygmunta Hertza...

Z listu Marii Danilewicz Zielińskiej: ...Jest to Literatura z dużej litery, przy tym wiarygodne calendarium i to nie tylko Zygmunta Hertza, ale i wspomnianych przez niego osób. „LISTY” mają wagę dokumentu i przypuszczam, że we wszystkich późniejszych opracowaniach historii Instytutu Literackiego i Kultury będą eksploatowane przez tysiące (nie przesadzam) młodych adeptów polonistyki i historii czasopiśmiennictwa...

Str. 520

Cena F. 160,00

Uczniowie Schulza

W Drohobyczu było przed wojną kilka tysięcy Żydów. Jedni mówią — siedemnaście, inni — trzynaście, więc może piętnaście tysięcy. Stanowili trzecią część mieszkańców miasta. Bruno Schulz był jednym z nich.

Dziś zostało w mieście dziewięciu drohobyckich Żydów.

Fredek: Nazywam się Alfred Schreyer. Urodziłem się w Drohobyczu 8 maja 1922 roku. Mój ojciec pracował wówczas jako kierownik laboratorium rafinerii ropy naftowej w Niegłowicach pod Jasłem i tam spędziłem pierwszych kilkanaście lat mego życia. W 33 roku, kiedy zapanował taki straszny kryzys w całej Europie, ojca zwolnili z pracy i przenieśliśmy się do Drohobycza, gdzie mieszkała reszta rodziny. Wstąpiłem wtedy do prywatnego gimnazjum koedukacyjnego im. Henryka Sienkiewicza. Pierwszą moją nauczycielką i gospodynią klasy była pani Józefa Szelińska, która, jak się później okazało, była wielką sympatią Brunona Schulza. Jej zadedykował *Sanatorium pod klepsydrą*. Oczywiście wtedy nie mieliśmy pojęcia, kto to jest Schulz ani co pisze. Słyszałem tylko, że jest w gimnazjum imienia króla Władysława Jagiełły nauczyciel rysunków i robót ręcznych o tym nazwisku. W 1934 roku wstąpiłem do tego gimnazjum. W ten sposób zostałem jego uczniem.

Abraham: Ja urodziłem się w Borysławiu, chodziłem do szkoły powszechnej w Tustanowicach. Potem do prywatnego gimnazjum, też w Borysławiu. Ale nie chciałem się uczyć łaciny, na świadectwie z drugiej gimnazjalnej miałem niedostatecznie. Wtedy ojciec, drohobyczanin z dziada pradziada, zdecydował, żeby mnie przenieść do państwowego gimnazjum

w Drohobyczu. Nauczycielem rysunków i robót ręcznych był tam Bruno Schulz. W każdej klasie gimnazjalnej były obowiązkowo cztery godziny.

F.: Dwie godziny!

A.: Dwie godziny? Tak, raz w tygodniu dwie godziny robót ręcznych.

Mieli synagogę, największą w przedwojennej Polsce, jak twierdzą, przepiękną, z kolumnami pomalowanymi na kolor wieczornego nieba, z żółto-srebrzystymi smugami. Sufit też był takiego koloru nieba wieczornego, usiany złocistymi gwiazdami. Na środku na podwyższeniu stał kantor i śpiewał. Nie było tej bramy na przestrzał, przebito ją za czasów sowieckich, kiedy urządzono tu sklep meblowy. Na galerii i w miejscu, gdzie trzymano świętą Torę ustawiono towar — szafy, stoły, komody. Stare cenniki do dziś walają się po podłodze.

Dawniej w pierwszym rzędzie siedziała elita żydowska, najstarsi i najbardziej zasłużeni. Był rabin, doktor Awigdor, którego syn mieszka w Ameryce i który — mają nadzieję — ocali synagogę zanim osypią się mury, a zniszczony dach zawali im się na głowę. Wierzą, że jeszcze uda się coś zrobić, choć są starzy i zmęczeni. Sądzą, że los i tak obszedł się z nimi taskawie.

A.: Pamiętam jak dzisiaj nasze roboty szkolne. Rysowaliśmy na szkle przy pomocy karborundu. To jest taki proszek, którym naciera się szkło, żeby zmatowiało. Miałem wtedy ważne zadanie, zrobiłem orła. To była rzecz, godło państwowe. Pomógł mi ojciec, narysował go na papierze, a ja odbiłem na szkle. Czy Schulzowi się to podobało? Co za pytanie? Posłał na wystawę. Robiliśmy także małe stołeczki, jakieś półeczki, ramki do obrazów, podstawki pod świeczniki na chanuka, żydowskie święta. Dlaczego nie? To była państwowa szkoła z obowiązkowym nauczaniem religii. Po polsku. Żydzi z rabinem, historii Żydów nas uczył. Polacy osobno z księdzem. To nie był problem. To nie było źródło konfliktów.

Naprzeciwko synagogi, trochę w górę ulicy, tam gdzie to nowe osiedle, był teren dawnego cmentarza. Tam najprawdopodobniej pochowany jest Schulz. Podobno między domami został gdzieś jeszcze jeden kamień, ale nikt go nie może znaleźć. To był bardzo wielki cmentarz.

F.: Stosunki Polaków z Żydami układały się nadzwyczajnie.

A.: Naprawdę. Najlepsi moi koledzy to byli Polacy, większość w każdym razie. Grałem z nimi w piłkę, bawiłem się, chodziłem do szkoły. Często nawet chodziłem do kościoła nie modlić się, ale popatrzeć, tak samo oni przychodzili do bóżnicy. Pomagali nam też, na przykład, rozpalić ogień w sobotę.

F.: U nas w domu nie mówiło się po żydowsku.

A.: U nas tylko wtedy, kiedy rodzice chcieli, żeby dzieci nie rozumiały. W Drohobyczu i Polacy i Żydzi to byli najczęściej synowie robotników, może dlatego żyliśmy w zgodzie.

Przed żydowskim domem starców stoi popiersie Puszkina na cokole, dużym granitowym szarym cokole, wywiezionym z żydowskiego cmentarza w 49 roku. Z tyłu można jeszcze odczytać zdarte inskrypcje.

F.: Oficjalny antysemityzm musiałby iść z góry, a w naszym gimnazjum grono nauczycielskie było mieszane. Polacy, Ukraińcy, Żydzi. Antysemityzm odczuwano we Lwowie, na uniwersytecie Jana Kazimierza. Tam było getto ławkowe.

A.: Pamiętam, ja siedziałem z lewej strony, a koledzy Polacy z prawej. Precz z Żydami, Żydówki z nami, to było takie klasyczne powiedzenie.

F.: Żydóweczki z nami. Tam doszło do zabójstwa dwóch studentów, to był skandal na całą Europę.

W drugiej synagodze przez długie lata po wojnie była sala sportowa Spartaka. Podczas okupacji dożywiano tam biednych, także żydowskie dzieci. Pewnego popołudnia Niemcy rozstrzelali wszystkie dzieci nad talerzami gorącej zupy.

A.: Pamiętam mój egzamin z chemii. Profesor kazał mi wybrać sobie coś z tablicy Mendelejewa. W tym momencie wszedł dyrektor Kaniowski. Powiedziałem: wezmę pierwszą grupę. On na to: Aaa... wszyscy Żydzi lubią złoto. Złoto jest w pierwszej grupie pierwiastków.

F.: Kaniowski tak powiedział?

A.: On był strasznym antysemitą i arogantem.

F.: Ale bardzo lubił mego wujka, doktora Schreyera, który uczył religii. Prowadził z nim filozoficzne dysputy, widocznie mu to imponowało.

A.: Później, kiedy ogłaszał wyniki matury, nie mówił: ten zdał, tamten nie zdał. Mówił: pan taki i taki może już nosić kapelusz. Uczeń Schwartz, powiedział do mnie, też może sobie kupić kapelusz. My oczywiście mieliśmy już w szufladach te kapelusze, w których z dumą paradowaliśmy po corso, tak nazywaliśmy ulicę Mickiewicza, dzisiejszą Szewczenki.

Zdałem maturę 21 maja 39 roku. Tak, Schulz był cały czas w szkole.

F.: Ja nie mam świadectwa maturalnego polskiego, ja już mam sowieckie.

A.: Nie pozwalano nam spacerować wieczorami. Kiedy szedł dyrektor, już z daleka dawaliśmy sobie znać: Chowajcie się, bo Pikuś idzie.

F.: A pamiętasz Krokiera, od historii, u którego trzeba było recytować daty panowania wszystkich królów polskich po kolei i bez pomyłek, jeszcze kazał używać tych górnolotnych słów, których on używał.

A.: Francuskiego uczył profesor Mantel...

F.: Ten, który potem nagi szedł do dołu w bronickim lesie, głośno dyskutując o Kancie.

A.: A potem profesor Radziejewski, ten bez jednej nogi.

F.: Pamiętasz on każdego lata na wakacje jeździł do Paryża. Jak on mówił po francusku..., to był koncert! A nasze parady, pamiętasz 3 maja i 11 listopada z bronią.

Ostatnia droga drohobyckich Żydów prowadziła na Sambór. Przez podmokłe, bagniste pola do lasu bronickiego. Przez całe lata, nawet na uroczystym odsłonięciu tablicy, nie mówiono się o narodowości zamordowanych. Dopiero w zeszłym roku był tu rabin i księża katolicy, chór i przemówienia. Powstała pieśń Las Bronicki, do której słowa po ukraińsku napisał pan Mazur, przewodniczący gminy żydowskiej, a muzykę ułożył pan Schreyer, choć nigdy przedtem muzyki nie pisał. I nawet zaśpiewał. Symboliczne nagrobki z gwiazdami Dawida właśnie wmurowano w ziemię.

F.: Widywałem Schulza często w drodze do szkoły, szedł z Floriańskiej przez Mickiewicza, a potem przez park. Widywałem go także w pobliskim Truskawcu, gdzie jeździł w soboty lub niedziele na spacer, na deptak. Był niezwykle nieśmiały w stosunku do kobiet, jakiś taki unizony. Uważał, że kobieta jest czymś wyżej stojącym od niego. Nie był żonaty, nigdy. A miał miłości, była pani Szelińska, pani Halpern z Borysławia, ale jakoś nie dochodziło do ożenku. Taki był i taki zmarł, jako kawaler.

Co zapamiętałem z lekcji? Do rysowania nie miałem nigdy żadnego talentu, jak kura pazurem. Zresztą rysunki były w młodszych klasach. A roboty ręczne bardzo mi się potem, podczas okupacji, przydały. Pracowałem w stolarni, nawet robiłem fornirowane meble.

A.: Schulz go nauczył, jak się posługiwać narzędziami, jak się obchodzić z drzewem.

F.: Tak, tam były głównie prace stolarskie, ale i metalowe i szklane.

Często ze swymi uczniami chodził na Łan, to była stara dzielnica żydowska, późniejsze getto. I malował te drewniane, na wpół rozwalone domy, tych smutnych, wyczerpanych ludzi. Często tam chodził. Kiedyś jeden z uczniów zapytał go: panie profesorze, dlaczego pan tak lubi malować tych biednych ludzi i te nieszczęsne biedne domki? A on powiedział: muszę to uczynić, gdyż wcześniej czy później to zniknie.

A.: Schulz od czasu do czasu opowiadał nam bajki.

F.: Tak, mieliśmy po piętnaście lat, ale te bajki były takie piękne. Najpierw się sprzeciwiał, nie jesteście dziećmi, mówił, to nie dla was. Ale myśmy go zawsze umieli uprosić. Zgadzał się. Pod koniec lekcji mówił tylko: zbierzcie wszystkie narzędzia i posprzątajcie, to wam coś opowiem. Siadał zawsze na warsztacie stolarskim, nigdy na krześle, i opowiadał, czasem ilustrował je kredą na tablicy. Te bajki nigdy się nie powtarzały. Każda była improwizacją, każda była czymś zupełnie nowym. Siedzieliśmy z zapartym tchem.

A.: Przez przerwę często. Już po dzwonku. Zwykle to się wylatywało jak piłka z siatki, a tutaj siedzieliśmy, póki on nie skończył.

F.: Czy był przystojny? Ależ skąd.

A.: Niecee.

F.: Niskiego wzrostu, bardzo szczupły.

A.: Wąty. Przygarbiony. Nie prostował rąk, ale trzymał je tak jakoś pod kątem.

F.: Taka koścista, trójkątna twarz. On ją potem wszędzie rysował. Ciekawie chodził, dość dużymi krokami, uginając nogi w kolanach.

A.: Nie był zwykłym nauczycielem. W naszym gimnazjum poza Polakami było dziesięciu pedagogów Ukraińców i mniej więcej tyle samo Żydów. Wielkim przyjacielem Schulza był fizyk, profesor Kuszczak. Bardzo jeden drugiego cenili. My nazywaliśmy ich profesorami. Oni nam mówili „ty” i to był wielki zaszczyt. Mówiło się: jestem z profesorem na ty. W jaki sposób? «Świnio, idź do domu», «Dureń, siadaj».

F.: Ale od Schulza nikt nigdy nie usłyszał obraźliwego słowa. Żadnego wysokiego tonu. Był sprawiedliwy. Nigdy nikogo nie skrzywdził. Bardzo dobrze rozumiał, że przecież nie wszyscy ludzie mają talent do rysowania. Od każdego wymagał tylko tyle, ile mógł wymagać.

Kiedy weszli Sowieci, Abraham wstąpił na lwowską politechnikę na wydział naftowy. Z dziada pradziada wszyscy byli nacierzami w jego rodzinie. Uczył się semestr albo dwa, a potem kazali mu iść do domu, bo ma ojca kapitalistę. Dość się nauczył, usłyszał, daj miejsce dla robotników i synów rolników.

W pierwszym dniu wojny sowiecko-niemieckiej, pamięta że to była sobota, grał w siatkówkę, a potem był w Teatrze Wielkim, na ładnej sztuce Maki. Coś mu się nie podobał ruch wojskowych wozów na ulicach, ale poszedł spać do bursy. O piątej nad ranem bomba uderzyła w pocztę na Kopernika.

Fredek był też we Lwowie, w parku pojezuickim, a potem stał z Zygą Binsztokiem w bramie domu, w który trafiła bomba.

Wtedy stracili się z oczu z Abrahamem.

A.: Poszliśmy wówczas pięciu chłopców do domu, do Drohobycza, pieszo 106 kilometrów. Szliśmy dwie i pół doby.

F.: Z początku czasów sowieckich w Drohobyczu pamiętam wesoły epizod związany z Bruno Schulzem. Tak,

wesoły. To jest jeden z bardzo rzadkich wesołych epizodów. Było jakieś państwowe święto, rocznica rewolucji czy 1 maja, zamówiono u Schulza trzy ogromne portrety, naturalnie Stalina i jeszcze chyba Lenina, Marksa czy Engelsa. Wielkie portrety, żeby je wywiesić na ratuszu, w rynku. Schulz polecenie wykonał, ale podczas demonstracji zaczął padać deszcz i jeszcze ptaki zaczęły paskudzić, kawki, i te jego portrety zaczęły się rozmazywać. Zrobiły się z nich straszliwe bohomyzy. Schulz miał powiedzieć wtedy: pierwszy raz w życiu nie szkoda mi mojej pracy.

1 lipca 1941 roku na pancernych wozach z zachodu przyšli Niemcy. Przedtem wszyscy byli w czerwonych krawatach. Abraham, Judek na niego mówili, też. Był nawet komsomolcem. Później za to zapłacił.

A.: Straciłem ojca, matkę i brata.

F.: Ja nie należałem do komsomołu, ale także straciłem rodziców. W Drohobyczu od razu pierwszego dnia był pogrom.

A.: W Borysławiu był pogrom nocą. Wiedziałem, że mnie szukają, uciekłem do Drohobycza. Dowiedziałem się potem, że ojca i brata zaskłuli miejscowi ludzie, Ukraińcy, którym ojciec dał pracę. Mieliśmy służącą, ojciec pomógł jej kawalerowi, potem mężowi. Urządził ich. Postawił na nogi. Dlaczego to zrobili? Z nienawiści do Żyda, ja tak myślę. Ona była u nas przez trzynaście lat, wychowała mnie. Do niej nie mam żalu. Ale jej mąż zabił mojego ojca. Bratu wetknęli nóż w gardło. Mamie wybili zęby. Opowiadali mi sąsiedzi. Mama potem też przyjechała do Drohobycza i żyliśmy tu całą okupację.

Getto było najpierw w starej dzielnicy żydowskiej. Teraz na wybrukowanym placu stoi reprezentacyjny hotel miejski i wielkie kino. Żadnych śladów po domu na Stolarskiej, gdzie mieszkał Bruno Schulz po wysiedleniu z Floriańskiej 12. Stolarska, Ślusarska, Bednarska, Blacharska nie istnieją. Tam zaczęły się tak zwane „akcje”.

F.: Tam zaczęła się ta gehenna, która spotkała wszystkich Żydów, także i jego. Zamieszkał w getcie. Wykonywał prace dla Niemców. Został takim artystą, malarzem nadwornym u gestapowców. Malował freski na ścianach, malował po-

koje. Szukaliśmy tych fresków, nic nie ocalało. Schulz pracował też przy segregacji wszystkich narabowanych rzeczy. Sporządzał po niemiecku wykazy, które naczelnik gestapo tylko podpisywał i przysyłał do Berlina. Miał wśród gestapowców swojego protektora, był nim Feliks Landau, szef referatu żydowskiego. Niestychany bandyta, własnoręcznie rozstrzelał wiele osób, bił do śmierci i tak dalej. Ale Schulza cenił jako malarza, jako artystę. Schulz pod jego skrzydłem się przechowywał. Kiedy Landau wyjeżdżał gdzieś służbowo z Drohobycza, to Schulz się natychmiast chował. Wszystkiego się strasznie obawiał.

W listopadzie 1941 roku była pierwsza akcja w lesie bronickim. Kiedy wróciły stamtąd samochody ciężarowe pełne ubrań, już wiedzieli, co się stało. Rozstrzelano wówczas około 400 osób. Był wśród nich znajomy Fredka, sąsiad Janek Borak, ułomny na jedną nogę. Nie musiał iść. Zgłosił się w nadziei na lepszy los.

A.: Zbierali ludzi i wywozili, z żydowskiego domu starców, z małej bóżnicy na Garbarskiej, zewsząd. Żądali dostarczenia wódki albo francuskich win, czekolady albo kobiet. Jeśli Judenrat się ociągał, brano na śmierć kolejne ofiary. Codziennie trzeba było się zgłaszać do pracy. Niektórym udawało się uciec. Innych zabijali.

F.: Ja byłem raz w grupie, z której kilku uciekło. Backenroth nas wtedy uratował.

A.: Opowiedz o nim.

F.: Naftali Backenroth, obecnie pan Naftali Bronicki, mieszka w Paryżu, ma już 87 lat. Na początku był jak wszyscy Żydzi, ale potem Judenrat zlecił mu funkcję kierującego pracą, inżyniera agronoma. Tulek Backenroth, bo tak go wszyscy nazywali, był niezwykle przystojny, wysoki, wysportowany, zupełnie niepodobny do Żyda. Elegant. Donżuan.

A.: Wiesz, że ja się z nim spotkałem później, za Ruskich, w więzieniu. Odstąpiłem mu dobre miejsce na przyczaj na górze, ale nie chciał. Wyrzucił mnie na górę z powrotem, a sam spał w kącie.

F.: Nadzwyczajnie honorowy człowiek. On setkom ludzi tutaj uratował życie. Wkradł się w łaski gestapo, jako Polak, aryjczyk. Ale jak to było zrobione! Conan Doyle może pozazdrościć. Wyrzeczano jakieś dokumenty, że doktor Koz-

łowski — to był bardzo znany doktor w Drohobyczu, chirurg, fundator pierwszego szpitala — miał kochankę, która się nazywała Branicka i Backenroth był nieślubnym synem tej pary. Ale to trzeba było jeszcze dokumentalnie potwierdzić. Z kościołem byliśmy w dobrych kontaktach, zawsze z Polakami było się w lepszym kontakcie niż z Ukraińcami. I zrobiono taki dokument, po czym podrzucono go do rafinerii nafty, do składu papieru. I nasz człowiek, podstawiony, nagle odkrył Amerykę, że znalazł dokument mówiący o tym, Backenroth jest katolikiem. Stuprocentowym gojem. To jest niesłychane. I to poszło do gestapo. Nie wiem, czy Tulek był obrzezany czy nie, ale chyba nie. Gdyby tak, nie wiem, czy by się to wszystko udało.

A.: Albo miał świadectwo choroby.

F.: Może.

A.: Nie chce mi się wierzyć, że nie był obrzezany, pochodził przecież z bardzo pobożnej rodziny. Tak, miał najprawdopodobniej zaświadczenie, że przeszedł chorobę weneryczną, tak zwany kołnierz hiszpański, wtedy obrzezanie jest konieczne.

F.: Jeden z oficerów gestapo, Pawliszkis, nie dawał za wygraną. Wszędzie węszył. Bezskutecznie. Zwrócił się nawet do naczelnika SS we Lwowie, Katzmana, ale to też nic nie dało. I tak Tulek został Polakiem, Branickim.

A.: Poruszał się zupełnie swobodnie, bez opaski. Ukraińska policja wiedziała, że to jest swój człowiek.

F.: Raz uratował moją matkę.

Podobno nikogo się nie bał. Ratował ludzi, jak mógł. Ale wszystkich nie mógł uratować. Naftali Backenroth zmienił potem nazwisko na Bronicki, od lasu bronickiego, bo cała rodzina Backenrothów została rozstrzelana w tym lesie.

F.: Kiedy teraz tu w Drohobyczu chciano mu nadać godność honorowego obywatela miasta, Ukraińcy się sprzeciwili: co, temu gestapowcowi? Oni nie wiedzą.

A.: Od jesieni musieliśmy się każdego dnia zgłaszać do Judenratu, gdzie wydawali zamówienia do pracy. Na początku było bardzo elegancko, pytano, kto chce iść do rzeźni, kto chce do gestapo, kto do szkoły. Wielu szło do rzeźni, bo tam dostawali dobrze jeść.

F.: Gestapo zażądało jakiegoś człowieka znającego doskonale język niemiecki, w mowie i piśmie, i umiającego rysować. Zarekomendowano Schulza. Prawdopodobnie zarekomendował go Backenroth. W ten sposób stał się protegowanym Landaua.

A.: To był dziwny gestapowiec. Znał wszystkie żydowskie obrzędy i święta. Robiłem u niego w mieszkaniu instalację elektryczną. Kiedy przychodziłem, stało przygotowane jedzenie, dla niego i dla mnie. Papieroszek dla mnie. Ale kiedy podczas jedzenia ktoś zapukał do drzwi albo wszedł, Landau zaczynał tłuc talerze, bić, krzyzczeć, a kiedy zostawaliśmy sami, usprawiedliwiał się. Pracowałem tak jakieś trzy, cztery dni, kiedy przyszedł Schulz i zaczął mu rysować portret. Portret albo pejzaż, nie pamiętam dokładnie co. Potem przyszedł ten krwawy czwartek, 19 listopada 1942. Ta akcja różniła się tym, że nie wzywano do punktu zbiorowego, ale strzelano na ulicach.

F.: Śmierć Schulza była wynikiem osobistych porachunków Landaua z innym gestapowcem, Karlem Güntherem, którego pupila wcześniej zastrzelił Landau. Schulz szedł rano do Judenratu z adwokatem Friedmanem i kiedy z ulicy Mickiewicza nadbiegł Günther, Friedman uciekł, a Schulz, fizycznie bardzo słaby, został. Nie wierzył, tak myślę, że zginie. Günther jednak podbiegł do niego, krzyknął, żeby się odwrócił i strzelił mu dwa razy w głowę. Podobno miał mały, damski pistolet. Schulz przeleżał na ulicy do wieczora. Trupów nie wolno był zbierać. Leżały do następnego dnia. Ale Friedman zdobył się na odwagę i w nocy zabrał go stamtąd. Razem z mecenasem Rottenbergiem zawieźli jego i jeszcze kilka trupów na cmentarz i tam ich zakopali.

A.: Ja nie wiem, jak to się stało, czy wyszedłem tego dnia wcześniej z getta, ale widziałem idących tam Niemców i czarną milicję. Zaczęła się strzelanina. Na kogo popadło, przez okna, przez drzwi. Przyszedłem do Landaua. Zapytał, gdzie jest Schulz, nie, nie Schulz, Bruno, gdzie jest Bruno. Powiedziałem, że nie wiem, ale są w getcie Niemcy i czarna policja. Dobrze, dobrze, on na to, muszę iść popatrzeć. W tym momencie wszedł Günther, zadowolony, z takim chytym uśmiechem. Ty wiesz, co ja dzisiaj zrobiłem, zastrzeliłem twego Żyda. Co, co? Bo tyś zastrzelił wczoraj mojego Żyda, Lowa. Ale popatrz, ja mam tutaj zaczęty rysunek, kto mi go skończy. A ty idź zobacz, na czym ja śpię, on mi miał zrobić łóżko, ja śpię na ziemi, nie mam łóżka. Taka była ta rozmowa. Sam ją słyszałem.

Później, kiedy wracałem do domu, już się uspokoiło. Szedłem przez te ulice pełne trupów. Zabito ponad 200 osób. Najwięcej trupów było na Czackiego, ludzie tamtędy szli do pracy. Na drugi dzień kazano nam zbierać te trupy. Ja też zbierałem. W jednym miejscu podchodzę, stoi grupka ludzi, mówią: popatrz, Schulz leży. Ktoś się odezwał: nie bierzcie go, prosił, żeby go pochować obok mamy. A matka jego leżała na starym cmentarzu. Poszliśmy dalej. Przywieźliśmy wozami trupy na nowy cmentarz. Były już przez innych wykopane doły. Wrzucaliśmy trupy jak kamienie, warstwa ludzi i warstwa ziemi, warstwa ludzi i warstwa ziemi. Cztery warstwy. Obróciliśmy tak cztery razy.

Bruno Schulz zginął w dniu planowanej ucieczki na aryjskich papierach. Szedł po chleb na drogę. Był zmęczony lekkiem. Którego ze swoich uczniów podzieliłby los, gdyby jeszcze tym razem zdołał uniknąć śmierci?

B.O. miał wówczas jakieś dwanaście lat. Smarkaczki biegali po ulicach, widzieli zastrzelonych ludzi. Byli niedaleko kościoła, jeden mówi do drugiego, popatrz, tu leży człowiek. Podeszli. To był Schulz. Leżał wzdłuż krawężnika twarzą do góry, z lewą ręką wyciągniętą na jezdnię. Na tej ręce miał zegarek. Z dołu ulicy szedł ukraiński milicjant z tatrzańską laską. Podeszedł bliżej, zawołał chłopca i kazał mu zdjąć zegarek z ręki trupa. Chłopiec postuchał, policjant wyjął z kieszeni chusteczkę do nosa, brzydził się wziąć ten zegarek do ręki i pokazał, by położył go w tym miejscu. Zawinął chusteczkę wraz z zegarkiem i schował. Zadowolony poklepał chłopca po ramieniu i ofiarował mu na pamiątkę tatrzańską ciupagę.

A.: Dla ustraszania te trupy miały leżeć na ulicach. Kiedy tam przyszedłem, dużo ludzi było już rozebranych. W nocy, nie wiem miejscowi czy Żydzi, porozbierali ich. Byli tacy, co nie mieli w co się ubrać. Ja sam kiedyś wziąłem z trupa buty. Przyznaję. Wziąłem. Chociaż u nas, w naszej wierze żydowskiej, to jest zabronione. Nie wolno nosić butów po nieboszczyku.

F.: Największa akcja była w sierpniu 42 roku. Wywieziono wtedy z Drohobycza około 5 tysięcy ludzi. Do Bełżca, do komór gazowych. W tym i mojego ojca. Przeciętnie w każdym wagonie było około 70 ludzi.

A.: Niewielu się ratowało. Nie mam żadnego żalu do Polaków.

Jeden jedyny żal, mnie się to nie zdarzyło, ale innym, że nikt nas nie chciał przyjąć, tych, którzy uciekali z pociągów. Ja wiem, im groziła śmierć nie mniej od nas, gdyby ich złapali. Ukraińcy brali Żydów, przetrzymywali miesiąc, wycycali wszystkie pieniądze, a potem szli i meldowali — *u mene w chati jest Żydy, idite zabirajtie*.

F.: Nasz ksiądz na plebanii przechował 20 osób.

A.: Były wspaniałe wypadki w Drohobyczu.

F.: Tam koło domu, gdzie mieszkał twój wujek Schwartz na Samborskiej, mieszkał Ukrainiec, Pysk. 43 osoby w piwnicy ukrywał. W wrytym bunkrze pod domem. Wyobrażasz sobie, co to znaczyło, dawać codziennie jeść 43 osobom!

A.: Gotował całe baniaki jedzenia i mówił, że idzie nakarmić krowy. I spuszczał to do nich. Podobno kiedyś oni się tam na dole zaczęli klócić — ty daj mi więcej, bo ja płaciłem, a ty nie. On wtedy zszedł do nich z orczykiem i zaczął ich tam wszystkich okładać. Ja wam życie ratuję, a wy się tutaj klóćcie, żeby usłyszeli, żeby mnie zabili.

Wszyscy przeżyli wojnę. Była inna grupa, która poszła do lasu, ale po drodze ktoś doniósł i rozwalili ich.

F.: Niemcy bali się iść do lasu. Tchorze byli, banderowców się bali.

Abraham znany był w Drohobyczu jako traktorzysta we wszystkich żydowskich obozach pracy. Jeździł na niemieckim traktorze, tak zwanym buldogu. Pracował w gospodarstwie rolnym, potem na dachówczarni, później przy destylacji benzyny. Do obozu, gdzie mieszkał, przywozili rzeczy z rozstrzelanych ludzi. Wchodził do magazynów i wkładał na siebie dwie, trzy pary spodni, koszul, a potem zamieniał ubrania na chleb. Bał się.

Fredek był najpierw w stolarni, potem na dachówczarni. Uratowany z selekcji, stracił w lesie bronickim matkę. Po jej śmierci dostarczono mu list, który do niego napisała na marginesach swojego ausweisu: jestem szczęśliwa, że się uratowałeś, idę teraz spokojnie z twoją fotografią na śmierć. Bardzo długo przechowywał ten dokument, zginął mu dopiero w Gross-Rosen, w drodze do łaźni. Do Gross-Rosen przyjechał z Płaszowa, stamtąd trafił do Buchenwaldu, potem do innego obozu pod Lipsk. To już był sam koniec wojny. Był zupełnie spuchnięty z głodu.

F.: Nie mogłem już w ogóle chodzić. Był ze mną taki bankier, Niemiec, uprosił w końcu, żeby mnie puścili. Czasami w obozie śpiewałem, on im powiedział, że jestem wielkim śpiewakiem operowym. Wiedział, jak z nimi rozmawiać. Zostałem w rowie, na drodze. Ktoś zawiózł mnie do najbliższej wsi. Nogi miałem cięższe na górze niż na dole. Woda. Ważyłem 40 kilogramów.

A.: Ja doszedłem do 23 kilogramów. Mam dowód zwolnienia z sowieckich łagrów, 23 kilogramów. W wieku 25 lat.

F.: Chodziliśmy jeszcze pieszo od jednego obozu do drugiego. Uwolniony zostałem dopiero 7 maja 1945 roku, przedostatniego dnia wojny. Przez Rosjan. Gdybym był wyzwolony przez Anglików albo Francuzów albo Ameryków, na pewno bym tu nie wrócił. Na pewno.

A.: Czego miałeś tutaj szukać? Kogo tutaj miałeś? Komu byłeś potrzebny?

F.: Wiedziałem, że tutaj nikogo nie ma. Ale pracowałem w Dreźnie u Rosjan jako tłumacz, miałem co jeść. A potem marszałek Sokołowski wydał rozkaz, żeby wszystkich repatriować. I pojechałem. Czy żałuję? Już za późno, żeby żałować. Może tak gdzieś było napisane, że mam tu wrócić.

Taki los. Ktoś tu przecież powinien być. Blisko bronickiego lasu. Dlaczego nie ja?

Nie ma śladu po grobach ojca i brata Abrahama Schwartza. W Bronicy odmówił kadysz. Ale jeden obraz wciąż nie daje mu spokoju. Kiedy pracował na dachówczarni, miał traktor z wielką platformą. Któregoś dnia naczelnik obozu kazał mu pojechać do miasta, przywieźć ludzi. Pozwolił mu zdjąć opaskę. Zawiózł ich do lasu. Widział, jak tamci związywali po pięciu ludzi, strzelali do pierwszego, a ten wciągał innych do grobu. Tak ich zakopywali. Strzelali niemal na oślep, jednemu popadło, innemu nie. Nie wie czy połowa, ale trzecia część była żywych. Ten obraz ciągle jest przed nim. Ruszające się groby.

Kiedy weszli Rosjanie, Abraham wyszedł z kryjówek. Pierwszy człowiek, którego spotkał, rosyjski oficer, zaprowadził go do NKWD. Zaczęło się śledztwo, które trwało 10 miesięcy. Jesteś zdrajcą, podpisz. Nie podpisał. Był sąd. Człowiekowi, który poszedł do lasu i naciął trochę trawy dla krowy, dali 25 lat. Podziękował wysokiemu sądowi, że zmusza go do tak długiego życia, bo myślał, że to już długo nie potrwa. Abrahamowi dali 10.

Wywieźli na Syberię, za kolo podbiegunowe. Peczora, Workuta, Uchta, powyżej 23 równoleżnika. Walił kilkunastometrowe jodły, budował transsyberyjską kolej. Odmroził nogi, ręce, stracił palec. Za 150% normy zdejmowano z wyroku trzy dni. Więc wszystko razem trwało osiem lat i sześć miesięcy. Po śmierci Stalina powiedziano im, że są wolni i mogą jechać gdzie chcą. Pojechali do Czerniowic, rodzinnego miasta żony, także zestanki.

O, snowa kapitalisty przyjechali! Żydy przyjechali! — przywitano ich. Nielatwo było o pracę.

Chciał jechać do Polski, ale nie miał żadnych dokumentów. Zdecydował się szukać. Archiwum z Drohobycza przeniesiono do Sambora. Stamtąd do Warszawy. Pojechał. Znalazł wszystko — metrykę, świadectwo maturalne, akt ślubu rodziców, nawet papier, że był obywatelem polskim do 39 roku. Trzy lata trwało, zanim udowodnił, że Szwarz Abram Leonowicz i Abraham Schwartz to ten sam człowiek.

W 1957 roku odprawili go do Legnicy. Po dwóch latach wyjechał do Izraela. Chciał być daleko stąd. Daleko od wspomnień. Inni zaczęli nowe życie. Dlaczego nie on?

Alfred Schreyer przez szesnaście lat po wojnie grał na skrzypcach i śpiewał w orkiestrze, później był nauczycielem muzyki. Abraham Schwartz pracował dwadzieścia siedem lat w fabryce remontowej samolotów.

Abraham Schwartz przyjechał do Drohobycza po raz pierwszy po 35-ciu latach. Rozmowa ze szkolnym kolegą odbyła się w 50-tą rocznicę śmierci Brunona Schulza. W gimnazjum Jagielly korytarze wyglądają jak wtedy. W klasach siedzą młodzi ludzie, którzy nigdy nie słyszeli o Schulzu, a o Żydach niewiele.

Agata TUSZYŃSKA

Wiersze

Wacław IWANIUK

CZAPSKI

Józiu, Józiu —

Jesteś nareszcie wolny od nadmiaru lat
pełnych słów i obrazów
w twojej galerii w Laffitte.

Twoje listy doręczane ci
w koszyczku.

Czytam je
cenne zgłoski wypełnione życiem.
Dziś mogę o nich mówić bo są już historią:
listy lotnicze na wątlym papierze
by się nie drożyć z celnikiem
gwasze w ciemnych kolorach niesytego słońca
ocalone w moim pustym domu,
paryskie cienie w ulicznych mansardach
i kwitnącą Polskę w Laffitte.
Co krok to pamięć o „Nieludzkiej ziemi”
dziś przekłętą na zawsze —
i zapiski nadziei —
listy, listy, listy
w swoim świetle donikąd.

Pamiętam twoje więzienia i moje na emigracji
mój czas w Toronto
z bielmem ślepych słów.

Wszystkie słowa są miałkie
 pomniki kruszy czas — wiem
 bo jestem dziś dostatecznie stary
 o życiu które dało mi się we znaki.
 Dziś nie szukam zapachu róż lecz zapachu słowa —
 luksus — bolesny jak garb.

Pamiętam twoje obrazy uczulone słowem
 paryskich przekupek,
 ich twarze we mgle —
 niestety
 jesteśmy tymi samymi dziś co byliśmy wczoraj
 bez pewności że wieczność ocala.

Twoje listy, krocie słów, szkiców i —
 obrazy, obrazy, obrazy
 w moim gościnnym domu
 wypełnionym tobą.

WIEŻA ŚMIERCI W TORONTO

Jest cała z metalu
 ma stację z mózgiem elektronicznym
 który odbiera zagraniczne rozmowy;
 wirującą restaurację
 dla przygodnych turystów szukających wrażeń.
 Widok z niej rozległy
 od Niagary do Oceanu
 ale ptakom zagradza
 utartą od pokoleń drogę;
 nikt ich nie ostrzegł
 wpadają w metalowe przęsła —
 zranione krwawią.

Cud techniki i architektury
 jest najkosztowniejszym nagrobkiem
 dla ptaków podróżujących z Północy na Południe.

Czy nie lepiej zbudować ją było tylko w wyobraźni
 wspinalibyśmy się wtedy na jej szczyt

a może i wyżej
 bez pomocy schodów.
 Balustrada w powietrzu chyba by wystarczyła
 gdyby ktoś chciał rzucić się z jej szczytu

i dalej żyć.

PEWNOŚĆ

W mojej Wąwolnicy jak w Herberta Rovigo
 dwa serca i dwa światy
 oba niepodobne —
 Herberta Rovigo i mój w Wąwolnicy.
 Napisałem tam wiele wierszy
 a wszystkie podobne.
 Gdybym napisał tylko jeden
 jak Whitman
 spadł mi kłopot z głowy.
 Ten najpiękniejszy Whitmana
 pamiętam jak pacierz
 choć nie uczyłem się go
 sam się zapamiętał.
 Gdy budzę się zamiast miałkich słów
 odmawiam wiersz Whitmana
 serdeczny jak pacierz
 — czczę samego siebie —
 — *I celebrate myself* —

Ja moją Wąwolnicę
 a Herberta Rovigo.

Wacław IWANIUK

Krzysztof JEŻEWSKI

ODA DO KOTA

O nieujarzmiony. O wolny jak wiatr,
 jak ogień, jak świt ponad turniami.
 O znikliwy, nieuchwytny, igrający z bytem.
 Jak treść najwyższa, której strzegą gwiazdy.
 O słońce ciemności. O księżycu dnia.
 O wdzięczna tajemnico w nocy ametystu.
 Jak dziecko zanurzony w toni swojego kryształu.
 Niewzruszony. Ty, którego śmierć Buddy nie dotknęła.
 Bo słyszysz muzykę sfer wiekiustego życia.
 O milczący, aby obnażona była nędza słowa
 w nieprzebranej ciszy.
 Oko downętrzne, co biegnie za siódmą zastłonę.
 Zwierciadło samego siebie wpatrzone
 w swoje własne zapatrzenie.
 Jak Bóg w swoje własne Piękno.

Krzysztof JEŻEWSKI

Archiwum polityczne

Widziane z Brukseli i z Tallina

JAK WYŚPIEWAĆ REWOLUCJĘ NIE WZBUDZAJĄC
 PANIKI W MOSKWIE

„Jeżeli trzeba uciąć psu ogon, to nie należy tego robić po kawalku...”. Powiedzonko mało subtelne, może razić, kiedy pada z ust wyrafinowanego intelektualisty i zza długiego stołu w pałacu prezydenckim, ale jest skuteczne i przekonujące. Po estońsku brzmi na pewno lepiej, ale kto zna estoński, jeden z najtrudniejszych, z rodziny ugro-fińskiej, języków na świecie? Na szczęście Lennart Meri, prezydent Estonii, jest poliglotą, przytacza mądrość o psim ogonie po angielsku, tylko po to by natychmiast, po francusku i niemiecku, przeprosić za nietakt ewentualnie urażonych miłośników zwierząt.

Tym razem nie chodziło o zwierzęta, a o politykę. Teoria jednorazowego obcinania ogona w Estonii — tak jak niedawno teoria o jednym skoku przez przepaść w Polsce — miała pomóc panu Meri w wytłumaczeniu mi sposobu wybranego przez nowe władze w Tallinie dla wyciągnięcia ich kraju z 50-ciu lat sowiezizmu.

Pomogła, tylko że w pewnej chwili miałem wrażenie, że mnie samego traktują jak psa, choć, na szczęście, o obcinaniu czegokolwiek nie było mowy. Zaczęło się bowiem... ponuro, w kolorze estońskiej nocy. Był zimowy czarny świt. Kazano mi wstać o 6 rano, ciepło się ubrać (minus 10 za oknem), przelknąć szybko zimną kawę i wymaszerować, niedaleko na szczęście, na dziedziniec średniowiecznego zamku, aby asystować w uroczystym podniesieniu flagi narodowej na wysoką, ginącą w zimowej mgłę kamienną wieżę. Tak jak

żydowski szabas rozpoczyna się z pierwszą gwiazdą, tak chwila podnoszenia flagi na wieży w Tallinie nadchodzi z pierwszym promieniem słońca. Była noc, promienia słońca oczywiście ani śladu, ale fachowcy orzekli, że tego właśnie dnia, 24 lutego 1993, słońce nad Estonią wzejdzie o godz. 7.33 i że gość z Brukseli w tym właśnie momencie pod tą wieżą stawić się powinien.

Nie tylko gość z Brukseli. Był tam tłum Estończyków i wielu cudzoziemców, dyplomatów przede wszystkim, akredytowanych w Tallinie, ale rezydujących — to wygodniej — głównie w Helsinkach. Było zimno, ale uroczyście. Śpiewały chóry i łała się w oku kręciła, zwłaszcza Estończykom, którzy razem z chórem śpiewali pieśni do niedawna zakazane, czynność subwersyjna, która — mówiąc w pewnym uproszczeniu — stanowiła dość zasadniczy oręż w wyzwoleniu kraju z komunizmu. Wielu zebranych pod wieżą osobom zdawało się, że to orkiestra grała, a to szumiały na średniowiecznym dziedzińcu echa historii. Inaczej mówiąc, niektórym mogło się wydawać, że niepodległa Estonia powstała dopiero po nieudanym sowieckim puczu w sierpniu 1991 roku w Moskwie, tymczasem w 1993 roku Republika Estonii (Esti Vabariik po estońsku) obchodzi nie półtora roku, a 75-lecie proklamowania niepodległości. Odbyło się to 24 lutego 1918 roku i zapoczątkowało istnienie niepodległego państwa estońskiego aż po znany rok 1940, kiedy, na mocy układu Hitlera i Stalina, Estonia zmuszona została do spontanicznego wejścia w skład wielkiej, bratniej rodziny sowieckiej.

Mimo 75-letniej klamry, prezydent Meri, przy pomocy metafory o psim ogniu, dokonał bilansu nie 75 lat, a ostatnich dwóch lat. I słusznie. To prawdziwy sukces.

Na Eldorado za wcześniej

Sukces, ale nie przesadzajmy. W tę drugą zimę niepodległości Estonia jeszcze nie stanowi Eldorado. Menu jest raczej spartańskie, ceny w dobrych restauracjach dla autochtonów tak wysokie, że aż śmieszne. W Tallinie, miście które mimo półwiecza sowieckiej „urbanistyki” zachowało, choć z trudem, ślady dawnej hansatyckiej urody i świetności, jeździ się autobusem lub tramwajem, samochody stoją w garażu albo na ulicy, benzyna jest piekielnie droga, ulice fatalnie oświetlone, bo energię, głównie za dewizy z Zachodu, trzeba w ogóle oszczędzać. Płace niskie, ceny wysokie, z jednej prze-

ciętej pensji wyżyć się nie da, a emerytury, jak wszędzie w po-sowieckim świecie, wprost głodowe. Litanię można ciągnąć dalej, wszystko to prawda, a jednak nie widać ani nędzy, ani — co może ważniejsze — apatii. Uderza — mało zauważalne gdzie indziej w po-sowieckim pejzażu — poczucie godności własnej i, jakby to powiedzieć bez patosu, narodowej. Spotkałem naturalnie także arogantów i pijaków, byli to z reguły cudzoziemcy, Finowie (ci mają tradycję) no i, to też tradycyjnie, Rosjanie. A przecież chodzi o kraj ciągnący ogon nie psi, a ogon spadku po 50-ciu latach okupacji.

Estonia to najmniejszy (1,5 miliona mieszkańców na 45.000 km kw.), najbardziej północny, najbardziej skomplikowany, najbardziej skandynawski, najbardziej zagrożony i najbardziej... odprężony z krajów bałtyckich. Podczas kiedy w drodze do niepodległości Litwa czy Łotwa musiały przejść przez rozmaite mniej lub bardziej krwawe epizody walki z Sowietami (wystarczy przypomnieć atak na wieże w Wilnie i Rydze), Estonia doszła do wolności śpiewając. Nie śpiewając, podkreślam, ale śpiewając. Swoją drogą sami nazwali to „śpiewającą rewolucją”. Estonia ma rzeczywiście długą i wspaniałą tradycję muzyki chóralnej. Jej doroczne festiwale zamieniły się, zwłaszcza od roku 1987, w prawdziwe manifestacje oporu wobec sowietyzacji w kulturze i władzy sowieckiej w polityce. Były to prawdziwe festiwale kontestacji. Kiedy okupanci zorientowali się, co się śpiewa i w jakiej tonacji, kiedy zaczęli grzmieć i karać za „festiwale odwetu i kontrrewolucji”, było już za późno. Pucz dokonał reszty.

Nie tylko pucz. Prezydent Meri uzupełnia moją wiedzę. „Estonia, powiada, nigdy nie była całkowicie odcięta od świata. Tak jak była NRD, Estonia, a zwłaszcza Tallin, miała zawsze dostęp do zachodniej telewizji, w naszym przypadku do telewizji fińskiej. Dzięki temu (Meri wprowadza tu uprzejmie polski akcent) Estończycy byli jedynym narodem w ex-Związku Sowieckim, który wiedział, że Lech Wałęsa nosi wąsy. No i że była Solidarność, zamach grudniowy, a potem 'okrągły stół' i w ogóle cała reszta...”

Premier junior

Wąsy Wałęsy nie stanowią jedynej „specyfiki” estońskiej. Ten mały kraj ma na sowieckiej scenie kilka premier na swoim koncie. Estonia ma na przykład najmłodszego premiera (i chyba cały rząd) na świecie. Mar Laar ma zaledwie

33 lata. Historyk współczesny, specjalista od okresu okupacji sowieckiej, Laar tłumaczy mi podstawowy aspekt „odcinania ogona”, to znaczy reformę walutową. Przeprowadzona została, jak w Polsce, jednego dnia. Od jednego ciosu padł rubel i wprowadzona została korona. Jest to waluta stabilna, wewnętrznie wymiennalna, już zresztą notowana na niektórych rynkach finansowych, w Skandynawii przede wszystkim, i, na razie, trzyma się lepiej niż polski złoty. Dolar w Polsce po 1 stycznia 1991 szedł dość regularnie w górę; w Estonii, od początku przez 9 ubiegłych miesięcy 8 koron równa się jednej DM — niemieckiej marce. „Zauważył pan — mówi Laar — że jedyne kolejki u nas stoją przed biurami wymiany walut, przeważnie wewnątrz domów towarowych. Ludzie zmieniają kiedy trzeba, bo wiedzą, że kurs się nie zmieni. Wprowadzenie korony było prawdziwym szokiem, zarazem symbolicznym i konkretnym”.

Coś w tym jest. Wyniki są widoczne. Życie, przy miejscowych zarobkach (oficjalnych) jest bardzo drogie. Sklepy są więc pełne, towary nie zawsze pierwszej jakości, często zresztą buble zachodniej produkcji. Wprowadzenie wymiennej korony nadało też zupełnie nowy charakter wymianie handlowej z zagranicą. Przedtem, w strefie rubla, 90% wymiany szło z resztą ZSSR. Dziś połowa handlu już się odbywa z krajami spoza byłego ZSSR. Dzieje się tak m.in. dlatego, że — jedyna chyba spośród byłych republik sowieckich — Estonia nie jest zależna od monopolu dostaw sowieckiej czy teraz rosyjskiej ropy.

Bez konwulsji

Pierwsza również wśród „sierot po Sowietach” Estonia pozbyła się komunistów w życiu politycznym kraju. O żadnej dekomunizacji czy lustracji nie było mowy. Byli estońscy i sowieccy funkcjonariusze kolonialnego ucisku, KGB i innych organów, zwłaszcza ci z góry, wmieszani bezpośrednio w represje, zostali usunięci, sami się usunęli albo po prostu wyjechali. Partia komunistyczna jako taka przestała się liczyć, jej „niepodległościowa” odmiana nie przekroczyła 5-procentowej bariery wyborczej i nie zdobyła ani jednego miejsca w parlamencie. Są, naturalnie, byli „normalni” komuniści wśród innych partii, a nawet w parlamencie; zachowali oni, także naturalnie, wszystkie prawa obywatelskie, ale w Estonii nie ma groźby „syndromu litewskiego”,

to znaczy nie ma — tak twierdzą miejscowi fachowcy — szansy legalnego i demokratycznego powrotu miejscowego Brazauskasa do władzy.

Może i nie ma. Na razie. Rozmawiałem długo z Arnoldem Ruutelem, właśnie estońskim ewentualnym Brazauskasem, ostatnim przewodniczącym partii komunistycznej, który zachował sporą popularność i szacunek w kraju (choć nie w Moskwie), albowiem w znacznym stopniu przyczynił się do pokojowego tranzytu Estonii z sowietyzmu do początków demokracji. Zapytałem go, czy chce aby go nazywać estońskim Jaruzelskim. Powiedział, że woli być Ruutelem. Wrócił do profesury na wydziale agronomii uniwersytetu w Tartu (słynny ongiś Dorpat), zapewnia, że nie ma żadnych ambicji politycznych (choć gdyby ojczyzna znalazła się w niebezpieczeństwie...), krytykuje niektóre aspekty obecnej administracji, w niektórych sprawach np. w nieufności wobec... Moskwy — idzie nawet dalej niż Meri.

Ale to wszystko są pozory. Niefrasobliwość Estończyków jest pod tym względem zastanawiająca. I niepokojąca. Po pierwsze, pogląd, że tysiące ludzi, wielu młodych, byłych członków aparatu kompartii, da się bez oporu definitywnie zepchnąć na margines polityczny, graniczy z naiwnością. W Czechosłowacji, przed rozwozem, byli komuniści otrzymali 14% głosów, w Polsce — 12, w Bułgarii... 53, no a Iliescu został wybrany, prawie po sowiecku, 87 procentami głosów. W Estonii, jak się zorganizują, też się pojawią.

Po drugie, i tym bardziej, w krajach posowieckich nie głosuje się na komunistów, a przeciwko innym. Tak się przecież stało na Litwie, gdzie rozczarowanie Sajudisem i Landsbergisem było silniejsze niż strach przed komunistami i oddało, legalnie i demokratycznie, władzę byłej partii i Brazauskasowi. Estonia nie jest szczepiona na rozczarowanie, które staje się stałym składnikiem okresu przejściowego od komunizmu do demokracji. Rozczarowanie społeczne, także w Estonii właściwie nieuniknione, może ale nie musi być groźne, pod warunkiem, że nie będzie stanowić zaskoczenia.

Senior w palacu

Pierwsza także w byłym imperium, Estonia zafundowała sobie jesienią ubiegłego roku wybory prezydenckie. Ostatnie takie wybory w Estonii odbyły się w roku... 1938. Prezydent Lennart Meri ma 62 lata, tyle co premier i minister od spraw

sowieckich razem. Zanim został prezydentem, Meri był pisarzem (6 książek), filmowcem, dziennikarzem, tłumaczem Remarque'a, Greene'a i Solżenicyna, profesorem uniwersytetu, specjalistą od prehistorii Białych, pierwszym ministrem spraw zagranicznych niepodległej Estonii, no i, tuż przed wyborami (kiedy z wielkim trudem, i w drugiej turze, wygrał właśnie z Ruutelem) ambasadorem w Finlandii.

Kampania wyborcza była barwniejsza niż ulica w Tallinie. Zanotowano nawet coś z dziedziny telekomunikacji, estońskie Watergate. Określonego dnia pewien dziennik wydrukował mianowicie numer telefonu byłego premiera Savisaara z zapowiedzią, że jest on gotów odpowiadać na pytania wyborców. Tego samego dnia inny dziennik wydrukował ten sam numer telefonu z wiadomością, że jest tam do nabycia jeden z najbardziej kuszących przedmiotów estońskich marzeń i snów, a mianowicie fińskie opony. Resztę można sobie wyobrazić...

Ale pan Meri wybrany został nie przez telefon. Jest on synem dyplomaty i miał w 1940 roku wyjechać z rodzicami do USA, gdzie jego ojciec został właśnie mianowany ambasadorem. Ale Sowietci byli szybsi, zajęli kraj i młody Meri, ciągle z rodzicami, pojechał w odwrotnym kierunku: na Syberię.

Nie był to, jak sam mówi, czas całkowicie stracony. Meri stał się specjalistą od Syberii, Arktyki i Związku Sowieckiego. Jest autorem wydanej po rosyjsku i rozdanej, w odpowiednim momencie, posłom Najwyższego Sowietu w Moskwie, „Dokumentacji estońskiej”, to znaczy rewanżu skutków, jakie pociągnął dla Estonii pakt Ribbentrop-Mołotow i pięćdziesiąt lat sowieckiej okupacji. Nie jest to lektura przyjemna, Estonia straciła połowę Estończyków i „zyskała” tyleż Rosjan, ale, jak twierdzi autor, bardzo się przydała. W każdym razie prezydent Meri, dobry (mam nadzieję) psycholog, stał się także specjalistą od „rosyjskiej duszy”, co w dzisiejszej sytuacji Estonii stanowi niesłychanie ważną i przydatną cechę w zasadniczej dla tego kraju sprawie, to znaczy w stosunkach z Rosją.

Ostatnia premiera

Prezydent Meri pełni funkcje o dość ograniczonych możliwościach bezpośredniego wpływu na bieżącą politykę, ale jego doświadczenie może się przydać w kontaktach z Rosjanami. — Proszę pana — mówi Meri — ja Rosjan znam lepiej

niż wy tam na Zachodzie. — Mam nadzieję, że się nie myli i że wiedzą o tym i skorzystają z tego premier Maar, a zwłaszcza minister Juri Luik, lat... 30, członek rządu, odpowiedzialny za całość (kilkanaście ekip ze strony Moskwy) negocjacji z Rosjanami.

Stosunki z Rosją — to nie rewelacja — stanowią podstawowy element stabilności lub niestabilności, strategii w ogóle, w po-sowieckich republikach. Estonia ma jednak wyjątkowy „przywilej”: tylko 60% jej mieszkańców to Estończycy, 30% to Rosjanie, a reszta to inni obywatele byłego ZSSR. Do tego należy dodać obecność w Estonii bliżej niesprecyzowanej liczby żołnierzy byłej armii czerwonej.

Inaczej mówiąc, problem stosunków z Rosją to nie tylko kwestia polityki zagranicznej, to także problem polityki wewnętrznej Estonii. Ludzie rozumni w Tallinie zadają sobie więc dziś pytanie, czy zachodzi — i, jeżeli tak, to jakie — prawdopodobieństwo, że pewnego dnia Rosjanie w cywilu i Rosjanie w mundurach postanowią coś zrobić w Estonii razem i równocześnie. To bowiem byłaby także premiera, ale już nie tylko w skali Estonii.

Bardzo duża teka

Kwestia jest nie tylko polityczna, ale także wizualna. Z każdego miejsca w parlamencie, gdzie mnie przyjmują premier, minister do spraw rokowań z Rosją i minister obrony, widać nie starówkę, a ogromną, górującą nad miastem katedrę prawosławną, wybudowaną przez cara Mikołaja II jako symbol dominacji Moskwy i rusyfikacji luterkańskiej Estonii. To m.in. dzięki tej rusyfikacji rozmowy z politykami w Tallinie czy profesorami w Tartu nie przedstawiają żadnej trudności językowej, ani, naturalnie, intelektualnej. Wszyscy oni pokończyli uniwersytety w Tallinie, Tartu albo w... Moskwie, niektórzy, jak minister obrony Hain Rebas, 50-letni Matuzalem rządu, wrócili z emigracji, gdzie często wykładali na uniwersytetach, Rebas np. w Göteborgu i Kilonii.

Otóż, nie ma w „komunikacji” żadnego problemu, albowiem ci wszyscy z reguły bardzo — jak na nasze standardy — młodzi i pewni (może za bardzo) siebie politycy nie tylko znakomicie znają swoje *dossiers*, ale także języki. Poza naturalnie estońskim, wszyscy, „dzięki” okupacji, znają świetnie rosyjski, a z potrzeby i sympatii posługują się przeważnie *fluent* angielskim. W Dorpacie, który mimo sowietyzacyjnych

wysiłeków zachował jeszcze ślady heidelberskiego *charme'u*, profesorowie znają ponadto niemiecki.

Łatwość w porozumieniu się nie złagodziła wrazenia ogromu trudności w podejściu i rozwiązaniu „estońskiej kwestii rosyjskiej”. Mówię do ministra Luika, odpowiedzialnego za negocjacje z Moskwą: „Jak na ministra bez teki, ma pan bardzo dużą tekę”, na co p. Luik odpowiada: „Duża, ciężka i trudna, odpowiadająca skali naszych problemów w stosunkach z Rosją”.

Pytam nadal: „Jest pan w niewygodnej pozycji. W Tallinie pana prezydent, prorok antygwałtu, człowiek o gołęmbim sercu, oskarżył właśnie Moskwę o tendencje „neo-imperialne”. W Moskwie zaś, minister spraw zagranicznych Rosji, Kozyrew, choć jelicynowski liberał, oskarżył Estonię o tendencje nacjonalistyczne i odwetowe działające na szkodę stosunków estońsko-rosyjskich. Jak ma Pan zamiar wybrnąć z tego impasu?”.

„Nie dramatyzujmy, powiada Luik, z impasu zawsze jest jakieś wyjście”.

Ba, ale jakie? Wszystkich moich kolejnych rozmów nie można i nie warto przytaczać, niektóre zasadnicze elementy i argumenty naturalnie powtarzają się. Streszczając je, można estońsko-rosyjską „teczkę” ułożyć według kategorii zmartwień. I zatytułować: „Jak wyjść z sowietyzmu nie wzbudzając paniki w Moskwie?”

Wina w historii

Teza wyjściowa, taktycznie sprytna, powiada, że nie należy, broń Boże, nikogo oskarżać o złą wolę, albowiem wszystkie aktualne spory rosyjsko-estońskie są w zasadzie dziedziectwem przeszłości. Wszystkie poszczególne epizody obecnego konfliktu z Moskwą są częścią spadku po komunizmie i sowietyzmie, 50-letniej okupacji Estonii przez Związek Sowiecki. Państwo to już nie istnieje, ale opad po nim tak szybko nie zniknie. Otóż, powiadają Estończycy, paradoks polega na tym, że choć to właśnie nowa Rosja i Jelcyn pierwsi uznali naszą niepodległość i przyspieszyli przez to uznanie nas przez resztę świata, to właśnie z obecną Rosją i tymże Jelcynem przychodzi nam się zmagać, aby truciznę po-sowieckiego spadku jakoś zneutralizować.

Główna pozycja „spadku” to nie ruina kraju, a 40% nie estońskiej ludności w Estonii. Na ulicach Tallina słyhać częś-

niej język rosyjski niż estoński, większość mieszkańców stolicy jest nie estońska. Po zajęciu Estonii przez ZSSR i wrzuceniu jej na strategiczne peryferia imperium, nastąpiła ogromna, jak na wielkość kraju, przymusowa wędrownia ludów. Deportacja Estończyków zabrała, w większości wypadków na zawsze, setki tysięcy ludzi. Kolonizacja zaś Estonii, zwłaszcza w tych strefach, jak w okręgu Narwy, gdzie Moskwa budowała kombinaty przemysłu zbrojeniowego, sięgała 95% ludności.

Statystyka jest nudna, ale potrafi być wymowna. W 1945 ludność Estonii była właściwie jednolita: 97,3% było etnicznie „czystych”. W 1992 roku Estończyków w Estonii było już tylko 61%, reszta to przede wszystkim Rosjanie, a potem Ukraińcy, Białorusini, Azjaci, inni Bałtowie etc., razem naliczono ok. setki narodowości...

„Ogromna większość z nich, powiada minister Luik, przybyła do nas, delikatnie mówiąc, bez zaproszenia, aby służyć interesom nie Estonii, a państwa, które ich tu przysłało. Ponad 40% urodziło się poza granicami Estonii. Logicznie biorąc, powiada mój rozmówca, trzeba ich więc uznać za „kolonów”, choć nie zawsze odpowiada to ich intencjom i bywa krzywdzące”.

„Ale, powiadam, często ich tak właśnie traktujecie. Niektórzy, drugie czy nawet trzecie pokolenie rosyjskie, czują się dziś w Estonii jak u siebie. Widziałem już w prasie zachodniej skargi na Estonię za złe traktowanie obcych. Po wykluczeniu tych obcych z udziału w wyborach, czytałem nawet aluzje do „czystki etnicznej” w Estonii. Po co wam to?”

Dajcie im paszport!

Odpowiedź jest długa i tak skomplikowana, jak sytuacja w terenie. Po pierwsze, powiadają, mimo koszmarnego remanentu sowieckiego, nie ma w Estonii (to, moim zdaniem, prawda) uczucia nienawiści wobec Rosjan ani nawoływań do zemsty czy odwetu. „Niech pan to porówna z innymi krajami w podobnej sytuacji, a także w Polsce, a zrozumie pan różnicę”. Po drugie, powiadają, niech pan nie czyta niedobrych gazet, a pójdzie w teren. Estonia jest dumna, podkreśla, mimo koszmarnego spadku wszyscy mieszkańcy tego kraju, Rosjanie także, mają absolutnie takie same prawa ludzkie, obywatelskie, socjalne i w ogóle, co obywatele estońscy, z podwójnym wyjątkiem: nie mogą głosować w wybo-

rach parlamentarnych i prezydenckich i nie mogą zajmować najwyższych stanowisk w państwie. A to chyba normalne.

No dobrze, pytam, to dlaczego im utrudniacie akurat uzyskanie obywatelstwa estońskiego? Dajcie im wasz paszport i będzie po krzyku. Czyżbyście się bali „rosyjskiego głosu”, ryzyka, że głos ten mógłby spowodować „litewski” wynik głosowania?

Odpowiedź jest potrójna. Po pierwsze, jeżeli chodzi o obywatelstwo, to ustawa estońska należy do najbardziej liberalnych na świecie. „Mamy, powiadają, minimalne wymagania, mniejsze, np. w odniesieniu do niezbędnego czasu zamieszkiwania, niż gdzie indziej. Po drugie, całą awanturę sprowadzić można do kwestii znajomości języka estońskiego. I tu też nasze wymagania są skromniejsze niż np. w USA. Wymagamy znajomości języka na poziomie dziecka. To nie jest dyskryminacja. Bez tego o żadnej karierze w Estonii przecież nie może być mowy”.

Wyborów, po trzecie, się nie boją. „Na zmasowane rosyjskie głosowanie na litewski model, powiadają, się nie zanosi. Społeczność rosyjska w Estonii nie jest jednolita”. To prawda. Moi gospodarze zorganizowali spotkanie z czterema Rosjanami, reprezentującymi właściwie wszystkie chyba tendencje w ich wspólnocie językowej. Jeden był zupełny dement, nacjonal-komunisto-faszysta prosto od Żyrynowskiego, a jak twierdzą (mam nadzieję, że słusznie) pozostali trzej, o niewielkich wpływach w rusofońskiej wspólnotce. Drugi, rosyjski businessman, wołał spokojnie o równość praw, bał się dyskryminacji Rosjan na przykład w sferze zatrudnienia, m.in. z powodu nieznamości języka estońskiego. Trzeci i czwarty, obaj intelektualści, związani z uniwersytetem i Akademią Nauk, byli już po prostu Estończykami pochodzenia rosyjskiego i stawiali na normalny status obywatela w ramach szerokiej swobody kulturalnej. „Ruskiego głosu nie będzie. Większość Rosjan będzie głosować nie według pochodzenia, a na określony program, czyli partie polityczne”. Zresztą, niedługo odbędą się w Estonii wybory samorządowe, w których stali mieszkańcy, także nie-obywatele, mają prawo głosu. „U was, powiadają zadziornie, jeszcze tego nie ma. To będzie dobry test. Wtedy przekonamy się, jak głosują Rosjanie”.

Komu się w Narwie dobrze żyje?

A w ogóle, tłumaczą mi moi rozmówcy, należy mieć zaufanie do zdrowego rozsądku Rosjan. Ich postępowanie

zgodne będzie nie z abstrakcyjnymi kryteriami narodu, a odpowiadać będzie temu, co się określa jako interes własny. Jaka jest różnica w poziomie życia, każdy widzi. Wystarczy przejść się po Narwie, estońskim mieście, zamieszkałym właściwie wyłącznie przez Rosjan, oddzielonym jedynie rzeką Narwą od miasta Iwangorod, które też kiedyś, przed sowieckim zaborem, nazywało się Narwą. Mieszkańcy obu stron dobrze wiedzą, komu się w jakiej Narwie lepiej żyje.

„No to dlaczego wypychacie ich na siłę”, pytam.

„Wcale nie wypychamy. Wyjeżdża ten kto chce. Ale mamy umowę z Rosją, że obie strony pomagają w repatriacji, bo tak to przecież trzeba nazwać. Rosja zobowiązała się repatriantów przyjmując, daje im (teoretycznie) wolną rękę w wyborze miejsca osiedlenia, a nawet nadziela ziemią skłonnych osiąść na roli. My, z naszej strony, uczyniliśmy krok bez precedensu. Pozwalamy wyjeżdżającym sprzedać ich państwowe mieszkanie na wolnym rynku, choć jest to operacja Estończykom surowo zabroniona. W Estonii może to przynieść między 10.000 a 15.000 dolarów, co stanowi kolosalną fortunę po drugiej, rosyjskiej stronie granicy i zapewnia w miarę wygodny start w nową egzystencję.

Kozioł ofiarny

Po prostu więc nirwana. W rzeczywistości nie jest tak wesoło. I dlatego, że w Estonii w ogóle wesoło nie jest i życie jest trudne. No i dlatego, że, przeciętnie biorąc, Rosjanom w Estonii żyje się może lepiej niż w Rosji, ale na pewno gorzej niż Estończykom. W Narwie np. bezrobocie jest wyższe niż przeciętna kraju, m.in. dlatego, że sowiecki przemysł zbrojeniowy w Rosji w ogóle, a w byłych koloniach w szczególności, plajtuje i zwalnia ludzi. „Mimo tego, tłumaczą mi, większość Rosjan i innych chce u nas zostać. Nawet w naszych trudnych warunkach, możliwość dorobienia się 'byłych najeźdźców' i ich dzieci, jest u nas nieporównanie większa niż w Rosji czy na Ukrainie”.

„A jednak, powiadają, to właśnie na okropny los Rosjan w Estonii powołuje się Moskwa, aby uzasadnić ataki na wasz 'nacjonalizm'. No i aby uzasadnić pozostawienie tu resztki korpusu okupacyjnego armii czerwonej”.

Tu wkraczamy w czystą, a według Estończyków, brudną politykę. „Los Rosjan w Estonii, odpowiadają unisono ministrowie, to tylko pretekst. Byłby śmieszny, gdyby nie był taki

smutny. Wszystko wskazuje, że Estonia staje się, ba, już jest kozłem ofiarnym konserwatywnych i nacjonalistycznych sił w Rosji. Zastępczym balonem do bicia. Problematyka bałtycka, estońska w szczególności, nabrała w Moskwie absolutnie bezsensownego rozpędu. Podczas kiedy w Azji czy na Kaukazie, Tadżykistanie czy Gruzji, los rosyjskich zbiorowości może i powinien być przedmiotem wyjątkowej troski w Moskwie, nikogo los tamtejszych Rosjan nie wzrusza. Natomiast mała Estonia, gdzie się Rosjanom najlepiej chyba żyje z całego imperium, stała się w Moskwie 'papierkiem lakmusowym' rosyjskiego patriotyzmu".

Moi gospodarze nie chcieli się *on the record* za daleko posuwać. Prezydent Meri nie krępował się, ale on ma inną sytuację, nie negocjuje, nie rządzi. Mógł więc sobie pozwolić na publiczny atak na całego. Pod pretekstem polemiki zarówno z artykułem w *Komsomolskiej Prawdzie*, która wyraziła (rzeczywiście głupio) zdziwienie faktem, iż Estonia święci aż 75-lecie niepodległości, co i wypowiedzi akademika Karaganowa w *Diplomatycznym wiestniku*, który domagał się, pod pretekstem „opieki” nad rosyjską diasporą, sankcji wobec Estonii, Meri rzucił mięsem, przywołał zjawy Hitlera, Stalina, Goebbelsa i Wyszyńskiego (Andrieja), Monachium i „Mein Kampf”, Stalingradu i El Alamein...

Co za dużo, to niezdrowo, można by powiedzieć, gdyby nie przekonanie (naiwne) prezydenta Meri, że tylko krzyk może obudzić zachodnią wyobraźnię. W istocie bowiem, jeżeli uspokoić słownictwo, to nie ulega kwestii, i to wyraźnie widać z Tallina (z Brukseli zresztą także), że kwestia bałtycka czy estońska zwłaszcza, właśnie bo małe to i bezbronne, jest jaskrawym przejawem nowych trendów w polityce rosyjskiej. Estonia, i inne Estonie, staje się częścią wewnętrznych rozgrywek w Rosji. Meri może wołać (na pustyni) o Rosję Sacharowa czy Sołżenicyna, na razie dochodzi do niego głos Karaganowa. No i biednego Kozyrewa, który musi starać się przelicytować Karaganowa.

Piąta kolumna

Dlatego ziemia trzęsie się (nie tylko) w Estonii, kiedy w Moskwie lansuje się doktrynę *Russia first*, kiedy wywołuje się ducha „strefy wpływów” i strategicznych interesów Rosji w Nadbałtyce, kiedy rodzi się w Moskwie teoria „państw strefy przybliżonej”, to znaczy pasa między Rosją a prawdziwą „za-

granicą” (gdzie w tym układzie znajdzie się Polska?), i kiedy dotyczy ona właśnie Bałtów. Kiedy Jelcyn popełnia historyczne gaffy lansując tezę o pacyfikacyjnej misji Rosji na „całym obszarze byłego ZSSR”, to znaczy także u Bałtów. I kiedy, ale to już nie Jelcyn i to nie gaffa, ktoś inny w Moskwie, jak kiedyś puczysta Łukianow — sugeruje, że w tej nowej „po-imperialnej” dynamicznej polityce zagranicznej mocarstwa rosyjskiego, społeczność rosyjska za granicą powinna odegrać „rolę politycznie aktywną”.

„Piąta kolumna?” pytam.

„Mamy nadzieję, odpowiadają, że Jelcyn nie da sobie narzucić tego rodzaju samobójczych pomysłów. Mamy także wrażenie, że Rosjanie w Estonii mają za wiele do stracenia, aby dać sobą w tak prymitywny sposób manipulować z zewnątrz”.

Na razie Estończycy nie mają dowodów na istnienie jakiegokolwiek akcji w tej „nowej” formie eksportu rewolucji. Odniosłem wrażenie, że jakkolwiek Estończycy zdają sobie sprawę, że mocarstwo rosyjskie jest tuż obok i że będzie, długo jeszcze, bardzo istotnym elementem równowagi i stabilności w tym strategicznie bardzo czułym rejonie Europy, to wszelkie spekulacje na temat tego, co w Moskwie rozumie się przez „strefę wpływów” rosyjskich w tym kraju, nie wchodzą właściwie w grę. Estończycy wyrażają przy tym przekonanie, że świat zachodni, któremu wyraźnie za bardzo ufają, nigdy na rosyjską politykę strefy wpływów zgody nie wyrazi. „To przecież, mówi minister, byłoby niebezpieczne nie tylko dla Estonii”.

Minister ma rację. Ale to samo mówiło się w odniesieniu do wojny w Bośni. Też miała rzekomo być niebezpieczna nie tylko dla Bośni. Na wojnę w Bośni Zachód też przecież nie wyraził zgody, co nie przeszkodziło mocarstwu serbskiemu w utworzeniu sporej strefy wpływów. I gwałtów. Bezkarne.

Estończycy zrobili na mnie wrażenie (zbyt) optymistycznych realistów, (zbyt) pewnych siebie. „Ilu żołnierzy rosyjskich stacjonuje na waszym terytorium?”, zapytałem. Odpowiedzi nie dostałem. Ani od prezydenta, ani od premiera, ani od ministrów, kolejno; spraw zagranicznych, spraw rosyjskich i... obrony.

Estońska tajemnica państwa... rosyjskiego

Nie otrzymałem odpowiedzi od nikogo, bo nikt jej nie zna. Wszystkie oficjalne *démarche* o ujawnieniu danych na temat

stanu wojsk rosyjskich ciągle stacjonujących (tutaj mówią: „okupujących”) na sporych, a zwłaszcza ważnych częściach terytorium estońskiego, pozostały bez odpowiedzi. Tajemnica państwowa i wojskowa (rosyjska nie estońska), odpowiadają generalowie po-sowieccy. Najogólniejsze oceny wahają się od 40.000 — dwa lata temu — do między 10 a 15.000 — dzisiaj.

Jakieś dane na temat liczby rosyjskich żołnierzy w Estonii ujawnione zostały we... Wiedniu, gdzie zbiera się grono panów kontrolujących (tak mi się zdaje) postępy w realizacji rozbrojenia „klasycznego”. Ale tutaj nikt danych cytowanych przez Rosję nie bierze na serio. Tu w Estonii nie chodzi o abstrakcyjną arytmetykę, a o gołe spojrzenie. Wrażliwość na ten rodzaj „obecności” rosyjskiej jest w Estonii tak wielka, że przez całe tygodnie szła w parlamencie awantura między opozycją a rządem wokół podejrzenia, że... 200 (słownie dwustu) żołnierzy rosyjskich wkroczyło bez wiedzy Tallina na teren Estonii.

„Tu nie chodzi o liczby, powiada minister obrony Hain Rebas, świeży reemigrant, obywatel estoński i szwedzki (przeszkadza to tylko niektórym posłom z opozycji), a chodzi o zasadę. Jest ich mało lub dużo, wszystko jest względne, dla nas będzie ich zawsze za dużo. I to w trzech parametrach: stacjonowanie wojsk rosyjskich w suwerennej Estonii jest politycznie niedopuszczalne, taktycznie niebezpieczne (awantury i prowokacje) i psychologicznie szkodliwe, bo powiększa zamiast zmniejszać przepaść z Rosją. Dlatego wycofanie „każdej” liczby żołnierzy rosyjskich z Estonii stanowi podstawowy składnik naszych żądań wobec Rosji, naszych przyszłych dobrosąsiedzkich stosunków”.

Kraj bez granic

Spór o liczby ociera się w miejscowych warunkach o śmieszność. Estonia faktycznie nie ma wojska i nie może się bronić. Nie jest w stanie bronić swoich granic nie tylko przed rosyjskimi T55, ale nawet przed przemytnikami. Tymi m.in. którzy (nieraz w... mundurach rosyjskich) przerzucają teraz wszystko, od narkotyków po kawior, poprzez broń (amerykańska ręczna rakietka antylotnicza Stinger jest do nabycia już za głupie 100.000 dolarów), drogą północną, przez porty bałtyckie, a w tym oczywiście Tallin, o mały skok od Helsinek. (W Tallinie dowiedziałem się, że po-so-

wiecka Azja zbiera jedną trzecią światowej produkcji maku).

Logika przemytników jest prawidłowa. Z jednej strony, z powodu wojny, szlak przez Bałkany jest zbyt ryzykowny. Z drugiej strony, kraje jak Estonia ledwo-ledwo suwerenne są słabiotkie, bez skutecznych struktur policyjnych i granicznych. Świeżo rekrutowane młodzieńcze straże w ogóle się nie liczą w starciu ze znakomicie uzbrojonymi i wyposażonymi w najnowsze gadgety gangami przemytników, opłacającymi na dodatek byłych (a nawet obecnych) funkcjonariuszy KGB. No i wreszcie, nowe kraje bałtyckie (a także, jak mi powiedziano, Polska) stanowią Eldorado dla czyszczenia narko-pieniędzy. Banki, w pogoni za dewizami, nie interesują się ich pochodzeniem. I dają duży procent.

Co robić? Logika Estończyków jest także nie do zbitcia. „Pomóżcie nam, powiada Rebas. Ofiarujcie nam i *know-how* i sprzęt. Przecież to także w waszym interesie”. I rzeczywiście. Jak mi opowiedział prezydent Meri, przypadkowa właścicielka inspekcja w porcie tallińskim odkryła niedawno spory transport broni. „Towar” ukryty był pod etykietą „broń myśliwska” i przeznaczony oficjalnie dla istniejącej, jak się okazało, firmy na jakiejś wyspie na kanale La Manche. W rzeczywistości były to skrzynie z kilkudziesięciu tysiącami pistoletów maszynowych typu „Makarow”, ulubioną bronią Paktu Warszawskiego i docelowo miały dotrzeć w ręce IRA, terrorystów irlandzkich. „Naśladujcie, powiada Rebas, przykład Niemiec, które nam dały spore ilości sprzętu, a także kilka łodzi patrolowych z arsenału byłej NRD i dwa małe samoloty dostosowane do obserwacji ruchu przybrzeżnego”. Samoloty, to przesada. Widziałem te dwa samolociki, kiedy, w charakterze całej floty powietrznej suwerennej republiki estońskiej, przeleciały kilka razy nad niewielkim placem w centrum Tallina w dzień niepodległości w czasie uroczystej parady wojskowej (całość, z okrzykami „hurra” i skautami razem, trwała niecałą godzinę). Jakiś tak zwany „obserwator” z Moskwy zastanawiał się głośno, czy nie chodzi o niebezpieczny precedens pomocy wojskowej? Na co ambasador niemiecki odpowiedział, że tu chodzi wyłącznie o pomoc humanitarną. I miał rację.

Padliski, miasto zamknięte

„Ale, powiadam do Rebasa, przecież Rosjanie się jednak wycofują”.

„Tak, odpowiada, ale dla nas za wolno”. Rosjanie wycofali już bronie strategiczne, m.in. rakiety i samoloty z ogromnej bazy pod Tartu, „zabawki”, które w zasadzie mogły być przeznaczone wyłącznie do niemożliwego już dziś ataku na Zachód. Estończykom chodzi o resztę, a przede wszystkim o zmotoryzowaną dywizję stacjonującą w Tallinie, o kilkaset metrów od parlamentu, i miasto i port Padliski o kilkadziesiąt kilometrów od Tallina.

Do miasta Padliski nie dotarłem. Nie tylko ja. Estończycy także nie mają wstępu. Nawet inspektorzy Agencji Atomowej w Wiedniu pocałowali klamkę. Skąd ta tajemnica? Ano, w Padliskach funkcjonuje bardzo wyspecjalizowana rosyjska Akademia Morska. Są tam czynne dwa reaktory atomowe szkolące oficerów dla nuklearnych łodzi podwodnych. Wycofanie Rosjan nie zamknie rozdziału. Po bazie lotniczej w Tartu ziemia, twierdzą autochtoni, jest zatruta na wieki, można więc sobie wyobrazić, co zostawia Rosjanie w Padliskach! „Padliski zatruwają nie tylko ziemię, powiada Rebas, atmosferę także”. Chodzi mu o to, że nie tylko sama baza na lądzie, ale także ruch statków wokół portu umyka zupełnie spod kontroli Estonii.

Jakby tego nie było dosyć, dorzucam „wiadomość z ostatniej chwili” i pytam czy zna — i jeżeli zna, to co myśli — o ostatnim oświadczeniu generała Majorowa, dowódcy tego, co kiedyś zwano „bałtyckim okręgiem wojskowym ZSSR”, który w Rydze miał właśnie powiedzieć, że Rosja zakłada „stałą obecność wojskową” w Estonii?

„To sygnał nierealistyczny. I tym bardziej niebezpieczny”.

„Gdzie więc szukać jakichś gwarancji bezpieczeństwa?” pytam na odejście.

„Wszędzie, odpowiada razem połowa rządu estońskiego. Z jednej strony, w jak najdalej posuniętej i jak najszybszej integracji ze strukturami zachodniej Europy. To, jasne, nie na jutro, ale zasadniczy punkt naszego programu. Z drugiej strony w zbliżeniu ze Skandynawią. To nasze naturalne zaplecze. Mówimy o nich czasem „nasi alianci”, wiedząc, że to na wyrost, ale robi się różnie. No i na koniec, a może przede wszystkim, pokładamy nadzieję w sukcesie demokracji w Rosji”.

„To także może nieco na wyrost...”, pytam.

„Tak, być może, mówi minister, ale jeżeli ma Pan lepsze pomysły, to bardzo proszę...”

„Pomysły, powiadam, to nie moja rola, ale zastanawiam się, dlaczego Estonia szuka nadziei w Brukseli i Moskwie, a

nie chce zajrzeć do Rygi czy Wilna. Jak to się dzieje, że ani w środku Europy, trójkąt czy czworokąt z Wyszehradu, ani na północy, Rada Bałtycka (Litwa, Łotwa i Estonia), żadna formuła regionalnej, wydawałoby się naturalnej współpracy nie funkcjonuje jak należy, *if any...*?”

„Coś w tym jest. Wyszehradu nie znam. Ale Rada Bałtycka, powiada mój rozmówca, to rzeczywiście nie jest wielki sukces. Istnieje jakaś bariera, nawet kilka. Estonia jest luterkańska, Litwa — katolicka. Estonia jest jedynym krajem bałtyckim, a może i po-sowieckim, gdzie nie ma w rządzie byłych komunistów, a to ma znaczenie. Nasze charaktery narodowe, jeżeli coś takiego istnieje, też są różne, widać to zresztą w naszej dość specyficznej i właściwie ulgowej drodze do niepodległości”.

„Ale, przerywam, czy nie macie także wspólnych interesów, na przykład w sprawie wycofania Rosjan, i w ogóle stosunków z Moskwą?”

„Chyba tak jest, pada, jakby z wahaniem, odpowiedź. Dlatego rodzą się projekty ożywienia Rady Bałtyckiej. Dotąd nasi ministrowie spotykali się przeważnie w Brukseli, teraz mamy zamiar spotykać się już regularnie, w naszych stolicach...”

„No, ale Brukseli, powiadam, lekceważyć nie należy. W trójkę czy oddzielnie, nieobecni nie mają racji”.

„Wiemy o tym. Do widzenia w Brukseli”.

Pisane w Brukseli 13 marca 1993

Leopold UNGER

List z Londynu (27)

Wolność słowa jest wielkim przywilejem zachodnich demokracji, wszystkie masowe środki przekazu korzystają z absolutnej niezależności, czego najlepszym dowodem jest fakt, że Premier musi w sądzie dochodzić swych praw. Konserwatysta John Major oddał do sądu sprawę o oszczerstwo, gdy dwa pisma połączyły go z kobietą, która ma być jego kochanką. Odpowiadają nie tylko pisma, ale drukarnie i sprzedawcy i ci uznali, że lepiej przeprosić i wycofać się ze sprawy, która może kosztować

setki tysięcy funtów. Dwa pisma, jedno satyryczne, drugie poważne, *New Stateman*, brną dalej. Już otrzymały pozwy, każdy dzień rozprawy kosztuje dziesiątki tysięcy funtów, za przegrane sprawy o oszczerstwo już płacono po kilka milionów.

Podobna sprawa może sięgnąć jeszcze wyżej. Dziesięć lat temu Królowa musiała w sądzie bronić swych praw, gdy b. pracownik Buckingham Palace w brukowym piśmie zaczął drukować swoje wspomnienia. Sąd kazał je wstrzymać, ale tylko dlatego, że w kontrakcie pracy znajdowała się klauzula nakazująca zachowanie w tajemnicy szczegółów dotyczących wewnętrznego życia pałacu i królewskiej rodziny. Teraz znowu królowa musiała polecić swym adwokatom, by wystosowali pismo do czołowego brukowca, *Sun*, zapowiadając sprawę sądową o naruszenie praw *copyright*. Pismo to w jakiś sposób wykradło tekst świętecznego przemówienia Królowej i opublikowało go dwa dni wcześniej. Mowę tronową pisze premier, bo zawiera ona program rządu, święteczny tekst to wyłączny przywilej panującego. *Sun* jednak wolał przeprosić i wypłacić 200 tysięcy funtów organizacji charytatywnej, *Save the Children*, na której czele stoi córka Królowej, popularna księżniczka Anna.

Szukając sensacji, „bo naród musi znać prawdę”, pisma stosują metody godne najbardziej wrogich wywiadów. Zakłada się aparaty podsłuchowe, które nagrywają prywatne rozmowy, przekupuje się służbę, podsuwa się dziewczyny, nagabuje się małe dzieci. Wielka Brytania jest krajem prawdziwej wolności, ale jest ona teraz zagrożona przez masowe środki przekazu, które operują miliardami i dla których nie istnieje żadna moralność i żadne prawo do osobistego życia. Król, aktor czy śmieciarz, każdy może się znaleźć w świetle reflektorów brutalnych reporterów.

Wszystko musi mieć swoje granice, dlatego powstała komisja, która ma przygotować projekt nowego prawa prasowego, dlatego elita społeczeństwa domaga się szybkich decyzji. To nie jest sprawa łatwa, bo by odstraszyć odważnych obrońców osobistej wolności, stosowany jest terror. Kto wypowie się w sprawie Irlandii, tego zastrzelą, kto skrytykuje prasę czy telewizję, tego zniszczą oszczerstwami. Sądowe kary idą w setki tysięcy funtów, brukowcom o milionowych nakładach (*News of the World* — 5 milionów) to się jednak opłaca.

Jest jeszcze inny aspekt wolności słowa, który może być powodem do dumy prawdziwej demokracji. Salman Rushdie, hinduski pisarz, który w swojej powieści „*The Satanic Verses*” według Mahometan dopuścił się bluźnierstwa, został przez duchowego przywódcę Iranu skazany na śmierć i kto ten wyrok wykona, otrzyma 3 miliony dolarów. Od czterech lat Rushdie ukrywa się w Wielkiej Brytanii i nieustanna ochrona policyjna

kosztuje rocznie ponad 500 tysięcy funtów. 100 tysięcy płaci autor ze swych honorariów (zrobiono mu kolosalną reklamę), a 400 tysięcy państwo. Nie dość na tym. Wielka Brytania dąży do uregulowania swych stosunków z Iranem, widzi możliwości dużych wymian handlowych, ale Irańczycy nie tylko, że nie cofnęli wyroku na pisarza, ale go ponownie, w agresywnej formie, powtórzyli. Uniemożliwia to porozumienie i powoduje wielomilionowe straty.

Dnia 5 grudnia ub. roku odbył się w POSKu uroczysty obchód 50-lecia Biblioteki Polskiej. Powstała w czasie wojny, w latach okrutnych, ale pełnych nadziei, przetrwała powojenne wstrząsy, w decydujący sposób pomógł jej POSK, dziś jest jego najcenniejszym skarbem i atutem w walce o utrzymanie polskości i szerzenie wśród obcych wiedzy o naszej kulturze. W ramach tej uroczystości nastąpiło podpisanie umowy pomiędzy Ośrodkiem i Instytutem Polskim i Muzeum im. Gen. Sikorskiego, który POSKowi przekazuje swoje zbiory biblioteczne.

Proszono mnie o symboliczne przecięcie wstęgi i krótkie wprowadzenie do tego ważnego obchodu, bo jednak pół wieku to dużo, zwłaszcza w tak dramatycznym okresie historycznym.

Myśl moja musiała skierować się wstecz, do pierwszej połowy ubiegłego wieku, gdy w sześć zaledwie lat po klęsce Listopadowego Powstania ojcowie nasi, w roku 1838, założyli w Paryżu Bibliotekę Polską. Gdy tak się spojrzy na tamten okres i na nasze lata walki, klęsk i wysiłków zmierzających do ratowania naszej kultury i odrębności narodowej, rzucają się w oczy wielkie analogie. Wtedy ciemna noc niewoli okrywała nasz kraj; w naszych latach, gdy pięćdziesiąt lat temu w Londynie zapełniano pierwsze półki naszej Biblioteki, Polska także była podbita i zniewolona. Wtedy działał emigracyjny rząd i za naszych czasów, w tej samej Francji, sformował się rząd walczącego nadal narodu. Francja padła, ale rząd działał i był jak najbardziej czynny, tylko już na terenie Londynu, gdy w roku 1942 powstawała tu Biblioteka Polska.

Wielką różnicę stanowi fakt, że twórcy Biblioteki Polskiej w Paryżu nie doczekali Wolnej Polski. Ich groby znaleźć można na paryskich cmentarzach i byłby to jedyny ślad ich politycznej działalności, gdyby nie Biblioteka, która przetrwała wszystkie te lata, nawet niemiecką okupację, i gdyby nie wielkie nazwiska Mickiewicza, Słowackiego, Norwida, Chopina, Lelewela.

Myśmy, wbrew wszelkim przewidywaniom, doczekali wolnego kraju, skończyła się nasza emigracyjna działalność polityczna, pozostaną po niej, tak samo jak w Paryżu, samotne groby,

a Biblioteka Polska w wielkim gmachu POSKu pozostanie nie jako symbol, ale jako źródło wiedzy o naszych osiągnięciach i o naszej kulturze, dostępne i otwarte dla badaczy i naukowców z całego świata.

Dwa są problemy, które wiążą się z nadchodzącymi latami i przyszłością Biblioteki. Niezależnie od radykalnie zmienionej sytuacji politycznej Biblioteka pozostanie w Londynie. Jest tu potrzebna, tak samo jak Biblioteka w Paryżu, leży to w interesie naszego narodu i poszerzenia zasięgu naszej kultury. Czy jest bezpieczna, czy jej istnienie na długie lata a nawet nie tylko istnienie, ale rozwój, można uważać za pewnik? Tak. Jest ona własnością POSKu, który przejął ją z rąk brytyjskich, co zostało potwierdzone pisemnym oświadczeniem w Izbie Gmin dn. 22 czerwca 1967 roku. Wtedy Ośrodek był w bardzo trudnej sytuacji finansowej, później, gdy miał ponad milion funtów długu i znajdował się tuż nad przepaścią, było jeszcze gorzej, a jednak przetrwał te lata. Dziś, gdy cały dług został spłacony, choć są trudności, bo kto ich nie ma w latach światowej recesji, o bankructwie nie ma w ogóle mowy. Tylko wojenny kataklizm może rozsadzić POSKowe mury i zagrozić bibliotecznym zbiorom.

W roku 1990 głośna była w Londynie sprawa olbrzymiej firmy produkującej piwo, Guinness. Chcąc wykupić inną, podobną firmę, drogą łapówek i poufnych kontaktów sztucznie podbiła wartość swych akcji i stała się na rynku bardziej konkurencyjna. Sprawa się wydała i winni stanęli przed sądem. Problem był trudny, bo w krajach kapitalizmu i wolnego rynku większość ludzi lokuje swoje oszczędności w akcjach i wszyscy są bardzo czuli na machinacje dyrektorów wielkich firm. Londyńska giełda, znajdująca się w handlowym City, jedna z czterech, które decydują o losach walut potęg naszego świata, jest bardzo czuła na opinię publiczną, bo wszystko przecież opiera się na zaufaniu. Gdyby nagle, tego samego dnia, wszyscy inwestorzy zażądali wykupienia ich akcji, okazałoby się, że ich prawdziwa wartość jest nieskończenie niższa od notowań giełdowych.

Po długim procesie, który kosztował 25 milionów funtów, dyrektor Guinnessa, Ernest Saunders, dostał 5 lat, makler giełdowy, Anthony Parnes, 2 i pół roku, a dyrektor innej firmy, uczestnik spisku, Gerald Ronson, 1 rok i 5 milionów grzywny.

Właśnie teraz rozegrał się ostatni akt tej sprawy. Był w nią także wmieszany amerykański prawnik, Thomas Ward, doradca Guisessa, którego przez kilka lat ciągnano po sądach, bo otrzymał ponad 5 milionów funtów honorarium, które uznano za wygórowane. Ostateczny wyrok zakończył sprawę, która ciągnęła

się przez siedem lat. Sąd uznał, że honorarium było uczciwe.

Przy okazji prasa zainteresowała się skazanymi w roku 1990. Żaden nie odsiedział wyroku: Saundersa wypuszczono po 10-ciu miesiącach, Parnesa po 11-tu, Ronsona po 6-ciu. Wszyscy powrócili do publicznego życia i dobrze zarabiają. Jaki więc sens mają kosztowne procesy, skoro kary są iluzoryczne? W przyszłości takie sprawy mają być rozpatrywane nie przez sądy przysięgłych, ale przez zespoły ekspertów. Czy to podniesie zaufanie ciułaczy? W Stanach takie zespoły działają i są respektowane.

W Kulturze nr 9/1992 poruszyłem sprawę Witolda Pileckiego, twórcy wojskowej organizacji w oświęcimskim obozie. Skrytykowałem stan sal obozowego muzeum, które są zamknięte i których wystrój jest nadal niezgodny z prawdą historyczną.

Zostałem wybrany do Międzynarodowej Historycznej Rady obozu i w styczniu br. uczestniczyłem w jej plenarnym zebraniu, mogłem więc omówić problem z dyrektorem Muzeum, Jerzym Wróblewskim, i z jego personelem. Obeszliśmy sale, sprawdziliśmy każdą planszę, uzgodniliśmy konieczne zmiany, spisaliśmy protokół. Tego samego dnia na konto Muzeum wpłaciłem 1.500 dolarów jako zadatek 15 tysięcy, które są potrzebne i które zbieram wśród Polaków w Wielkiej Brytanii. Kierowniczka archiwum, Barbara Jarosz, i mgr Adam Cyra wykonają pracę, ja dostarczę pieniądze i w tym roku powinno dojść do otwarcia tych ważnych muzealnych sal.

Rada przez dwa dni zastanawiała się, jak uchronić od zniszczenia ten, obok Hiroszimy, najważniejszy pomnik okrutnych lat drugiej wojny światowej, i jak najwierniej prezentować go milionom zwiedzających z całego świata. Budżet obozu jest za mały, z trudem pokrywa się najniezbędniejsze codzienne wydatki, a sugestia pobierania opłat od zwiedzających ma wielu przeciwników. Rząd niemiecki przyznał 10 milionów marek, które zostaną wypłacone w czterech rocznych ratach i z których we wszystkich blokach założy się centralne ogrzewanie i klimatyzację. Ale to załatwi tylko problem konserwacji, a przecież istnieje stała wystawa w obozie centralnym i w Brzezince, są wydawnictwa, nadal kontynuuje się prace historyczne. Pomoc zainteresowanych krajów jest bardzo potrzebna.

Józef GARLIŃSKI

Kraj

Temat na wyrost

Należałoby się spodziewać, że w Polsce, gdzie trwa przebudowa tak gruntowna i rozległa, a zarazem dobrowolna, przez nikogo z zewnątrz nie narzucana, szaleje nieustanna burza mózgów. Tymczasem w życiu umysłowym kraju nic na to nie wskazuje, przynajmniej w polityce. Przeciwnie, dyskurs polityczny toczy się po powierzchni zjawisk, uogólnienia nie są w nim produktem rzeczywistego rozpoznawania doświadczeń, lecz płodem stereotypów myślowych, emocje dominują nad intelektem, ale nawet one są raczej konformizmem, przystosowaniem do roli niż przeżyciem autentycznym. Aktorzy i komentatorzy polityki zachowują się i mówią tak, jakby obejmowali rolę z góry nakreślone i w od dawna już napisanej sztuce. Przypomina się więc „Wesele”, ale i to skojarzenie jest powierzchowne, podobnie jak na ogół powierzchowne i mylące są wszelkie — znów dziś modne — nawiązania do schematu narodowych losów. Rację mają raczej ci, którzy wskazują, że Polska — i nie jedynie ona — przeżywa teraz coś całkiem nowego, i że dlatego właśnie młodych ludzi niewiele obchodzi nie tylko Sienkiewicz (którego nie chcą czytać już w szkole powszechnej), lecz również Witkacy i Gombrowicz, Miłosz i Herbert, katastrofiści, prześmiewcy i moralisci wszyscy pospołu już nie aktualni, a widać jeszcze nie klasyczni. Jesteśmy więc podobno w postmodernizmie, ale wcaleśmy się w nim nie odnaleźli: nierozpoznanie i niezrozumienie czasu własnego sprawia, że mówimy samymi cytatami i wszystko, co wypowiadamy, ujęte jest w cudzysłów. A jakie jest własne słowo i własny głos mówiących?

W czasach przebudowy polityka znajduje się nieuchronnie w centrum spraw publicznych. Nic bowiem nie toczy się jeszcze samo (nawet w projekcie liberalnym), wszystko się

dopiero urządza. Zarazem, pod presją naglących potrzeb, społeczeństwo nie jest skłonne pozostawiać różnym autonomicznym dziedzinom działalności dość czasu, by mogły się one dorobić swoich własnych, relatywnie niezależnych rozwiązań, z których całość by się dopiero złożyła. Prawodawstwo, szkolnictwo, nauka, samorządy i każda dziedzina gospodarowania są nieustannie przynaglone, rozwiązania niedojrzałe i niewypróbowane są im niecierpliwie wyrwane i przedstawiane na forum publicznym jako Archimedesowe dźwignie wszechrzeczy (przykład: prywatyzacja). W tych warunkach waga polityki przesadnie rośnie — ale to nie sprawozdawca przesadza, lecz rzeczywistość społeczna. Uprawnione jest więc rozpatrywanie politycznego myślenia jako decydującego czynnika samoświadomości społecznej.

Ważnym powodem wspomnianego ubóstwa życia umysłowego i dyskursu politycznego jest ciśnienie wywierane przez dwie ortodoksje, katolicką i liberalną, które obie swe tytuły do kształtowania myśli politycznej w Polsce czerpią spoza demokracji. Oznacza to, że swego domniemanego autorytetu nie wywodzą z demokratycznych ustanowień i nie weryfikują w demokratycznym doświadczeniu. W przypadku ortodoksji katolickiej jest to dość oczywiste. W pewnym skrócie rzecz ujmując, Bóg mógłby może być aktorem demokratycznej *polis*, ale nie papież. Bóg mówi w sumieniach i żadne z tych sumień nie jest apriorycznie wyróżnione, natomiast papież i hierarchia przyznają sobie przywilej, jeśli nie wyłączność, interpretowania Słowa. Im zatem Kościół więcej interweniuje w życie demokratycznej *polis*, tym bardziej trzeba, by przyswoił sobie doświadczenie Reformacji, w przeciwnym razie okaże się w demokracji ciałem obcym. Ze względu nie na to, co głosi, ale na to, jak argumentuje i jak swoje racje przeprowadza. Poglądową lekcją była ostatnio sprawa ustawy antyaborcyjnej: hierarchia kościelna zawłaszczyła sobie przy tej okazji prawo do wiążącej wykładni genetyki, morfologii, antropologii i filozofii człowieka — a także do rozróżnienia na użytek ogółu godziwych i niegodziwych procedur demokratycznych („tak” dla parlamentu, „nie” dla referendum). Zapewne nawet w sprawie Galileusza „nieomyślność” Watykanu nie była rozleglejsza...

Mniej rozpoznana jest zewnętrzność ortodoksji liberalnej: nie jest mianowicie zinstytucjonalizowana i nie odwołuje się do autorytetów ponadludzkich. Liberalowie w Polsce, choć nieustannie głoszą pragmatyzm, są szkołą myślenia niemniej ideologiczną niż niegdyś komuniści. Tamci wiedzieli z

całą pewnością, jak świat urządzić należy, ci zaś z równą pewnością wiedzą, iż tylko tak właśnie urządzony, jak oni go opisują, może on w ogóle funkcjonować, tylko taki jest normalny. Komuniści konstruowali utopię, którą swobodnie dysponowali, liberałowie z polskiej szkoły konstruują opis, z którym poczynają sobie równie po kawalersku. Ideologicznej paraleli dopełnia spostrzeżenie: komuniści, od Marksa aż po lata trzydzieste naszego wieku, czerpali argumenty z kryzysów kapitalizmu, liberałom dobrego samopoczucia i niezachwianej pewności dostarcza krach realnego socjalizmu. Pokarmem jednych i drugich jest dwudzielnosc rzeczy ludzkich.

Liberalne opisanie świata, jakim być musi, jeśli chce funkcjonować, jest wielopoziomowe, sięga od filozofii i antropologii człowieka aż po techniki gospodarowania. Nie leży bynajmniej w moich intencjach deprecjonowanie osiągnięć myśli liberalnej, aliiści my w Polsce nie z Lockiem i nie z Tocquevillem mamy do czynienia — i po prawdzie nawet nie z von Hayekiem — ale, na poziomie filozofii, ze zbiorami wątpliwych aforyzmów, w ekonomii zaś i technikach gospodarowania z rozwiązaniami kopiowanymi głównie z neomonetaryzmu anglosaskiego. I to kopiowanymi zdumiewająco bezkrytycznie. Nasi liberałowie nie chcą nawet zauważyć, że w swych pismach bałwochwalczych są spóźnieni jak kinomani zakochani w podstarzałych dzisiaj gwiazdach. Nie podobna inaczej wytłumaczyć, dlaczego dziennikarze z tej szkoły z takim uporem robią z nieszczęsnej Hanny Suchockiej „polską panią Thatcher”... Nie znaczy to przecież, by Thatcher czy Reagan i neomonetaryzm w ogólności nie mieli swoich sukcesów... Ale właśnie: gdzie indziej i kiedy indziej. Nim się stosuje receptę, warto sprawdzić diagnozę. Ortodoksja liberalna w Polsce jest równie niepodatna na weryfikację na demokratycznym forum, tu i teraz jak katolicka.

I, po namyśle, nie jest chyba aż tak zupełnie niezinstytucjonalizowana. Na zdanie Międzynarodowego Funduszu Walutowego, giełdy londyńskiej, banków międzynarodowych i w ogóle „Zachodu” powołują się nasi liberałowie równie często jak proboszcz na Pana Boga. Być może też równie bezzasadnie...

Osobliwy zamęt i ostatecznie paraliż umysłów poddawanych łącznej presji obu ortodoksji jest wzmacniany przez ich wzajemny stosunek: nie są one ani przeciwstawne ani zgodne. Gdyby były przeciwstawne, stawałyby kogoś poddałego presji wobec oczywistej konieczności wyboru: albo-albo.

Wtedy przy odrobinie niezawisłości umysłowej mógłby się zbuntować i odrzucić fałszywą alternatywę. Gdyby były zgodne i wspomagały się wzajemnie, same ukazywałyby, przez zaprzeczenie, pole wolności. Ale nasze dwie ortodoksje są „chyttrze” ustawione pod kątem. Zgodne i niezgodne, przeciwstawne i nieprzeciwstawne, każda z nich werbuje wyznawców nie wprost jedynie, jak w sytuacjach przejrzystych, ale zwłaszcza sugerując, że bez jej niezawodnego światła przyszłoby nam zaplątać się w pułapkach drugiej ortodoksji. Kto nie słucha Kościoła, ten ulegnie liberalnej zgniliznie; kto nie myśli liberalnie, ten łatwo złoży w ofierze prawa jednostki na księżęj tacy. To dzięki Kościołowi wolność staje się odpowiedzialna, to dzięki liberałom Kościół się ucłowiecza i staje „posoborowy”. Stąd już tylko jeden krok do pomysłu, by skojarzyć obie ortodoksje i na tej „ideowej płaszczyźnie” oprzeć stabilne rządy w Polsce. W lecie 1992, kiedy powstawał rząd Hanny Suchockiej, kształtującą się koalicję nazywano jeszcze po-solidarnościową. Z pozoru była to jedynie różnica w nazwaniu, jako że ruch solidarnościowy istotnie kojarzył dążenia liberalne z tradycją katolicką. Ale przede wszystkim — nie tylko te dwa nurty, w Solidarności co najmniej równie mocny był składnik niepodległościowy, zaś szczególnie solidaryzm umożliwiał sprzęgnięcie wszystkich tendencji ideowych w jednej dynamice. Co jeszcze ważniejsze, konstrukcja Solidarności nie składała się z żadnych ortodoksji, była to żywa ideologia w ruchu, nieustannie karmiąca się doświadczeniem codzienności, nagle awansowanej do historycznej roli. W określeniu „po-solidarnościowy” porbrzmiewało przynajmniej wspomnienie. W katolicko-liberalnym sojuszu ortodoksji nie byłoby już żadnych sentymentalnych wspominków. Ostatniemu, który jeszcze do nich sięga w gabinecie Hanny Suchockiej — Jackowi Kuroniowi — coraz trudniej pomieścić się w nowej kombinacji.

We wrześniu, gdy obecny rząd dopiero raczkował, minister Rokita był autorem formuły, trafnie ujmującej ówczesny sens koalicji. Z dwóch podziałów — wywodził minister (cytowałem go szerzej w *Kulturze* 11/1992) — jednego na liberałów modernistów i katolików tradycjonalistów oraz drugiego na państwowców reformatorów i destabilizatorów demagogów — osią sceny politycznej powinien być ten drugi, a pierwszy jest mniej ważny. Dzisiaj formuła Rokity już nie wystarcza. Aby utrzymać przy życiu koalicję, w której coraz częściej dochodzi do głosu swoisty instykt śmierci („wybory, wybory!”), nie dość jest po prostu bagatelizować ów podział

mniej ważny. Trzeba go przewyciężyć w tym przynajmniej sensie, by relacje pomiędzy liberalnym modernizmem a katolicyzmem stały się dla koalicji państwowców dodatkowym źródłem siły, zachętą do przetrwania. Liberalowie powinni być potrzebni katolikom i odwrotnie... Streszczam w ten sposób wywód posła Lecha Mażewskiego z Partii Konserwatywnej Aleksandra Halla, w *Gazecie Wyborczej* z 6-7 marca. „Żeby zmodernizować Polskę — pisze poseł, a gazeta czyni z tego nadtytuł długiego tekstu — potrzeba ofensywnego patriotyzmu, który może dać tylko Kościół”. Ów ofensywny patriotyzm, który powinien zastąpić model, gdzie pomiędzy rodziną a narodem brak pośrednich kręgów identyfikacji, będzie wspierał „nową koncepcję narodu”: „naród, którego poszczególne grupy społeczne współzawodniczą między sobą, będzie zdolny, jako całość, współzawodniczyć z resztą Europy — przede wszystkim na polu gospodarczym. Ofensywny patriotyzm, oparty na współzawodnictwie wewnętrznym i zewnętrznym, może uzasadniać wyrzeczenia, zmuszać do ciągłego wysiłku. Interes jednostkowy i grupowy łączyłby się z interesem państwa”. Kościół, zdaniem posła Mażewskiego, gotów jest wesprzeć to rozwiązanie, ponieważ Kościół uległ już daleko idącej „protestantyzacji”, przez co autor rozumie odejście od „anty-indywidualizmu” ku „aprobacie kapitalizmu jako zasadniczo zgodnego z chrześcijaństwem, tym bardziej, jeśli jest on osadzony w kulturze przesiąkniętej moralnością i religią”. Kościół uzyskałby w zamian rezygnację z „rygorystycznej separacji” od państwa na rzecz „rozdziału i współpracy”, zwłaszcza zaś na rzecz „pozytywnego przystosowania państwa do religijnych potrzeb obywateli”. Pozytywnym bohaterem tekstu, obok Jana Pawła II, jest, i to jako inicjator owej „protestantyzacji” katolicyzmu... twórca *Opus Dei* J.M. Escriva de Balaguer. Lepiej niż cokolwiek innego ukazuje to granice owej modernizacji zamyślonej przez Mażewskiego i jego partię. Nic ostatecznie dziwnego: partia — jak wspominałem — nazywa się konserwatywna.

Inicjatywa partii konserwatywnej, która ma ambicję być mózgiem Konwencji Polskiej, szerszego zgrupowania chadeckiego, nie jest odosobniona. Jakby w odpowiedzi na rozpaczliwy apel Andrzeja Szczypiorskiego o powołanie partii inteligentów, wyraźnie antyklerykalnej, grupki intelektualistów katolickich z *Więzi* i *Znaku*, zachęcane dyskretnie przez niektórych biskupów z bp. Pieronkiem, pospieszyły z inicjatywą nowego Okrągłego Stołu: Kościół-intelektualiści lub, w wersji mniej groteskowej, intelektualiści „przykościelni” z intelektua-

listami „niekościelnymi”... Nie jest jeszcze jasne, czy są to pomysły realne. Zarówno pomysł Szczypiorskiego jak i ewentualny Okrągły Stół, który mógłby się łatwo okazać rozmową garnków glinianych z żelaznym, zasługują, w pierwszej ocenie, na uśmiech. Właśnie dlatego jednak, że tłem tych propozycji jest wyniszczenie politycznego życia umysłowego i autentyczne poczucie dojmującej czczości wśród wielu intelektualistów, pomysły na oko niepoważne mogą mieć ciąg dalszy.

Niezależnie jednak od tych wszystkich ewentualnych rozwinięć koalicyjnych idei min. Rokity, znacznie więcej jest, jak dotąd, faktów, które świadczą raczej o umacnianiu się obu ortodoksji i usztywnianiu stanowisk. Przetargi są ciągle możliwe, ale są coraz twardsze. Nie jest to żadne twórcze współzawodnictwo z wizji posła Mażewskiego, lecz nieustanny podział łupów. Że o to właśnie chodzi, pokazują żenujące widowiska, jak trudne odklejanie min. Dyki od stołka (ZChN zgodził się ostatecznie wymienić swojego pełnomocnika dla regionu łódzkiego, którym pozostał stowarzyszony z ZChN wojewoda łódzki, mimo protestów nawet lokalnej Solidarności).

Główni nosiciele obu ortodoksji, organizacja kościelna oraz liberalowie, zachowują się niemniej łapczywie. Pierwsi zmierzają teraz do jak najszybszego zawarcia, a przynajmniej parafowania konwencji Polska-Watykan, która by przesądziła przyszłe rozwiązania konstytucyjne z zakresu stosunków państwa z Kościołem oraz rozmaite ustalenia prawne instalujące kodeks kanoniczny i organizację kościelną w prawie cywilnym (np. ślub kościelny jako równorzędny prawnie z cywilnym) i w służbach socjalnych (kościelne instytucje szkolne i szpitalne jako placówki oświaty powszechnej i służby zdrowia. Rozumie się przy tym „samo przez się”, że pełniąc te rozmaite „służby” Kościół rządziłby się w nich własnymi prawami i wolą. Prymas Glemp, który ostatnio powołuje się nieustannie na to, że Kościół „tak samo” chce pokornie służyć społeczeństwu jak na przykład... „rząd, parlament czy wojsko”, ujawnia tym przyrównaniem, że chodzi o zainstalowanie Kościoła w systemie władzy. Szczególna wrogość hierarchii wobec instytucji referendum jest zapewne wywołana także obawą przed wmieszczeniem się nieobliczalnego czynnika w subtelne rokowania gabinetowe.

Tymczasem, w oczekiwaniu na konwencję i konstytucję, strategicznym celem politycznej akcji Kościoła jest rozwój pra-

sowego, radiowego (40 stacji UKF) i zapewne wkrótce też telewizyjnego imperium Kościoła. Temat zasługuje na oddzielne opracowanie i na pewno nie należałoby go zbywać złośliwościami o żalostnej na ogół jakości zawodowej tych przedsiębiorców: wszystkiego można się nauczyć. Gorzej jest ze szczególnie przeżyłem ideowym: *Słowo Powszechne* jako główny organ prasowy Kościoła Katolickiego w Polsce to zapewne triumf, ale jest też trucizna w tym kielichu weselnym...

Liberałowie z kolei rozwijają ożywioną działalność lobbyistyczną. Tym razem nie chodzi już tylko o reklamiarstwo w stylu *Business Center Club* (order im. Ostapa Bendera za „inicjatywę” pod hasłem „businessmeni pokryją 82 biliony deficytu w zamian za reformę podatkową”). Kongres Liberałów i jego przyjaciele powołali komitet reformy podatkowej, który zmierza do wprowadzenia liniowego podatku dochodowego już w budżecie na rok 1994 (25% od każdego dochodu, co równa się podniesieniu o jedną czwartą obciążenia dla ogółu obywateli i zredukowaniu o połowę obciążenia bogatych płatników). Jest to pomysł na ruinę budżetu lub ruinę koalicji, ale liberałowie kontynuują nim „strategię makroekonomicznego nacisku” w stylu Balcerowicza. Tak czy inaczej, ta inicjatywa dowodzi, że walka interesów grupowych przybiera gwałtownie na sile i zaciekłości, właśnie wtedy gdy rząd stara się ją „ucywiliżować” w fabrykach pakietem o przedsiębiorstwie i bonami prywatyzacyjnymi dla wszystkich...

Całkiem możliwe, że życie *umysłowe* ortodoksów okaże się tematem na wyrost.

Warszawa, 10 marca 1993

Krzysztof WOLICKI

Z ukosa

Postanowiłem, dość narzekania, dość malkontenctwa i jadowej ironii, przecież można inaczej, przecież tak naprawdę lubisz ludzi, a ten kraj jest twój, na całe życie, do krwi i kości. I przecież wszystko mimo wszystko jest na dobrej drodze. To już nie po raz pierwszy tak sobie postana-

wiam, ale zanim otworzę usta i zbuduję w wyobraźni łagodną pogodną gawędę o Polsce, coś się tam zatrzęsie, zapaskudzi, zaryczy nieludzkim głosem. Udać, że tego nie widzę, że nie słyszę, nie potrafię.

Lech Wałęsa został spalony w postaci kukły, która miała na pośladkach namalowane czerwone gwiazdy i posiadała jedynie lewą rękę i lewą nogę. Pochód szedł pod Belweder, a liczył sobie tysiące ludzi. Upadli politycy podnoszą się na ulicach, w kurzu i dymie demagogicznych haseł. A w środku tej demagogii, jak w wielkim kotle zupy jarzynowej, pływają — jak kawałki łykowatego mięsa — spore porcje prawdy. Do tego „mięsa” jeszcze wróć.

W tym, co się stało, nie ma żadnej magii, żadnych tajemnic. To jest tak dziecinnie proste jak konflikty neurotycznych dzieci. Można by więc przy pomocy dziecięcego podwórka wyjaśnić całe szaleństwo naszej polityki. Gdzie indziej te zawistne jady bąblują podobnie, ale tam już są wypracowane techniki tłumienia, rozwiązywania, kompromisu. U nas jest to dzikie bez granic, bez form.

Anna Walentynowicz, dzisiaj już wszystkich mająca za zdrajców i nieświadomie mówiąca językiem swoich dawnych wrogów, zapiekła, chwilami wydawało mi się, że nawet chora, opowiadała mi przed dwoma laty o telefonach Wałęsy, już Prezydenta, do niej. Szukał przyjaciół u swoich źródeł, wśród ludzi niegdyś tak bliskich, którzy potem stali się jego wielkimi wrogami. W jakim stanie ducha musiał być zamknięty w klatce Belwederu, skoro dzwonił do szalonej suwnicowej, do szalonego Gwiazdy: „Pomóżcie mi, jestem sam, teraz moi najwięksi wrogowie, to nie komuniści, a te Michniki i Geremki”. — Co myśli teraz, gdy ci zniechędzeni intelektualniści, wykrzywiający złośliwie gęby francuskim językiem, bronią go, a wczorajsi sojusznicy wielkiej wojny na górze prowadzą tłumy pod Belweder i palą jego podobiznę wrzeszcząc na całe miasto, na cały świat: „Towarzyszu Bolek, wynocha do Tworek”, „Bolek do Moskwy”, „Polsko, czas na zmianę”? Na czele szedł Kaczyński i dwóch byłych ministrów, Parys i Glapiński, a wśród tłumy przeważali mężczyźni powyżej pięćdziesiątki, większość z nich głosowała na Wałęsę w wyborach prezydenckich. Jeden z manifestantów tak motywował swój gniew i to jest chyba wypowiedź reprezentatywna: — „Zdradził nas. Miał być naszym prezydentem, a jest prezydentem czerwonych. Obiecał puścić w skarpetkach ubeków, a zrujnował emerytów”. Ludzie niechętnie wychodzą

na ulice, kiedy jest ciemno i zimno, więc obecność kilku tysięcy osób zaczyna ważyć. Tworzy się ruch społeczny o nieco odmiennej konfiguracji niż elektorat Tymińskiego. Ale prawdziwe szanse na dynamizm ma tylko przy jakimś wahnięciu ekonomicznym. A kto zagwarantuje, że nam się ekonomia nie zawaha?

Prezydent oszołomiony mocą oskarżeń, jak się wydaje zupełnie stracił głowę i zadzwonił do ministra MSW z czasów stanu wojennego, aby ten potwierdził, że nie był on agentem o pseudonimie Bolek. Słynne szalone telefony Prezydenta. Kiszczak jakiś czas temu miał zawał, więc nie powinno się do niego dzwonić bez uprzedzenia z takim prezydentem. Oto generał staje się sumieniem Polski i oświadcza, że Prezydent Rzeczypospolitej jest czysty.

Potem Prezydent zwraca się do prezesa Sądu Najwyższego Adama Strzembosza, by go ten zlustrował. Prezydent chce się oczyścić. Ale okazuje się, że nie ma na to formuły prawnej.

Zresztą to samo oskarżenie dotyczy całego otoczenia Prezydenta, jego przeciwnicy twierdzą, że nawet jego spowiednik ksiądz Cybula to agent. Czyli Prezydent agent spowiada się księdzu agentowi. Ciekawe, czy wedle ZChNu taka spowiedź ma swoją ścieżkę do Pana Boga.

Parys i Kaczyński twierdzą, że są śledzeni, że założono im podsłuch w mieszkaniu. Parysowi pękły przewody hamulcowe w samochodzie i ledwie uszedł z życiem. Może tak, może nie?

Prezydent i jego dzielny adiutant Wachowski odgryzają się jak potrafią. To wyzywają swoich adwersarzy od insektów, to Prezydent raczy zażartować przez radio: „Jarosław Kaczyński z mężem”. Doprawdy można zrywać boki, co za subtelna aluzja. I kto sobie tak żartuje? Badanie opinii publicznej mówi, że Polacy jakoś szczególnie boczą się na pederastów, już Żydzi mają o niebo lepsze notowania, a więc Prezydent wie co robi.

Kaczyński ujawnia fotografię, gdzie przed laty na kursie ubeckim ma być Wachowski. Robi się z tego sprawa sądowa, ale czy się zrobi do końca? Jakoś nic się u nas nie udaje sfinalizować, ujawnić, wyjaśnić. Nagle okazuje się, że sędzia, który ma w tej sprawie sądzić, to oprawca stanu wojennego, który żądał dziesięciu lat dla Frasyniuka. Pani Premier wyrzuciła za to z posady ministra sprawiedliwości Dykę, który tego sędziego wyznaczył, jest on z ZChN, a przecież ta partia jest orędownikiem dekomunizacji. Tu już wszystko się wszystkim pomyliło.

Komentując ostatnie skandale i coraz szerzej rozlewającą się falę podejrzeń, KTT pisze w *Polityce*: „Wygląda bowiem coraz bardziej na to, że PRL obaliła się sama, poprzez swoich tajnych agentów, (...) PRLowi po prostu znudziło się już istnieć i nakazali swoim chłopakom z opozycji, aby nareszcie zrobili z nim koniec”.

Kto by pomyślał, że będzie mnie krzepić dobra forma *Polityki*, wielkie nakłady *Wprost*, pisma, które wyłoniło się z dawnej nomenklatury, że będę czerpał pewną satysfakcję z faktu, że pisma po-solidarnościowe są karłami.

Kiedy pytam, co o tym wszystkim myślą, tak zwanych zwykłych ludzi — kierowcę, sprzedawcę — milczą z niesmakiem, jakby dopiero co połknęli żabę.

Od naszej polityki cuchnie żabim stawem. Na szczęście separacja życia ekonomicznego od polityki jest chyba już faktem, chociaż do końca tego oddzielić się nie da. Jakies mechanizmy ekonomiczne jednak udało nam się uchronić. Nikt nie wie, na ile są one dynamiczne, na ile konstruktywne, ale jest faktem, że buduje się podstawa do nadziei.

A polscy intelektualiści podpisują kolejny list. Wydawało się, że takie listy nie przeżyją wolności, a one się nawet krzewią. Ten ostatni podpisany przez 28, broni — proszę popatrzeć czego — znowu wolności słowa. Jest ogólny, ale wiadomo, że chodzi o chrześcijańskie wartości i o telewizję.

Gdzie indziej tuzy naszej myśli, filmu, i nawet Głowacki — polska gwiazda na nowojorskim nieboskłonie — bronią w Elblągu ruin kościoła, gdzie od lat gnieździ się galeria malarstwa, a Kościół chce tam odbudować kościół. Intelektualiści apelują, by Kościół nie zjadał nam sztuki.

A ja chciałbym podpisać list przeciwko podpisywaniu listów. Niestety, doszło już do tego, że jeśli intelektualiści chcą być poważnie zauważeni, to muszą się samopalić, wbiwszy uprzednio swe cielesne powłoki w iglicę Pałacu Kultury.

Wpadam późnym wieczorem do szpitala. Kolega jest anestezjologiem i ma dyżur. Siedzimy w pokoju, tuż obok sali reanimacyjnej, gdzie ledwie tłą się płomyki w ciałach ludzi podłączonych do reanimacyjnej aparatury.

To, co on myśli o naszym życiu politycznym, jest niemal diagnozą nieuleczalnej choroby, pocieszam się, że nie od tego jest specjalistą. Próbuje mnie przekonać, że znowu nie ma wolności słowa, że wszyscy kłamią, że nie pisze się praw-

dy na temat stanu rzeczy. Nie zgadzam się. Pisać można wszystko, tylko mało kto potrafi iść na zaplecze, a retusz w redakcjach nie odbiega od tego w innych demokratycznych krajach. Brakuje raczej technik docierania, penetrowania i ujawniania. Ale to znamienne, że on tak myśli, że takie myślenie jest powszechne i dociera do brzegów nawet inteligentnych ludzi. Jedyna rzecz, z jakiej jest zadowolony mój kolega, to zarobki. Lekarze coraz więcej zarabiają na boku, a ten bok staje się treścią ich pracy. Mówi spokojnie o podziemnej aborcji, że to będzie sprawnie funkcjonować, profit wielki, zaś ryzyko małe.

Pokazuje mi szpital. Co za bida, co za ponuractwo, a to przecież szpital w stolicy i dopiero co odnowiony. Cała ta renowacja to jedno wielkie partactwo, pokazuje źle położoną podłogę, nieszczęsne listwy z boku korytarzy, gdzie przemykają chryżym pędem, szeleszcząc czarnymi kopytkami, stada karaluchów. Oglądam podjazd na *emergency*, gdzie zwozi się rannych, konających, z zawałami, ludzi którym świat wali się na głowę z pędem stu lokomotyw. Co za paskudne miejsce, beton poszarpany i obskurny, drzwi, ściany jak w przedsiionku komunistycznego czyścica. I przypomniał mi się dołek na jakiejś komendzie MO. Jestem pewien, że to się jednak widzi, kto wie czy nie ostrzej jak człowieka tu niosą — idę o zakład — pijani sanitariusze.

Wracamy do pokoju. Gadamy, narzekamy i nagle czuję, że ktoś włączył karuzelę. Kręci mi się w głowie coraz mocniej, zasłaniam oczy rękami, i jest jakiś wielki lęk, lęk człowieka, któremu usuwa się spod nóg co zawsze było nieruchome i pewne. Miałem jednak siłę, by docenić paradoksalność sytuacji i mówię do kolegi, który nagle przestał być kolegą, a stał się przede wszystkim lekarzem: „Nie chcę cię martwić, ale będziesz chyba miał pacjenta, czy jest jakieś wolne łóżko na reanimacji?” Musiałem wyglądać nietęgo spoza dłoni, bo przez palce ujrzałem jego niepokój.

Oddychaj spokojnie — mówi. I po chwili wszystko stanęło. Ale miałem wrażenie, że świat jest po małym trzęsieniu ziemi. Coś podobnego zdarzyło mi się po raz pierwszy w życiu. Wtedy zadzwonił telefon, kolega odbiera i znowu patrzy na mnie zdziwiony. Okazuje się, że dzwoni moja matka, skąd miała ten numer telefonu i co się stało, przecież jest północ. Mówi, że przed chwilą upadła, straciła przytomność, uderzyła się w głowę i leży w kałuży krwi. Ujrzałem oczyma wyobraźni jezioro krwi, pomyślałem, całe szczęście, że jestem właśnie teraz w szpitalu, że szpital jest tuż obok

jej mieszkania. A potem pomyślałem, że mimo wszystko nie wierzę w telepatię i w magiczne znaki. Pożyczam od kolegi lekarza samochód. Rozcięcie jest szerokie i głębokie, a krew na podłodze przenika mnie do szpiku kości dramatem Szekspira. Uspokoilem się jednak, bo wydawało się, że głowa mimo głębokiego rozcięcia jest cała.

Wjeżdżam na *emergency*, czyli po naszymu na izbę przyjęć, obrzydłym podjazdem, wcześniej dosyć długo dobijając się do bramy. Potem już wyciszony w sobie, na korytarzu, czekam na koniec zabiegu i zdaje mi się, że słyszę szelest chirurgicznej nici, który krzyżuje się z szelestem karalusznych łapek. Widzę przeszklone drzwi od głównego wejścia. Po godzinie 22 chorzy, poszkodowani, którzy potrzebują nagłej pomocy wchodzą przez te drzwi, uprzednio wciskając dzwonek. Niektórzy przynoszą tu ze sobą jakiś odcięty organ, inni kłatkę piersiową, w którą od środka uderza potężny młot.

I oto widzę takiego nieszczęśnika, ten zdaje się nieść w sobie rannego niedźwiedzia. Dzwoni, puka, potem wali pięścią, ale nikt drzwi nie otwiera. Więc idę, by samemu go wpuścić. Ale drzwi są zamknięte na klucz od środka. Szukam portiera, ale na darmo. W końcu pod ścianą, w mroku, wypatrzyłem nosze, a na nich zdawał się leżeć ktoś martwy lub ledwie żywy. Odpoznałem portiera. Trzęsę nim, jak czasami własnym sumieniem, ale wstrząsam tylko pomruk niezadowolenia oraz takie zgęszczenie oparów alkoholowych, że aby nie ulec zatruciu, musiałem salwować się ucieczką. Po drugiej stronie drzwi poszkodowany osobnik — zdawał się być w stanie ostatecznym — wyjmował właśnie drzwi z zawiasów i szło mu całkiem, całkiem.

Nie będę ciągnął tej opowieści, zbyt ona długa i koślawa, i jak opisać dramat klucza, którego nie mogła wprowadzić do otworu nieprzytomna ręka. I potem moje zdziwienie, bo chociaż portier popadł w stan, który nadawał się do intensywnej terapii, nikt się tym nie zainteresował, ani następnymi klientami za szybą, bo drzwi znowu zostały zamknięte, tym razem chyba na amen. Nawet mój kolega lekarz tylko wzruszył ramionami: „Wszyscy portierzy piją, nie ma innych”.

Trudno znaleźć miejsce, gdzie istnienie ludzkie tak się wyraża doprowadzone do samych granic, i gdzie zarazem trywialność i nędza otaczającej materii tak je paskudnie otarbiają. Skoro w naszych szpitalach ludzie tak nędźnie umierają i tak nędźnie się rodzą, czy mamy szansę na dużo lepsze życie?

Spotykam X. Jest ważną osobą w ważnym dla miasta miejscu. Jest niemal w środku miejskiej puszeki Pandory. Sterany, poszarpany, jak po jakiejś bitce, tak wyglądają u nas wszyscy, którzy są w centrum podejmowania decyzji. X. jest porządnym facetem. To, że on jednak jest teraz na górze, to miły dowód, że są jeszcze w tym burdelu porządni, fajni ludzie. Ale co z tego, skoro to co mówi jest tak smutne. Opowiada jak wszyscy szarpia to miasto, jak rozkradają Polskę. Mówi: „Komuniści jednak byli w pewnych układach, ograniczani przez partyjne struktury, nasi nie działają wedle jakichkolwiek reguł. Ich łapczywość by się dorobić, by załapać jest przerażająca, są jak rekiny, które poczuły krew”.

Próbuję to racjonalizować, mówię: „Wszyscy jesteśmy niezrealizowani, wszystkim nam czas uciekł jak pociąg z peronu, gdzie trawa urosła wyżej pasa. Ta łapczywość to pośpiech ludzi, którym uciekło życie”.

Tak, ja sam mam w sobie takiego rekinka, ale on pływa na razie w akwarium zamkniętym w moim sercu. Dlatego nie pozwalam swojemu sercu wypływać na ocean.

X. opowiada o hierarchach kościoła: „Oni przychodzą nie jako petenci, a w poczuciu, że im się wszystko należy, że Polska jest już ich, bo skoro mają jej duszę, to mają też ciało. Jeżeli czegokolwiek odmawiam, wyzywają mnie od komuchów”.

Słuchałem też z zamierającym oddechem, gdy mówił, jak partyjne walki z góry schodzą u nas na dół — na prowincji na poziom gminy, w mieście — dzielnicy. Związani z partiami naczelnicy, czy choćby mali urzędnicy, ciągną każdy w swoją stronę. Nieważny jest zdrowy rozsądek, dobro kraju, wsi czy miasta. Liczy się kto kogo, kto z kim, a przede wszystkim za ile. To jest niszczenie tkanki kraju, jego podstawowej masy. I tu jest groza, a nie w tym najbardziej liberalnym szpitalu psychiatrycznym, gdzie na wielkiej otwartej scenie rozgrywa się dzisiaj spektakl bez ani jednego kaftana bezpieczeństwa.

Niebywały chaos w prawie jest na rękę bardzo licznym. To są te słynne, wielkie minutowe interesy. X. twierdzi, że niemożność uporządkowania systemów prawnych jest nieudolnością zamierzoną. W tej szarej strefie kryją się niebywałe pieniądze. Czyżby to wielkie polskie gadanie, że kraj jest rozkradany, że wielkie afery ustępują tylko po to, by mogły ich śladem ruszyć następne, że to nie jest szaleństwo naszego ludu, a jakaś forma prawdy, wykoślawiona, w gadaniu, ale jednak prawdy. Jak tu od tego nie osiwieć?

X. spędził wiele czasu na Zachodzie — to jest polska formacja europejska. Tacy ludzie boją się Polski narodowo-katolickiej, naszych liberałów uważają za chłopców, którzy nadal noszą szorty, a Unię cenią, chociaż Mazowiecki drażni ich swoją ślamazarnością, a sama partia brakiem energii i zdecydowania. Nie wiedzą, na kogo by głosowali, gdyby trzeba było głosować. W Polsce coraz mniej czują się jak u siebie w domu.

Jeżeli ktoś zapomni, że jesteśmy podmywani przez mały zaściankowy nacjonalizm, nasz Sejm to szybko przypomni. Choćby ostatnia afera z tak zwanym karpackim Euroregionem. Oto Polska, Słowacja, Węgry i Ukraina utworzyły 14 lutego Euroregion Karpaty. Z Polski weszły do niego województwa krośnieńskie i przemyskie. Współpraca czterech państw ma obejmować m.in. ochronę środowiska, rozwój komunikacji, kultury, edukacji i mediów. Minister Spraw Zagranicznych Skubiszewski tłumaczył posłom, że takich Euroregionów jest na naszym kontynencie kilka, że niczym nie zagrażają, nie naruszają integralności państwa.

Posłowie ZChN rzucili mu się do gardła, że to „idea rozbioru Polski”. Poseł Łopuszański grzmiał: „Ja wiem, że są ciemne siły, które mają plan demontażu granic Polski, ale dlaczego Pan w tym uczestniczy, na litość Boską”.

Na co minister: „Obawiam się, że poseł Łopuszański chce abyśmy zamykali granice. Panie posle, należymy do innych światów. Póki ja tu jestem, żadnego zamykania granic nie będzie”.

Tak, to są dwa światy, a może nawet więcej. I do prawdy nie jestem pewien, który będzie górą i jak długo Pan, Panie Ministrze, będzie mógł mówić w imieniu Polski do świata językiem Europy. Potem jeszcze wrócimy do niej, ale kulejąc lub nawet na czworakach.

Sejm w ostatniej chwili uchwalił budżet, który jak wszyscy twierdzą, nadzwyczaj zgodnie, jest bardzo niedoskonały, ale dobrze, że jest. Sejm przestraszył się, że przestanie być Sejmem. Ile interesów by się zmarnowało. Więc, jak to piszą gazety, uniknęliśmy katastrofy, chociaż ciekawe dlaczego dymisja rządu i rządu prezydenckie kojarzą się tak łatwo wszystkim z katastrofą.

Ja znam coraz liczniejszą grupę zagorzałych demokratów, którzy uważają, że bez władzy silnej ręki tak dalej iść się nie da. „Bo prawo już nie jest prawem. Nie ma prawa, jest wielka samowola i gra szarych stref. Wszystko już wolno”. Ale

wielu tzw. zwykłych ludzi też myśli podobnie, więc można mówić o nabrzmiewaniu potrzeby dyktatury, i to w łonie bardzo różnych formacji.

Ja jednak nie potrafię w sobie odnaleźć akceptacji dla takiego rozwiązania, które w naszych warunkach niczego nie rozwiąże, a zapłącze niejedną supeł.

Ukazują się kolejne książki, które mają kompromitować prezydenta, inspirowane, wzbogacane przez jego wrogów. W druku jest rzecz o Wachowskim. Książek nie czytałem, tylko recenzje. Wydaje się, że ci recenzenci to psychiatrzy diagnozujący chorobę. Jakoś mnie nie kusi, by je czytać, ale z obowiązku pewnie powinienem. Słucham tych ludzi od dawna, i nie tylko mam wrażenie, że w tym szaleństwie jest metoda, że co gorzej jest też wiele prawdy. Problem, że prawda to nie tylko treść, to też forma oraz ukryte intencje. Forma może zabierać prawdzie jej treść. A w tle jest zapiekłość, nienawiść, własne upiory, to wszystko tworzy zupę, w której nie widać ochłapów prawdy. Tej prawdy, której inni z różnych powodów nie ujawniają, której już potem ujawnić nie można, bo wpada się w ramiona tej właśnie grupy. Czy nie tak utonęła sprawa agentów, utonęła w zupie spartaczonych lustracji? Okropni przeciw okropnym, a względnie porządni na poboczu ślimaczą się.

Wsiadam do taksówki i wyskakuję z niej jak z komory gazowej, kierowca tak napalił, że można powiesić siekierę z pniakiem. Tak pali niemal cała nasza społeczność, prawie na śmierć, to samo jest z piciem, statystyki spożycia alkoholu nadal rosną. To wszystko znaki autodestrukcji, kto wie czy nie przekładane potem na język polityki.

„Ja z Panem nie jadę” — warczę wściekły, i odzwyczajony od takiej nonszalancji wobec klienta, trzaskam drzwiami. Następny taksówkarz szczęśliwy, że ma pasażera, i z tego szczęścia wyciąga papierosa. „O to to nie” — mówię. Jest załamany, ale nie zapala. Ochłodziło między nami, więc by podgrzać atmosferę pytam, na kogo by głosował, jakby trzeba było? Mówi, że na nikogo. „Choćby policja po mnie przyszła, nie pójdę”. Opowiada, że był zwolennikiem Wałęsy, ale miesiąc temu przejrzał na oczy. Już wie, że jak ten mówił kiedyś o Polsce jako o drugiej Japonii, to miał na myśli Hiroszimę.

Ale kończy bardziej optymistycznie — jak dzisiaj wiozłem jakiegoś Żydka spod hotelu Victoria, to dał mi podwójnie

za kurs, to ja dziś żyję, ale tak w ogóle to nie mam, Panie, żadnych perspektyw na przyszłość.

Dzwonię do mego przyjaciela. Mówi, że mu to, a tamto wysiada, to w krzyżu strzyka, to w sercu kłuje. Kiwamy w telefonie głowami nad upływem czasu. I mówi, że wedle niego doszliśmy teraz w Polsce do miejsca, gdzie już tylko religia potrafi udzielić odpowiedzi na pytania, które przed nami stanęły w całej swojej nagości. Bałem się powiedzieć, co mi tak spontanicznie przyszło do głowy, że religia raczej przykrywa nagość figowym listkiem.

SMECZ

WAWEL

PIERWSZA POLSKA KSIĘGARNIA w Niemczech Zachodnich

Wszystko na temat Europy Wschodniej:

- Literatura piękna i fachowa,
- Albumy, plakaty, pamiątki,
- Książki antykwaryczne.

Wydawnictwa antykwaryczne krajowe i emigracyjne
oraz książki w językach obcych.

Stephanstrasse 11, 5000 Köln, 1.

Tel.: 0221/24-61-60.

Również sprzedaż wysyłkowa.

Godziny otwarcia od 10.00 do 18.30.

Polnische Buchhandlung

KSIĘGARNIA POLSKA

Burggasse 22, A-1070 Wien, Austria

Dojazd: 13A, 48A, 49, metro U2 i U3 stacja Volkstheater

Tel. i fax: (1) 52 63 114

Konta pocztowe

Frankfurt/M. 300340 605, Wien 7227.556

Książki w języku polskim, polonica w językach obcych.

Bezpłatne katalogi na żądanie

Sąsiedzi

Polska i Ukraina — działanie i rozmowy

W pierwszych dwóch miesiącach 1993 roku stosunki polsko-ukraińskie bardzo się ożywiły. Ukrainę odwiedziła w tym czasie premier Suchocka, a także minister obrony Janusz Onyszkiewicz. Pani premier rozmawiała w szwajcarskim Davos z prezydentem Leonidem Krawczukiem, ustalono wstępnie program i sposoby działania Komitetu Konsultacyjnego prezydentów Polski i Ukrainy. W węgierskim Debreczynie podpisano umowę o utworzeniu euroregionu „Karpaty Wschodnie”, w skład którego weszły regiony przygraniczne Polski, Ukrainy i Węgier oraz w charakterze obserwatora — Słowacji. W Krakowie i Krynicy przez trzy dni obradowała polsko-ukraińska konferencja pt. „Nowe wyzwania — nowa odpowiedzialność”, która zgromadziła reprezentatywne grono polityków, naukowców i biznesmenów z obu stron. Jeśli dodać od tego lwowskie spotkanie komisji do spraw wymiany gospodarczej, a także wizytę ministra Krzysztofa Skubiszewskiego w Kijowie w ostatnich dniach stycznia 1992 roku — możemy w zasadzie stwierdzić, że dokonał się znaczący postęp we wzajemnych stosunkach.

Jest to pozytywna zmiana w porównaniu z drugą połową roku ubiegłego, kiedy nastąpił niezrozumiały zastój, trwający efekty podpisanego w maju traktatu między państwowego. Symbolem tego był brak nominacji w obu krajach ambasadorów, co rzutowało na dynamikę rozwoju obustronnych stosunków. Pierwszy krok zrobiła strona ukraińska, mianując 16 grudnia 1992 roku swoim ambasadorem w Warszawie Gennadija Udowenkę, długoletniego zawodowego dyplomatę Ukraińskiej SSR w UNESCO i ONZ. Polska do

tej pory nie może wybrać odpowiedniego kandydata, co jest doprawdy niezrozumiałe. Tym bardziej, że obie strony wydają się intensywnie poszukiwać optymalnych form współpracy we wszystkich dziedzinach: politycznej, ekonomicznej, wojskowej, kulturalnej, a także w sprawie mniejszości narodowych.

Wizyty premier Suchockiej oraz ministra Skubiszewskiego odbiły się szerokim echem w prasie. Pierwszej towarzyszyła zresztą aura pewnego skandalu, gdyż szef polskiego rządu nie mógł spotkać się z prezydentem Krawczukiem, który bawił w tym czasie w Izraelu. To zaniedbanie zostało nadrobione podczas dwóch rozmów tych polityków na Światowym Forum Gospodarczym w Davos. Obie strony zapewniły, że traktują partnera jako kraj o znaczeniu strategicznym. Podkreślono jednocześnie wagę wymiany gospodarczej, której obecny poziom nie zadowala żadnej ze stron. W celu poprawienia tej sytuacji premier Suchocka podpisała w Kijowie umowy o współpracy granicznej, unikaniu podwójnego opodatkowania, o ochronie inwestycji, współpracy naukowej, technicznej i handlowej. Porozumiano się w sprawie stworzenia wspólnej komisji historyków dla opracowania podręczników historii, w myśl stwierdzenia, że „politycy zostawiają przeszłość historykom”.

W 1992 roku obroty handlowe między Polską i Ukrainą osiągnęły 310 mln dolarów. Z tego 40% przypadło na wymianę barterową, a więc najbardziej prymitywną formę współpracy gospodarczej. Utworzono już co prawda 350 polsko-ukraińskich spółek mieszanych, jednakże tylko 80 z nich działa. Dla Polski obroty z Ukrainą stanowią jedynie 1% ogółu handlu zagranicznego, podobnie dla Ukrainy. Jak na sąsiadujące kraje o znacznym potencjale ekonomicznym to stanowczo zbyt mało, biorąc choćby pod uwagę fakt, że wymiana gospodarcza Polski z pięciokrotnie mniejszą od Ukrainy Białorusią była trzykrotnie większa. Stąd tak wiele uwagi obie strony przykładają do tej dziedziny współpracy. Podczas pobytu premier Suchockiej nad Dnieprem zapowiedziano podpisanie dalszych umów, które tworzyć powinny ramy prawne rozwoju wzajemnych stosunków. Będą to m.in. umowa o pomocy prawnej, współpracy transgranicznej, robotnikach sezonowych, sukcesji prawnej umów po b. ZSSR. Zapowiedziano również utworzenie wspólnego banku, mającego finansować wymianę gospodarczą tak, by zmniejszyć rolę operacji barterowych.

Konkretną realizacją tych ogólnych ustaleń stało się pod-

pisanie 14 lutego br. umowy o utworzeniu Euroregionu Karpackiego, w skład którego weszły ze strony polskiej województwa przemyskie i krośnieńskie, a ze strony ukraińskiej obwód zakarpacki. W działalności Euroregionu przewiduje się wspieranie małych i średnich przedsiębiorstw, ochronę przyrody, wymianę młodzieży, współpracę organizacji religijnych, rozbudowanie sieci telekomunikacyjnej, utworzenie banku informacji gospodarczej oraz uruchomienie nowych przejść granicznych. Przy podpisaniu umowy spotkali się ministrowie spraw zagranicznych Polski, Ukrainy i Węgier, którzy podpisali deklarację o zasadach i kierunkach współpracy. Umożliwiło to powstanie Euroregionu, ponieważ ujawniły się poważne zastrzeżenia Słowaków odnośnie celowości wchodzenia w tę strukturę. Obawy te dotyczyły dwóch spraw: napięcia w stosunkach z Węgrami oraz tego, że do Euroregionu mają wejść wschodnie powiaty słowackie, zamieszkałe przez ludność greckokatolicką i prawosławną, w dużym stopniu określającą siebie jako Rusini i Ukraińcy.

Dla Ukrainy powstanie tego Euroregionu stanowi pozytywny krok nie tylko ze względu na sprawy regionalne. Minister spraw zagranicznych Anatolij Zlenko powiedział w Debreczynie: „Wchodzimy w ten sposób w procesy integracji europejskiej”. Złożył przy tym ofertę przystąpienia Ukrainy do Grupy Wyszehradzkiej oraz Inicjatywy Środkowo-Europejskiej, co spotkało się z dość chłodnym przyjęciem Słowaków oraz dyplomatycznym unikiem ministra Skubiszewskiego, który stwierdził, że na razie to niemożliwe ze względu na niepewną sytuację w samej Grupie, której członkowie (głównie Czesi) nie wyrażają specjalnej ochoty do kontynuowania swojego uczestnictwa. W Euroregionie brakuje niewątpliwie obwodu lwowskiego, iwano-frankowskiego i czerniowieckiego, które według zapowiedzi strony ukraińskiej powinny przyłączyć się do niego w terminie późniejszym. Kluczową pozycję zajmuje Lwów, którego władze znajdują się pod ciśnieniem niechęci znacznych odłamów społeczeństwa do zacieśniania stosunków z zachodnim sąsiadem.

W Polsce powstanie Euroregionu spotkało się z bardzo niejednoznacznym przyjęciem. W oficjalnych kontaktach uznano to za sukces polskiej dyplomacji oraz polskich inicjatorów tego przedsięwzięcia, m.in. obecnego wojewody przemyskiego Adama Pęziola. Jego też osoba stała się przedmiotem ostrych ataków w Przemyślu, gdzie 16 lutego został przedstawiony miejscowemu wojewódzkiemu sejmikowi samorządowemu na stanowisko wojewody. Prezentacji kandydata

dokonał szef URM-u Jan Maria Rokita. Sejmik kandydaturę odrzucił, a przed gmachem, gdzie odbywało się posiedzenie, ustawiła się pikietą zorganizowana przez grupę Przemyslan, złożona głównie z członków Komitetu Obrony Polskiego Kościoła Karmelitów Bosych, który okupował dawną katedrę greckokatolicką w 1991 roku. Protestowano przeciwko Pęziolowi, ponieważ „jest on rzecznikiem ukrainizacji Przemyśla, w czym sekunduje mu pan Rokita”. *Gazeta Wyborcza* informację o tym wydarzeniu zatytułowała ironicznie: „PPP — Piekielny Plan Pęziola. Przemyscy patrioci uważają, że Euroregion Karpaty wymyśliła UPA”.

W kilka dni później okazało się jednak, że sprawa jest daleko poważniejsza. 20 lutego kwestia utworzenia Euroregionu stanęła na forum Sejmu. Poddano ją gwałtownej krytyce ze strony ugrupowań prawicowych, natomiast minister Skubiszewski oraz posłowie Unii Demokratycznej i Unii Pracy stanęli w jej obronie. Poseł Jan Łopuszański stwierdził: „Ja wiem, że są ciemne siły, które mają plan demontażu granic Polski, ale dlaczego pan (chodzi o ministra Skubiszewskiego — M.Cz.) w tym uczestniczy, na litość Boską?”. Podkreślił on, że radykalni politycy ukraińscy roszczą sobie prawo do części terytorium Polski. Sytuacja jest więc według niego poważna. A „za brak wyobraźni polityków następne pokolenia zwykły płacić krwią. Cała odpowiedzialność za sprawę Euroregionu spoczywa na Unii Demokratycznej”. Dopełnił to wystąpienie poseł Sławomir Siwek: „Bo pogląd Unii jest już od dawna znany, Polska w ogóle nie jest potrzebna, bo Unia Demokratyczna ma stolicę w Brukseli”.

Nieco w cieniu tych wydarzeń obradowała konferencja pt. „Nowe wyzwania — nowa odpowiedzialność”, zorganizowana przez Międzynarodowe Centrum Rozwoju Demokracji w Krakowie (dyrektor Bohdan Klich), Fundację im. Stefana Batorego, kijowską Międzynarodową Fundację „Odrodzenie” oraz trzy inne instytucje. Patronowali jej: prof. Bronisław Geremek, Dymytrio Pawłyyczko, ambasada Ukrainy, prezydent Krakowa Józef Lassota, wojewoda krakowski Tadeusz Piekarczyk oraz rektor Uniwersytetu Jagiellońskiego prof. Andrzej Pelczar. Konferencja obradowała trzy dni — od 19 do 21 lutego, a poświęcona była następującym tematom: stosunkom politycznym między Polską a Ukrainą i możliwościom ich ożywienia, polsko-ukraińskiej współpracy gospodarczej i jej perspektywom oraz sytuacji mniejszości narodowych po obu stronach granicy. Wraz z konferencją odbywało się Polsko-Ukraińskie Forum Gospodarcze, które

miało na celu promocję polskich firm zainteresowanych handlem z Ukrainą, a także nawiązanie kontaktów między firmami polskimi i ukraińskimi. Tak więc program spotkania był bardzo szeroki i wielostronny. Była to zarazem pierwsza konferencja polsko-ukraińska, na której podjęto próbę w miarę pełnego zbadania stanu stosunków pomiędzy oboma państwami i wyznaczenia ich perspektyw. Biorąc pod uwagę znaczenie uczestniczących w niej polityków i działaczy gospodarczych oraz doniosłość wypowiedzianych przez nich słów, można z przekonaniem stwierdzić, że było to wydarzenie w stosunkach polsko-ukraińskich. Symbolicznym podkreśleniem tego faktu stało się przedłużenie umowy o współpracy miast, podpisane przez delegata prezydenta Ukrainy w Kijowie Iwana Salija i prezydenta Krakowa Józefa Lassotę.

Listy do uczestników konferencji wystosowali oboje premierzy. Hanna Suchocka napisała: „Kształtowanie nowych stosunków między Polską a Ukrainą wymaga od nas wszystkich zarówno zdecydowanej woli politycznej, jak też wielkiej odwagi intelektualnej, potrzebnych zwłaszcza tam, gdzie toczą się wydarzenia bezprecedensowe”. A także: „Między naszymi krajami nie może być mowy o nadmiarze kontaktów i współpracy”. Z kolei premier Leonid Kuczma podkreślił, że „niedawna wizyta Pani Premier Hanny Suchockiej na Ukrainie, nasze z Nią rozmowy, otwarte omówienie wielu zagadnień, jak również wizyty Ministrów Skubiszewskiego i Onyszkiewicza stały się znaczącym bodźcem rozwoju wzajemnych stosunków ukraińsko-polskich w politycznej, gospodarczej, wojskowej i innych dziedzinach współpracy między państwowej”.

List przysłał również prof. Geremek, który nie mógł uczestniczyć w obradach. Spotkał się jednakże z delegacją ukraińską w przeddzień konferencji. Profesor podkreślił, że w stosunkach wzajemnych potrzebny jest stały dialog. Tym bardziej, że historia posiała między Polakami i Ukraińcami nieufność i uprzedzenia. Podkreślił znaczenie rozrachunku z przeszłością, a także potrzebę uspołecznienia traktatu między państwowej oraz współpracy obu krajów na forum europejskim.

Z obszernym *exposé* na temat polskiej polityki w stosunku do Ukrainy wystąpił Jan Maria Rokita. Przede wszystkim podkreślił zaistnienie nowych szans w stosunkach polsko-ukraińskich po rozpadzie ZSSR i utworzeniu niepodległego państwa ukraińskiego oraz osiągnięciu pełnej suwerenności przez Polskę. „Nasze stosunki dwustronne przestały być

mitem, stały się rzeczywistością” — konstatował. W jego przekonaniu historia nie daje niestety podstaw do ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków, na które oba państwa są skazane. Wobec tego zaproponował, aby oprzeć je na wzajemnej korzyści, jaką stanowi gospodarka. Jest to bowiem najbardziej obiecująca sfera współpracy, chociaż sytuacja ekonomiczna w Polsce i Ukrainie jest bardzo trudna. Szczególnie na Ukrainie, gdzie obowiązuje system ostrego licencjonowania wymiany gospodarczej z zagranicą, brak jest natomiast sprawnego systemu bankowego. Oba kraje nie mogą spodziewać się planu Marshalla, stąd powinny pomagać sobie nawzajem. Polska może, powinna i chce stać się dla Ukrainy pomostem w zbliżeniu do Zachodu. Droga na Zachód bowiem to dla Ukrainy droga jedyna. Polska stara się przezwyciężyć tendencje do ustawienia nowej żelaznej kurtyny na Odrze, rozumie więc — mówił szef URM-u — obawy Ukrainy przed ustawieniem jej na Bugu. Rokita uznał, że obecny poziom wymiany handlowej jest niewystarczający. Dlatego rok bieżący powinien przynieść zmiany w tym zakresie.

Nakreślił on również polską wizję Ukrainy, stwierdził bowiem, że „nie powinniśmy się wahać we wzajemnych oczekiwaniach”. Podał siedem elementów takiej wizji. Ukraina powinna być państwem stabilnym politycznie, państwem prawa z zagwarantowaniem praw jednostki i praw mniejszości narodowych. Powinna być krajem wychodzącym z zapaści gospodarczej, budującym gospodarkę rynkową bez licencji. Ukraina może wykorzystywać polskie doświadczenie w reformowaniu ekonomiki i tworzeniu systemu demokratycznego. Ukraina zmierzać powinna do integrowania do wspólnot europejskich oraz europejskiego systemu bezpieczeństwa. Polska wspiera ten proces m.in. poprzez Grupę Wyszehradzką. W omawianej wizji mieści się postulat dobrych stosunków Ukrainy z Rosją, ale nie za cenę niepodległości. Warszawa zainteresowana jest w osiągnięciu przez południowo-wschodniego sąsiada statusu państwa bezatomowego, jednakże rząd polski nie zamierza naciskać na podpisanie układów, które stałyby w sprzeczności z jego interesem. Wreszcie ostatnim elementem tej wizji jest budowanie przez Ukrainę jak najlepszych stosunków z Polską. „Życzę Ukrainie tego, czego życzę Polsce” — podsumował Rokita. Wyraził raz jeszcze gotowość do politycznego dialogu, stwierdzając, że dla Warszawy Kijów jest partnerem strategicznym. Niepodległość Ukrainy bowiem gwarantuje niepodległość Polski. Jednocześnie wyraził przekonanie, że historia powinna

zostać oddana historykom, a budowanie wzajemnych relacji porównał do zadań stojących przed Niemcami i Francją po zakończeniu II wojny światowej.

Dopełnieniem wystąpienia ministra Rokity był referat wiceministra spraw zagranicznych RP Iwo Byczewskiego. Omówiono w nim historię i główne założenia polskiej polityki wschodniej ze szczególnym uwzględnieniem Ukrainy. Byczewski podkreślił, że samodzielna polityka realizowana jest od trzech lat, a jej największym osiągnięciem było rozpoczęcie w 1990 roku polityki dwutorowości, polegającej na utrzymywaniu równoległych stosunków z moskiewskim centrum istniejącego wówczas jeszcze ZSSR oraz z republikami. Jej owocem było podpisanie w październiku 1990 roku deklaracji o wzajemnych stosunkach, a we wrześniu roku następnego oświadczenia o bliskim nawiązaniu stosunków dyplomatycznych. Obecnie wzajemne relacje opierają się na traktacie z maja 1992 roku, przy czym mówca podkreślił zły stan stosunków gospodarczych. Stwierdził jednocześnie, że Polska poważnie traktuje ukraińskie deklaracje o statusie bezatomowym. Jednocześnie wskazał na zagrożenia płynące dla państwa polskiego z ewentualnego konfliktu rosyjsko-ukraińskiego, którego „Polska nie będzie stroną”. Byczewski powiedział również, że Warszawa uznaje Rosję za prawną następczynię Związku Sowieckiego.

Ukraińską wizję wzajemnych stosunków przedstawili: Dmytro Pawłyczko, wiceminister spraw zagranicznych Borys Tarasiuk i Mychajło Horyń, który przemawiał w imieniu Kongresu Sił Narodowo-Demokratycznych. Pierwszy zabrał głos Pawłyczko. Podkreślił znaczenie obu państw dla gwarantowania własnego bezpieczeństwa i integralności terytorialnej, a także dla stabilizacji sytuacji politycznej w Europie Środkowo-Wschodniej. „Ukraina pragnie i podąża do integracji z Europą. Dlatego współpraca z Polską ma dla naszego państwa znaczenie priorytetowe i strategiczne. Błędem byłoby myślenie, że my — Ukraina i Polska — możemy osobno wziąć udział w budowie nowej Europy, osobno przyłączać się do Wspólnoty Europejskiej, bądź jedni bez drugich tworzyć jakieś wschodnioeuropejskie sojusze, trójki, inicjatywy, NATO-bis itd”. Jednocześnie przewodniczący komisji spraw zagranicznych Rady Najwyższej stwierdził, że „nawołując do ukraińsko-polskiego zbliżenia, tworząc struktury między państwowe i społeczne, które będą nas łączyć — pragniemy z całą mocą podkreślić, że to zbliżenie nie jest wymierzone przeciwko komuś. Na odwrót, przez nie szukać będziemy

przyjaźni naszych innych sąsiadów, w szczególności Rosji i Niemiec”.

Mówca odniósł się również do spraw historii. Stwierdził: „Wnikając w wydarzenia okresu wojny i lat powojennych, my — Ukraińcy i Polacy — musimy przyznać się, czy też bardziej odpowiednio, już przyznaliśmy się do ciężkich win wobec siebie”. Podkreślił, że na Ukrainie z wdzięcznością przyjęto by potępienie przez Sejm akcji „Wisła” oraz likwidację jej następstw. „Nie wiem, jaka mogłaby być akcja ze strony ukraińskiej w odpowiedzi na tak szlachetny uczynek Polski, ale wierzę, że znajdziemy siłę ducha, by prosić o przebaczenie”. I dalej: „My nigdy nie uznamy za prawdę kłamstw i kalumni, które rozpowszechniali sowieccy historycy o Ukraińskiej Armii Powstańczej. UPA to cześć i duma Ukrainy. UPA współpracowała z polskim podziemiem narodowo-wyzwoleńczym, z AK”.

Z kolei wiceminister Tarasiuk przedstawił bardziej dokładną wizję ukraińskiej polityki zagranicznej w kontekście stosunków z Polską. Powiedział on, że rozpad ZSSR i powstanie niepodległych państw na jej gruzach stworzyły „próżnię bezpieczeństwa” w Europie Środkowo-Wschodniej. Stawia to nowe wyzwania przed krajami tego regionu, do którego należy również Ukraina. Pragnie ona aktywnie uczestniczyć w poszukiwaniu odpowiednich rozwiązań. Mówca stwierdził, że istnieją trzy cele dla krajów tej części Europy. Pierwszym jest stworzenie jednej przestrzeni bezpieczeństwa i stabilizacji, w myśl hasła: „Bezpieczeństwo dla siebie — bezpieczeństwo dla wszystkich”, od Atlantyku do Uralu. Szczególną rolę w tym kontekście odgrywa KBWE jako polityczna nadbudowa nad systemem bezpieczeństwa. Stąd ukraiński postulat, aby koordynować działania państw naszego regionu. System bezpieczeństwa europejskiego powinien opierać się na już istniejących strukturach, które z biegiem czasu mają ulec transformacji. Drugi cel to umacnianie demokracji, przestrzeganie praw człowieka i praw mniejszości narodowych. Wreszcie trzeci cel to doprowadzenie poziomu ekonomicznego państw Europy Środkowo-Wschodniej do poziomu zachodnioeuropejskiego. W tym układzie Ukraina pragnie odgrywać rolę ośrodka bezpieczeństwa w regionie i zwornika pomiędzy Europą Środkową i Wschodnią. Ukraina i Polska są największymi krajami w tej części Starego Kontynentu, a więc powinny być dla siebie strategicznymi partnerami. Współpraca ukraińsko-polska powinna zaś tworzyć wschodnie jądro cementujące procesy integracyjne w Europie. Oba państwa mogą

się wzorować na przykładzie Niemiec i Francji, które zmagają się z podobnymi problemami. Tarasiuk konkludował, że właśnie te dwa państwa oraz Ukraina i Polska powinny stworzyć transkontynentalną oś Wielkiej Europy nie podzielonej przez bloki. Jednocześnie podkreślił, że Rosja nie była, nie jest i nie będzie jedyną prawną spadkobierczynią ZSSR, bowiem prawo do tego posiadają wszystkie państwa powstałe na jego gruzach.

Mychajło Horyń znaczną część swojego wystąpienia poświęcił na przedstawienie historycznych argumentów przynależności Ukrainy do Europy. Mówił o zagrożeniach płynących z ewentualnego upadku państwa ukraińskiego, co byłoby równoznaczne z odrodzeniem się ekspansyjności Rosji. Mówił o Wspólnocie Państw Niepodległych jako sposobie na ewolucyjny, cywilizowany demontaż imperium sowieckiego. Wskazywał na atrakcyjność koncepcji sojuszu państw „Międzymorza”, czyli terytoriów położonych między Morzem Bałtyckim a Morzem Czarnym. Byłoby to rozwiązanie korzystne również dla Rosji, bowiem gwarantowałoby demokratyczny, nie hegemonistyczny kierunek jej rozwoju. Horyń stwierdził, że z zainteresowaniem należy rozważyć koncepcję NATO-bis, wysuniętą przez Lecha Wałęsę. Taka struktura stanowiłaby etap pośredni na drodze Ukrainy i Polski do Europy. Jednocześnie podkreślił niebezpieczeństwa płynące z ewentualnego przyjęcia przez Ukrainę opcji wschodniej, tzn. bliskiego sojuszu z Moskwą. Oznaczałoby to bowiem niebezpieczeństwo utraty nie tylko suwerenności, lecz również tożsamości narodowej na znacznych obszarach Ukrainy.

Drugi dzień konferencji poświęcony był omówieniu spraw gospodarczych oraz współpracy regionalnej. Z polskiej strony wystąpili m.in. prof. Leszek Balcerowicz, minister współpracy gospodarczej z zagranicą Andrzej Arendarski, prof. Andrzej Zawiślak, wojewoda przemyski Adam Pęziół. Stronę ukraińską reprezentowali natomiast wiceminister gospodarki Leonid Minin, sekretarz Komisji ds. Reformy Ekonomicznej Rady Najwyższej Ołeksandr Barabasz i delegat prezydenta Ukrainy w obwodzie wołyńskim, Wołodymyr Błażenczuk. Nie przybył niestety wicepremier i minister gospodarki, główny architekt obecnych reform na Ukrainie, prof. Wiktor Pynzenyk, a także były wicepremier Wołodymyr Łanowoj. Znacznie obniżyło to poziom dyskusji i wpłynęło na sposób prezentacji obecnych przekształceń na Ukrainie.

Polscy prelegenci zajęli się przede wszystkim omówieniem sposobu przeprowadzenia reform w Polsce pod kątem

ich przydatności dla przeobrażania ekonomiki ukraińskiej. Leszek Balcerowicz syntetycznie zaprezentował wypracowaną przez siebie koncepcję przejścia od gospodarki nakazowo-rozdzielczej do gospodarki wolnorynkowej. Wskazał na korzyści płynące z jej przyjęcia oraz brak dla niej alternatywy. Z kolei minister Arendarski szczegółowo omówił wymianę gospodarczą ze wschodnimi sąsiadami, wskazując na jej niezadowolający poziom. Wymienił główne produkty eksportowane z Polski na Ukrainę oraz importowane do Polski. Pewne zdziwienie wywołała informacja, że Polska eksportuje w znacznych ilościach produkcję przemysłu metalurgicznego i paliwowego, co jest zaskoczeniem biorąc pod uwagę strukturę przemysłu ukraińskiego, jak również importowanie paliw przez Polskę.

Wiceminister Minin zaprezentował koncepcję reformy ekonomicznej wypracowanej przez ekipę premiera Kuczmy, którą sam mówca (występujący zresztą po rosyjsku) określił jako „grupę pragmatyków i realistów”. Wskazał na czynniki uzależniające reformy na Ukrainie, m.in. zależność od dostaw surowców paliwowych z Rosji, jednostronność związków handlowych (70% z Rosją), strukturę przemysłu (dominacja przemysłu ciężkiego i wydobywczego), psychologię społeczną, brak kadr i tradycji państwowotwórczych. Stąd uwarunkowania reform: długi okres przejściowy, nieprzystawalność regulacji monetarystycznych i makroekonomicznych oraz potrzeba ingerencji państwa w rozwój ekonomiki. Wobec katastrofalnej sytuacji gospodarczej, na 1993 rok rząd Kuczmy nie przygotował prawdziwego programu reform, lecz zestaw środków i przedsięwzięć mających zahamować spadek produkcji oraz hiperinflację. Jedynie to pozwoli na wprowadzenie pełnowartościowej własnej waluty — hrywny — oraz dokonanie gruntownych reform. W roku bieżącym postawiono zadanie prywatyzacji małych przedsiębiorstw oraz przełamanie kryzysu płatniczego z państwami Wspólnoty Niepodległych Państw. Minin podkreślił jednocześnie trudności z adaptacją polskich doświadczeń w transformowaniu ekonomiki Ukrainy.

Ołeksander Barabasz skoncentrował się na problemie prywatyzacji. Szczególnie dużo uwagi poświęcił systemowi dzierżawy z wykupem jako bardzo efektywnej w warunkach ukraińskich formy przekształceń własnościowych, znajdującej zastosowanie nawet w przemyśle ciężkim. Sam Barabasz jest przewodniczącym Stowarzyszenia Przedsiębiorców i Dzierżawców. Warto dodać, że jego poglądy spotkały się z krytyką innych ukraińskich uczestników konferencji, podobnie jak

wypowiedź Leonida Minina. W ten sposób strona polska mogła poznać niejako z pierwszej ręki kontrowersje dzielące ukraińskich ekonomistów i polityków odnośnie kierunku i sposobu przekształcania gospodarki narodowej. Po interesującej dyskusji Leszek Balcerowicz stwierdził, że zaawansowanie reform gospodarczych na Ukrainie odpowiada polskiemu przełomowi lat 1989-1990.

Wiele ciekawych faktów przyniosło omówienie współpracy regionalnej. Najbardziej dynamicznie rozwija się ona pomiędzy obwodem wołyńskim a województwem chełmskim, lubelskim, zamojskim i białkopodlaskim. W Łucku otwarto pierwszy na Ukrainie oddział banku polskiego. W regionie tym utworzony zostanie niedługo Euroregion Bug, co pozwoli jeszcze bardziej zintensyfikować kontakty. Sytuacja ta kontrastuje nieco z warunkami pomiędzy województwem przemyskim a obwodem lwowskim, ale na konferencji wyrażano nadzieję, że i tutaj uda się osiągnąć postęp. Ważnym przyczynkiem do zrozumienia reakcji części środowisk przemyskich na ideę bliższej współpracy z Ukrainą było wystąpienie dr Stanisława Stępnia, dyrektora Południowo-Wschodniego Instytutu Naukowego z siedzibą właśnie w Przemyślu.

Z kolei pierwszego dnia konferencji dr Włodzimierz Mokry, wykładowca Uniwersytetu Jagiellońskiego i prezes Fundacji św. Włodzimierza Chrzcziciela Rusi Kijowskiej, wygłosił referat o sposobach przełamywania barier i uprzedzeń między Polakami i Ukraińcami. Zwrócił on szczególną uwagę na dokonania w tej dziedzinie prasy podziemnej z lat 80-tych, a także znaczenie Unii Brzeskiej dla zachodniej orientacji w kulturze ukraińskiej.

Ostatni dzień konferencji poświęcony był problemowi mniejszości narodowych. Obrady odbywały się w Krynicy, co jak się okazało miało pewien wpływ na ich przebieg. Z referatami wystąpili: wiceminister kultury Michał Jagiełło, zastępca przewodniczącego Komitetu ds. Mniejszości Narodowych Gabinetu Ministrów Ukrainy Raul Cziłaczawa, prezes Federacji Polskich Organizacji na Ukrainie Emilia Chmielowa, przewodniczący Związku Ukraińców w Polsce Jerzy Rejt oraz burmistrz Krynicy Jan Golba.

Reprezentanci obu społeczności przedstawili sytuację Polaków na Ukrainie i Ukraińców w Polsce. Trudności, z jakimi borykają się mniejszości, dotyczą głównie spraw konfesyjnych (problem zwrotu majątku kościelnego), a także sposobów pomocy państwa w rozwoju szkolnictwa w języku ojczystym,

działalności kulturalnej i społecznej. Wiceminister Jagiełło wskazał na rozmiary subsydiowania tych dziedzin przez państwo polskie, natomiast Raul Cziłaczawa mówił o założeniach polityki państwa ukraińskiego w stosunku do mniejszości narodowych. Najwięcej kontrowersji wywołało jednakże wystąpienie burmistrza Golby poświęcone Krynicy jako miejscu spotkań i dialogu polsko-ukraińskiego. Skupił się on przede wszystkim na przedstawieniu problemu współżycia różnych narodowości w tym mieście, akcentując kwestię odrębności narodowej Łemków, których nazwał odrębnym narodem o populacji sięgającej 1 mln 200 tysięcy osób. Wywołało to żywą dyskusję, w której zabrał głos m.in. radca ambasady Ukrainy Teodozjusz Starak, sam — co podkreślił — Łemko repatriowany na Ukrainę w 1946 roku. Powiedział on, że zdecydowana większość Łemków czuje się Ukraińcami i wyraził sprzeciw wobec poglądów burmistrza, oświadczając, że w stosunkach pomiędzy obu państwami problemu łemkowskiego nie ma. Na konferencji o mniejszości ukraińskiej w Polsce i polskiej na Ukrainie powinno się mówić o problemach środowisk je tworzących, a nie podnosić kwestie ludzi sprzeciwiających się uznawaniu ich za Ukraińców.

Warto na koniec wspomnieć o przeprowadzonej przez krakowskich grekokatolików akcji, w czasie trwania konferencji. Odprawili oni nabożeństwo przed kościołem św. Norberta, który od początku XIX wieku do 1946 roku należał do parafii grekokatolickiej. Obecnie zajmują go ojcowie saletyjni, a próby o zwrot świątyni nie przyniosły dotychczas rezultatu. W ten sposób z całą ostrością unaocznili się obecnie najbardziej emocjonalny problem w stosunkach polsko-ukraińskich.

Przedstawiłem tak szczegółowo wystąpienia na krakowskiej konferencji, by zaprezentować szerszemu gronu czytelników sposób dyskusowania o wzajemnych relacjach elit politycznych i gospodarczych. Wyniki bowiem tego i podobnych spotkań zbyt słabo rozpropagowane są w opinii społecznej obu krajów. Dialog polityków, bogaty w ciekawe treści i koncepcje, nie znajduje przełożenia na nastroje społeczeństwa, które nadal tkwi w kręgu stereotypów i jest poddawane oddziaływaniu rozlicznych konfliktów, które raz po raz wybuchają po obu stronach granicy. Reakcje polskich telewizji na wyemitowany w połowie stycznia film dokumentalny o akcji „Wisła”, w których przeważało zdecydowanie bardzo negatywne przyjęcie jego treści, a także reakcje prasy ukraińskiej na konflikt wokół dawnej katedry grekokatolickiej w Przemyślu dobitnie to unaocznily.

Tak więc rok 1993 powinien być okresem intensywnych kontaktów polsko-ukraińskich. Na konferencji ambasador Udowenko zapowiedział wizytę Lecha Wałęsy w Kijowie, przewodniczącego parlamentu Iwana Pluszcza i pierwszego wicepremiera Ihora Juchnowskiego w Warszawie. Zapropo-nował też powołanie wspólnej komisji rządowej ds. mniejszości narodowych, analogicznej do już działającej komisji gospodarczej. Kontakty nawiązują również poszczególne ugrupowania polityczne.

Mirosław CZECH

Sezon na Polaków

Nie wiadomo dokładnie ilu jest Polaków w Niemczech. Nawet nie bardzo wiemy, kogo można uważać za Polaka. Kryteria etniczne są niewyraźne, statystyki mało precyzyjne, poczucie przynależności do grupy polskiej przejawia się z rzadka i bardziej od święta niż na co dzień. Ludzie często uchylają się od wyboru określonej opcji narodowej w przekonaniu, że każdy taki akces grozi rozmaitymi powikłaniami społecznymi i może utrudnić proces adaptacji. Lepiej nie deklarować zbyt wyraźnie swojej tożsamości.

Znaczna część przybyszów z Polski próbuje znaleźć dla siebie miejsce w szarej strefie niedookreślenia etnicznego i kulturalnego, zawieszona pomiędzy Polską a Niemcami. Można to tłumaczyć niepewnością własnej sytuacji społecznej, poczuciem, że podstawy ekonomiczne są kruche, trudnościami w rozpoznaniu własnej tożsamości i w jednoznacznym przyznaniu się do którejś z kultur, polskiej bądź niemieckiej.

W Niemczech wielu przybyszów z Polski chce, żeby uważano ich za pełnoprawnych członków i obywateli Republiki Federalnej. W Polsce te same osoby akceptują utożsamienie z polską tradycją, obyczajem, formami religijnymi. Niektórzy z nich byli i są gotowi do poświęceń dla aktualnego kraju swego pobytu. A zdarzają się wśród tej grupy osoby zgoła przesadnie patriotyczne, aż do granic szowinizmu bądź wybuchów nacjonalistycznych uniesień.

Nie jest to zjawisko dotyczące jedynie polskiej, dokładniej

polsko-niemieckiej grupy. Podobne zakłócenia tożsamości można zauważyć na większości terenów granicznych, które w toku historii zmieniały przynależność państwową. Granice narodowe i kulturalno-religijne były płynne, poczucie narodowe ludności zmienne. Jedyłą cechą stałą było nastawienie na przetrwanie za wszelką cenę, nawet kosztem jednoznacznego wyboru opcji narodowej bądź kultury czy języka.

Tytułem przykładu można wskazać na pogranicze niemiecko-francuskie (Alzacja), hiszpańsko-francuskie (Baskowie) wreszcie polsko-litewskie. W tym ostatnim przypadku doszło zresztą po upadku I Rzeczypospolitej do odwrócenia kilkunastowiecznego procesu polonizacji miejscowej ludności litewskiej. Na przełomie XIX i XX wieku Litwini nie tylko odzyskali poczucie narodowe, ale co więcej staraniem niewielkiej grupy intelektualistów zrekonstruowali i przywrócili do istnienia własny język. Wskrzესili go z martwoty i zaniku.

Na stosunkach polsko-niemieckich dodatkowo piętno wycisnęła historia ostatniego półwiecza. Z jednej strony nazistowska doktryna, która miała na celu zepchnąć Polaków do poziomu podludzi i niewolników, pozostawiła osad w mentalności kilku pokoleń niemieckich. Ślady jego można odnaleźć w postaci arogancji, skłonności do łatwych stereotypów w ocenie polskich zachowań, patrzenia na polskie sytuacje przez pryzmat manichejski, pozbawiony odcieni i mało wyrozumiały. I chociaż z racji na przeszłość niemiecka opinia (zarówno w NRD jak i w RFN, za każdym razem z nieco innych powodów) starała się unikać bezpośredniego osądzania Polaków, to przecież na polskie poczynania i w ogóle na Polskę patrzono nad Renem z mniej lub bardziej zakamuflowaną wyższością.

Z drugiej strony powojenne przesunięcie terytorium Polski na Zachód w oczach wielu Niemców uwiarygodniło tezy o polskim (słowiańskim) zagrożeniu. Żal i tęsknota do utraconej ziemi oczystej przestąpiły na kilkadziesiąt lat u części Niemców ze Wschodu poczucie winy za zbrodnie hitlerowskie i zepchnęły w głęboką podświadomość poczucie historycznego wstydu. Polacy byli w ich oczach nie tylko ofiarami i zdradzonymi sąsiadami, ale również beneficjentami aneksji i stalinowskiego podziału Europy i Niemiec.

Na to wszystko nałożyły się narastające z biegiem lat różnice potencjałów gospodarczych obydwu krajów. Złączył się z tym charakteryzujący Polaków kompleks biedniejszego, który zmuszony jest wyciągać rękę do pokonanego, bogatego sąsiada. Do wydobycia tych mrocznych stanów psychologicznych — krzywdy, poczucia niższości, kompleksów, frustracji — przyczynił się stan wojenny.

Setki tysięcy paczek z charytatywną pomocą unaocznily zmia-

nę w stosunkach polsko-niemieckich. Zamykał się czas dawnej historii i otwierał nowy. Niemcy przestali się czuć winni za przeszłość. Liczył się dzień dzisiejszy, w którym Polak mógł co najwyżej być słabo opłacanym robotnikiem, najczęściej pracującym na czarno i korzystającym z litościwej tolerancji Republiki Federalnej. Pozostałością tego okresu są tysiące Polaków o nieregulowanym statusie pobytu, którzy nie mają dokąd wrócić i zarazem są pozbawieni większych szans na skorzystanie z możliwości niemieckiego państwa dobrobytu.

Pozostałością tego i poprzednich lat są również olbrzymie liczby „późnych przesiedleńców”, którzy w poszukiwaniu niemieckiego rodowodu (na ile byli szczerzy, a na ile koniunkturalni, nie jest łatwo ocenić, gdy wziąć pod uwagę całą konstrukcję prawną obywatelstwa RFN i nadużywanie kategorii niemieckości w ramach 116 artykułu Ustawy Zasadniczej) widzieli dla siebie furtkę na Zachód. Pragnęli jak najszybciej przebyć drogę do Europy wolności, demokracji, ale nade wszystko do Europy dobrobytu, przyciągani mirażem sukcesu indywidualnego i lepszej przyszłości dla własnych dzieci.

Te dwie kategorie przybyszów z Polski — późni przesiedleńcy i osoby, które przebywają tu w ramach tolerowanego statusu pobytu — określiły obraz polskiej grupy w Niemczech. I narzuciły wszystkim pozostałym Polakom w RFN typ zachowań, w którym dominują niepewność, brak jasnej samoidentyfikacji i unikanie wyraźnej opcji narodowej bądź opowiedzenia się po stronie jednej z kultur. To, co znamionowało niegdyś ludność pogranicza polsko-niemieckiego, rozciąga się obecnie na większość polskich środowisk w Niemczech. Często towarzyszy temu wybranie wygodnej formuły regionalnej (śląskość) bądź moralnej (uchodźca polityczny). W ten sposób grupa polska próbuje unikać zagubienia, broni się przed próżnią ideowo-społeczną, która z reguły towarzyszy osiedleniu, chce przezwyciężyć obcość i zataić przed innymi (niemieckim otoczeniem) niepewność własnej sytuacji społecznej i etniczno-kulturalnej.

Z takich zachowań bierze się wspomniana dwuznaczność i niedokładność wszelkich statystyk. Zarówno tych, które wprost (celują w tym niektóre kręgi polityczne w Polsce) powiększają stan liczbowy polskiej grupy w RFN — w niektórych wyliczeniach ma ona dochodzić do 2 milionów — jak i tych oficjalnych danych, które ograniczają polską grupę w RFN do zarejestrowanych posiadaczy paszportów z orłem w koronie, z czego wynikają cyfry dziesięciokrotnie niższe. Obydwie oceny są mylące, gdyż nie uwzględniają całej sfery pośredniej, niezdeklarowanej, oraz pomijają osoby, które zaadaptowane w Niemczech od pokoleń i pełne dumy z tego kraju, zachowały przecież żywą pamięć o polskim rodowodzie i sentyment do historii i obyczaju.

Tych ostatnich nie jest wcale mało. Choć może nie należy ich szukać akurat wśród posiadaczy dźwięcznych słowiańskich nazwisk, często z dodatkiem „von”.

Do tej grupy jest adresowany traktat o dobrym sąsiedztwie z czerwca 1991 roku, w którym artykuły 20 i 21 wyraźnie wskazują na przyznawanie się „do języka, kultury lub tradycji polskiej”. Nie co innego, ale „przyznanie się” jest podstawą do korzystania przez tę grupę ze szczególnej ochrony prawnej ze strony władz RFN w sferze „wyrażania, zachowania i rozwijania swej tożsamości etnicznej, kulturalnej, językowej i religijnej bez jakiegokolwiek próby asymilacji wbrew ich woli”. Tyle, że właśnie o to przyznanie się jest najtrudniej. Bez niego nie uda się jednak osiągnąć żadnych znaczących sukcesów w zachowaniu własnej tożsamości, związków z polską kulturą czy językiem.

W przypadku polskiej grupy wciąż pozostaje otwarte pytanie, jak można to osiągnąć. W jaki sposób można wypełnić suchą literę traktatu żywą treścią? Półtora roku, jakie minęło od momentu podpisania, nie wskazuje na odrodzenie się polskiej grupy i na zainteresowanie polskimi korzeniami u osób związanych pochodzeniem z Polską. Można wręcz zaryzykować stwierdzenie, że traktat przyniósł jak dotąd znaczną zmianę sytuacji i poprawę warunków do pielęgnowania własnej tożsamości jedynie niemieckiej mniejszości zamieszkałej w Polsce. W tym sensie spełnił swoje założenia, wyrównał wieloletnie krzywdy, jakich ta grupa doznała w Polsce od ówczesnej władzy i od przybyszów z innych stron Polski, którzy osiedli po 1945 roku na terenie Śląska Opolskiego, Mazur, Pomorza.

Nie wyrównał jednak szans dla zamieszkałych w RFN osób polskiego pochodzenia. I nie daje się tego usprawiedliwić faktem, że osoby te słabo wyrażają swoje pragnienia i półgębkiem przyznają się do polskiego rodowodu. Asymetria pozostaje zbyt rażąca, żeby można ją tłumaczyć jedynie brakiem aspiracji do polskości. Czy przyczyny nie są inne? Czy nie leżą w obojętności państwa na te sprawy? Demokratyczna struktura prawna Republiki Federalnej nie przeszkadza danej grupie w pielęgnowaniu własnej kultury, ale też nie wyrównuje szans, nie pomaga w uzyskaniu należnych praw tym, którzy są słabi. Polacy na tle innych grup etnicznych (Turcy, Grecy, Włosi nawet Kurdowie) zaliczają się do najsłabszych.

Nie tyle z powodu ekonomicznego i socjalnego zacofania, co z uwagi na swoje sąsiedztwo, na bliskość kulturalną z Niemcami i trwającą od wieków konkurencję dwóch organizmów państwowych, Polski i Niemiec. W tym sensie słabość polskiej grupy jest skutkiem wciągania Polaków w krąg oddziaływania kultury niemieckiej, niemieckiej organizacji, systemu wartości i zachowań. Ceną tego jest często asymilacja.

Od 1945 roku za asymilacją nie stoi już aparat przymusu ani surowe reguły administracyjne, które negują prawo do odrębności. W niemieckim urzędzie, niemieckim otoczeniu, a często i pośród niemieckiej klasy politycznej pozostaje jednak wciąż żywe przekonanie, że integracja przybyszów z Polski może się dokonać jedynie na drodze pełnego ich utożsamienia się z kulturą, językiem i obyczajem nowego kraju, z Republiką Federalną. Niezbędna dla egzystencji przybyłych do RFN integracja z tym krajem zaczyna wtedy być rozumiana jako asymilacja. W każdym razie subtelna granica, jaka oddziela te dwie kategorie, pryska w imię zapewnienia nowoprzybyłemu lub też potomkom imigrantów szans na materialny sukces i skorzystanie z dobrobytu, który oferuje Republika Federalna. Warunkiem stawianym przybyszom jest asymilacja.

Z tego wynika — jak można sądzić — powszechna praktyka władz lokalnych i samorządów, a także wielu urzędów landowych unikania zaangażowania materialnego, moralnego i politycznego we wspieranie polskości, w podtrzymywanie przywiązania do języka i kultury wśród środowisk i osób tym zainteresowanych. Przeważa odmowa, grzecznie kamuflowana rozmaitymi względami. Konsekwentne unikanie wsparcia przez te urzędy polskiej grupy — a ujawnianie takiej postawy jest zadziwiająco częste — wręcz może nasuwać różne przypuszczenia co do linii politycznej części władz RFN w stosunku do polskiej grupy.

Mniejsza jednak o przypuszczenia, które trudno poprzeć dowodami. Istotniejsze jest poczucie traconych możliwości i szans, nierozwiązanie problemu, który tylko pozornie rozwiąże się sam z biegiem czasu na drodze pełnego utożsamienia polskiej grupy z niemieckością. Zdarzenia ostatniego półrocza wskazują, że nie jest to takie łatwe i że cudzoziemskość, obcość są znowu podejrzane. Przynajmniej dla wielu kręgów niemieckiego społeczeństwa. Czy osoby obarczone tym ciężarem (obcości) będą mniej zagrożone, gdy zapomną o swoim rodowodzie? Nie jest to pewne. Może być nawet odwrotnie.

Potrzeba w tym względzie nowych rozwiązań. Włączenia się w akcję podtrzymywania związków osób innego pochodzenia z ich dawnym krajem, dawną kulturą, a także z językiem, kręgów i postaci obdarzonych autorytetem moralnym i politycznym spośród elit niemieckich; ludzi Kościoła, sztuki, biznesu, nauki, mass mediów. Bez tego zamiast sezonu na Polaków, jaki obiecywano po podpisaniu traktatu o dobrym sąsiedztwie i przyjaznej współpracy, wejdziemy w sezon zupełnie inny. O jego kształcie będą decydować z jednej strony radykalne i negatywne wobec obcych zachowania ulicy niemieckiej, a z drugiej niewątpliwy strach, kompleksy niższości i skrywanie własnej tożsamości

u osób polskiego pochodzenia. W obecnej chwili стоимy na rozdrożu. Dokonanie wyboru należy do niemieckiej strony. Jako mocniejszej i jako tej, która potrafiła już wielokrotnie wykazać własną skuteczność i sprawność polityczną oraz moralną dojrzałość w obronie interesów niemieckiej grupy zamieszkałej poza granicami Republiki Federalnej. Wypada czekać na mądre rozwiązania i dalekowzroczną politykę.

Roch KOWALSKI

List z Berlina

Sześćdziesiąta rocznica przejęcia władzy w Berlinie przez Adolfa Hitlera i powstania krótkotrwałej, ale zbrodniczej Trzeciej Rzeszy, stała się asumptem do manifestacji i demonstracji na rzecz demokracji. Były poważne i przekonujące. Szczególnie gremialny udział młodych ludzi napawa nadzieją.

Oczywiście, że wiele zależy od tego, jak się potoczą losy gospodarki. Ale nawet pogłębienie recesji nie doprowadzi chyba do sytuacji krańcowych. Nie ma też obaw, aby w Niemczech wschodnich doszło do rewanżu sił komunistycznych. Następczyni byłych komunistów, czyli Partia Demokratycznego Socjalizmu, która odbyła swój zjazd, nie wykazuje tendencji ekspansjonistycznych. Wciąż jeszcze cierpi na skutek przeszłości totalitarnej i ma ogromne kłopoty z dojściem na tym polu do ładu. Szarpią ją wewnętrzne porachunki, konflikty pokoleń i niejasny stosunek do lewicy socjaldemokratycznej. Kryzys w kierownictwie jakoś załatała, a na miejsce zmęczonego przewodniczącego, Gysi, wybrała nowego szefa. Bisky — tak jak jego poprzednik — jest intelektualistą. Niegdyś był rektorem szkoły filmowej w Babelsbergu, a obecnie jest szefem frakcji posłów postkomunistycznych w sejmiku brandenburskim w Poczdamie.

Drugim wydarzeniem rocznicowym było pięćdziesięciolecie klęski Niemców pod Stalingradem. Zaowocowało ono odkryciem wielu nowych źródeł historycznych na temat ówczesnego zmagania dwóch totalitarnych kolosów. Tu i ówdzie pokazały się głosy nawołujące do pojednania z Rosją na wzór polityki z Polską i Francją, ale trochę nieśmiało i niezdecydowane.

Akurat w tę rocznicę dowódca Zachodniej Grupy Wojsk Rosyjskich w Niemczech, generał Burlakow, urządził konferencję

prasową na temat wycofania oddziałów. Jakiejś naglącej potrzeby na enuncjacje generalskie nie było. Ale pomiędzy wierszami można było odczytać, że chodziło o zdementowanie szerzących się coraz częściej i w Niemczech i w Rosji plotek o powiązaniach tych wojsk z olbrzymimi nadużyciami mafii. Burlakow starał się te zjawiska jak najprędzej zbagatelizować, wykorzystał okazję, aby się odciąć od wszelkich pomówień, jakoby on w tę aferę był również zamieszany. Zapewniał też, że przyjęte w traktatach zobowiązania o przedwczesnym wycofaniu jednostek sowieckich będą wykonane w przewidzianych terminach. Ale nie obyło się bez skarg pod adresem Niemców. Burlakow skarżył się na opieszałość przy budowie tych pomieszczeń głównie na terenie Rosji, a częściowo w Białorusi i na Ukrainie. Władze niemieckie odrzucają pretensje generała i zwracają uwagę, że bałagan w tej sprawie panuje przede wszystkim w organach Ministerstwa Obrony w Moskwie. Z drugiej strony Burlakow chciał się trochę przypodobać Niemcom i zapewniał, że jego żołnierze usuwają skrupulatnie następstwa pobytu wojsk, czyli ślady zanieczyszczenia środowiska, zwały zardzewiałych, porzucanych pojazdów i leżącą na poligonach amunicję.

A po drugiej stronie bieguna dawnych czasów okupacji, na lotnisku w Tempelhofie, żegnała się z berlińczykami ostatnia jednostka lotnictwa amerykańskiego w Berlinie, legendarna grupa lotnicza, która w okresie blokady miasta w roku 1948 zorganizowała most powietrzny z Zachodem i po niecałym roku wygrała tę niekrwawą bitwę o Berlin ze Stalinem. Berlińczycy żegnali się z nową generacją lotników amerykańskich w starym duchu wdzięczności i nostalgii.

Abstrahując od tych aktualnych spraw, życie polityczne skupia się na dwóch sprawach: zapobieżeniu napływowi uchodźców, potocznie nazywanych „azylantami” i finansach. Bonn czyni naciski na Pragę i Warszawę, aby zamknęły swe granice na wschodzie i przyjmowały uciekinierów z powrotem na swe terytorium. W istocie należałoby to ustalić z innymi krajami „transytowymi”, zwłaszcza z Ukrainą i Węgrami. Równie palące jest zagadnienie podziału nowych ciężarów na finansowanie postsocjalistycznej gospodarki Niemiec wschodnich.

Z berlińskiej perspektywy widać jak na dłoni, że spór o nowy zastrzyk finansowy dla naprawy całej infrastruktury nie przebiega według zasady „tu rząd, a tam opozycja”. Fronty się gruntownie zmieniły. Dziś linie podziału przebiegają horyzontalnie wzdłuż starej granicy między Wschodem a Zachodem. Dawne prowincje Niemiec Federalnych są po jednej stronie, a nowe landy po drugiej. Berlin przyłączył się do drugiej kategorii. Linia demarkacyjna wcale się nie troszczy o względy programowo-światopoglądowe, a orientuje się niezależnie od zabarwie-

nia partyjnego według lokalnych czy regionalnych interesów.

Narusza to oczywiście stare pojęcia o dyscyplinie partyjnej, zwłaszcza jeśli chodzi o zwartość szeregów chadeckich, czyli partii kanclerza Kohla. Po raz pierwszy w powojennej historii Niemiec politycy chadecy kierują się już nie wspólną im strategią, lecz względami na zarządzane przez nich resorty lub stanowiska. Dotyczy to przede wszystkim premierów w poszczególnych prowincjach, inaczej mówiąc landach.

Berlin początkowo trochę się wahał, do kogo się przyłączyć, aż wreszcie zdecydował się pójść razem z „biednymi” partnernami. Ma ku temu wiele powodów. Metropolii nad Szprewą obcięto radykalnie dawne subsydia. Załatwianie spraw majątkowych i notarialnych związanych ze zjednoczeniem niegdyś rozdartego murem i odmiennym łaodem społecznym miasta bardzo się ślimaczy, a to powstrzymuje inwestorów od lokowania kapitału. Do tych względów, pogłębiających nastroje niechęci wobec Bonn, dochodzi jeszcze inna kwestia: obawy przed dalszym „rozprzemysłowieniem” gospodarczej struktury miasta.

Należy pamiętać, że Berlin od drugiej połowy ubiegłego stulecia był głównym ośrodkiem nowoczesnej technologii. Stąd firma Siemens rozprawiała po całym świecie swoje wynalazki w postaci nowych urządzeń i maszyn. Niebawem stolica nad Szprewą stała się centrum nowoczesnego przemysłu zwłaszcza na polu elektryki i komunikacji. Skutki drugiej wojny światowej, a więc zniszczenia spowodowane bombardowaniami, reparacje i konfiskaty, wreszcie podział miasta i odpływ kierowniczych sił koncernów w okresie berlińskiej ofensywy Chruszczowa pod koniec lat pięćdziesiątych, mocno wyszczerbiły tę ongiś dominującą nie tylko w Europie, ale i na świecie pozycję. Mimo to Berlin ma jeszcze mocne stanowisko w sensie siedziby nowoczesnych przemysłów. Ale sposób prywatyzacji wschodnioberlińskich koncernów państwowych, które wyszły ze wspólnej kolebki industrializacji Prus, i który doprowadził do likwidacji wielu firm, wywołuje poważne obawy co do przyszłego charakteru Niemiec Wschodnich i ich metropolii. Jest to kwestia wykraczająca daleko poza granice Berlina. Chodzi bowiem o przyszłe oblicze infrastruktury gospodarczego zaplecza miasta — odprzemysłowienie tego zaplecza może zmienić układy społeczne i w końcu doprowadzić do zachwiania relacji między niemieckim wschodem a zachodem.

Z tego punktu widzenia ofensywa berlińskich polityków o zdobycie pierwszeństwa na zorganizowanie igrzysk olimpijskich w roku dwutysięcznym prezentuje się nieco inaczej, niż jedynie jako przejaw megalomanii lub partykularnych zachcianek. Jest to raczej przemyślany odruch zapobiegawczy przeciwko widmu wysychania soków przyszłości i straszakom duchowego i material-

nego zubożenia. Berlin, po uchwale Bonn, że to on ma być stolicą zjednoczonego państwa, liczył na rychłe wdrożenie procesu metropolizacji, a nie na zaczynającą się prowincjonalizację z braku wspomnianych innowacji i przemian politycznych. Na skutek zaistniałego impasu przysłała rola tego olbrzyma, położonego bliżej Polski niż Nadrenii, zawisła na razie w powietrzu.

Ale do tych wymarzonych igrzysk jako odtrutki na szerzącą się frustrację jeszcze bardzo daleko i w ogóle nie wiadomo, czy Berlin otrzyma glejt od wszechwładnego Komitetu Olimpijskiego. Zresztą — nawet w przypadku przychylniej decyzji tego gremium — trudno będzie w ciągu całego dziesięciolecia utrzymać nastroje optymistyczne. W atmosferze cywilizacji telewizyjnej, karmiącej widzów mieszkanką złożoną z krwi, seksu i nadużyć, niełatwo będzie podtrzymać ducha w narodzie ideą olimpijską.

A sprawa przeprowadzki stolicy staje się coraz bardziej niejasna w obliczu rosnącej recesji gospodarczej, eksplozji bezrobocia i sporów między rządem a landami o fundusze na ratowanie zjednoczenia przed groźbą pogłębienia konfliktu dzielnicowego i psychologicznego między „zachodniakami” zwanymi *Wessis* i „wschodniakami” z przydomkiem *Ossis*. Rośnie liczba przeciwników rychłego przeniesienia rządu z Bonn do Berlina. Z jednej strony nad Szprewą architekci ogłaszają kosztowne konkursy o palmę pierwszeństwa w związku z projektowanym nowym obliczmem stołecznego miasta, z drugiej w Bonn buduje się nowe — albo modernizuje stare — gmachy ministerstw. Realisci zaś nawołują, aby na razie pogrzebać plan przeprowadzki i poczekać na lepsze czasy, a przewidziane na ten cel pieniądze w wysokości 70 miliardów marek przeznaczyć w całości na pomoc dla wschodnich landów.

Istnieją też liczne opory natury polityczno-psychologicznej: Bonn, obrószony atmosferą integracji europejskiej, nie irytuje nikogo ani na Wschodzie ani na Zachodzie, nie ma żadnych obciążeń imperialnych ani ciągłotek mocarstwowych, czego o Berlinie — mimo zasłony „frontowego miasta” w okresie zimnej wojny — przy najlepszej woli powiedzieć nie można.

Ostatnio tego rodzaju rozmyślenia i troski tracą jednak grunt pod nogami, Niemcy wkraczają w okres poważnego kryzysu, który wciąż wszystkie siły społeczne i dominuje w umysłach społeczeństwa. Jedyne w tym roku poważne wybory dzielnicowe, w Hesji — ze stolicą bankową Niemiec we Frankfurcie nad Menem — które odbyły się 7 marca, wstrząsnęły życiem politycznym od posad niczym tajfun lub trzęsienie ziemi. Wbrew hasłom o rzekomo głęboko zakorzenionej, ustabilizowanej demokracji parlamentarnej w Republice Federalnej Niemiec, okazało się, że wcale tak nie jest i że w tym — dotychczas odpornym na wszelkie epidemie i zarazy — organizmie zaistniały symptomy schorzeń. Główne obawy to podwójna klęska fun-

damentu tej demokracji w postaci wielkich zbiorczych partii ludowych, chadeckiej CDU i socjaldemokratycznej SPD. Porażka socjaldemokratów jest jeszcze bardziej dotkliwa niż chadeków. Obydwie partie masowe nadszczerbił ząb czasu. Przywódcy stali się ofiarami rutyny i zbiurokratyzowania systemu parlamentarnego, coraz bardziej oderwanego od konkretnego społecznego i zalewanego lawiną powierzchownej informacji. Zdane na drugorzędny narybek absolwentów politologii i jurysprudencji — gdyż młode talenty uciekają do bardziej twórczej kariery w przemyśle i handlu — nie są zdolne w okresie przełomu w historii kontynentu do przedstawienia nowej wizji przyszłości. Ów przedwczesny uwiad starczy prowadzi do apatii i odpolitycznienia społeczeństwa, które w dobie trudnego dzieła zjednoczenia kraju powinno być jak najbardziej zaangażowane. Symbolem odwrotu od polityki był bojkot wyborów przez jedną trzecią społeczeństwa. Na tle tego potrójnego *vacuum* wyrosło nagle ostrzeżenie w postaci sukcesu wyborczego nacjonalistycznej prawicy, zachowawczej partii republikanów, swego rodzaju niemieckiej endecji, występującej przeciw cudzoziemcom, amerykanizacji i wyprzedza „niemieckich wartości narodowych”. Partia ta — mimo ostrzeżeń i perswazji ze strony historycznych partii demokratycznych, trudności z dostępem do środków masowego przekazu i bez własnej prasy — drogą propagandy szeptanej i spotkań w knajpach przy piwie, za jednym zamachem stała się czwartą siłą polityczną — na razie tylko w obrębie Hesji. Ale w tym zwycięstwie dzielnicowym znajduje się chyba już bilet wstępu do parlamentu ogólnoniemieckiego, Bundestagu, w następnych wyborach w 1994 roku.

BERLIŃCZYK

Notatki rosyjskie

Piątego marca minęło czterdzieści lat od śmierci geniusza wszech czasów i narodów. Duch Stalina wciąż jednak kołocz się po ziemi. Nikołaj Karamzin pod koniec rozdziału o Iwanie Groźnym w „Dziejach państwa rosyjskiego” zastanawia się, dlaczego najbardziej krwawy z carów rosyjskich jest najpopularniejszą postacią rosyjskiego folkloru. Historyk dochodzi do wniosku, że „historia jest bardziej pamiętliwa niż narody”. Współczesne wydarzenia potwierdzają tę obserwację. Historycy przeszu-

kują archiwa w poszukiwaniu dowodów na powszechnie znane zbrodnie Stalina, ale naród wspomina go z rosnącą czułością i sentymentem.

Stalin dobrze wiedział, że narody nie mają pamięci. W rozmowie o swoim ulubionym carze Iwanie Groźnym zapytał: któż dziś pamięta imiona zabitych bojarów? A ich unicestwienie pozwoliło umocnić państwo rosyjskie! Między zabójstwami bojarów a rozmyśleniami Stalina upłynęły cztery wieki — imiona bojarów zachowały się tylko w podręcznikach historii. Od śmierci Stalina upłynęło lat czterdzieści, a imiona jego ofiar, nie zdążywszy wejść do podręczników, znikają już z ludzkiej pamięci. Natomiast nazwisko Stalina coraz częściej pojawia się w prasie rosyjskiej, która z reguły podkreśla pozytywne elementy jego rządów.

Odnotować też wypada przesunięcie akcentów. W pierwszych latach *perestrojki*, kiedy zaczęto wypełniać „białe plamy” i pozwolono mówić o przemilczanych dotychczas faktach, na pierwsze miejsce na komunistycznym Panteonie wysunął się Lenin — ojciec „prawdziwego socjalizmu”, wynaturzonego z rozmaitych powodów przez Stalina. Dziś Lenina usunięto w cień (ostatni afront przed zamknięciem mauzoleum, to usunięcie jego wizerunku z banknotów), natomiast Stalin znów pnie się w górę.

Wspominam o nim nie bez kozery: w lutym 1993 roku odbył się drugi nadzwyczajny zjednoczeniowo-odnowicielski zjazd komunistycznej partii Rosji. Po tym jak Trybunał Konstytucyjny skasował zakaz partii komunistycznej, ta szybko się odrodziła. Na razie jest tylko cieniem samej siebie. Świadczą o tym pewne drobiazgi. Komitet organizacyjny nie mógł znaleźć w całej Moskwie pomieszczenia na zjazd. Wreszcie wynajął podmoskiewski pensjonat „Ogoniok” (narzuca się skojarzenie z „Iskrą”), niegdyś dom wczasowy KC KPZS. Powiedzmy od razu, że kiedy w 1903 roku zbierał się pierwszy założycielski zjazd rosyjskiej socjaldemokracji (który nazwał się drugim) delegaci musieli udać się do Brukseli, a stamtąd do Londynu. Dziewięćdziesiąt lat temu zebrało się kilkudziesięciu delegatów, a teraz sześciuset pięćdziesięciu. Wtedy potencjalnych członków partii było kilka tysięcy, a dziś — jeśli wierzyć przywódcom — zapisało się 527 tysięcy. Obserwatorzy bardzo wątpią, czy jest ich rzeczywiście aż tylu, raczej myślą, że dziesięciokrotnie mniej.

Nawet jeśli przyjmiemy liczbę najmniejszą, to wciąż jest ona wyższa aniżeli liczby członków wszystkich pozostałych partii rosyjskich (jest ich nie mniej jak dwa tysiące). Dzisiejsza Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej (KPFR) ma niemałe atuty: jej przywódcy są doświadczonymi działaczami partyjnymi, partia dysponuje pozostałymi z lepszych czasów funduszami, a lud-

ność jest niezadowolona z pogarszających się warunków materialnych. Ale możliwości KPFR są na razie bardzo ograniczone, bo wciąż nie ma prawa do tworzenia komórek w przedsiębiorstwach ani w wojsku. Pierwszym sekretarzem centralnego komitetu wykonawczego (CKW) został Gennadij Zjuganow. Wszyscy są zgodni, że do Lenina mu daleko. Ma jednak cechę bardzo przydatną dla dzisiejszego komunisty, mianowicie żywe uczucia nacjonalistyczne. Gennadij Zjuganow jest drugim po Bogu (tzn. redaktorze naczelnym A. Prochanowie) w piśmie *Dzień* i jednym z przywódców Frontu Ocalenia Narodowego, Zjuganow to wzór nacjonal-komunisty.

Ocena terażniejszości jest sprawą przyszłości. Wszyscy obserwatorzy widzą jednak, że po dwóch latach marszu w stronę demokracji wahadło ruszyło w kierunku przeciwnym. Demokracja nie dowiodła swojej przewagi, za to przekonywująco pokazała, że w polityce nie przydaje się do niczego. W lutym zebrał się nie tylko komuniści, ale też przywódcy partii „Demokratyczna Rosja”. Moskiewski dziennikarz, dawny dysydent i demokrat Lew Timofiejew opisał na łamach *Ruskiej Myśli* swoje wrażenia. Uczestniczył w obradach, zaproponował nawet program, ale Rada go odrzuciła. Główne wrażenie Lwa Timofiejewa: „Demokratyczna Rosja” stworzyła już swój aparat partyjny, ale nie ma jeszcze ani programu, ani przywódców. Całość godna pożałowania.

Wahadło zmieniło kierunek we wszystkich republikach byłego ZSSR. Wszędzie umacniają się autorytarne rządy wsparte na jednej partii, z reguły dawnej partii komunistycznej opatrzonej nowym, pięknie brzmiącym nazwaniem. Dwa skrajne przykłady to Tadżykistan, gdzie komuniści wrócili do władzy po krwawej wojnie domowej, i Litwa, gdzie była partia komunistyczna wygrała wybory parlamentarne. Najbardziej demokratyczną republiką w byłym ZSSR najniespodziewaniej okazuje się Rosja, ale odrodzenie partii komunistycznej i słabość sił demokratycznych każą podejrzewać, że sytuacja i tu może się zmienić. Dziś gwarantem demokracji rosyjskiej jest prezydent, ale jego władza jest niestabilna, zagrażają jej napaści z różnych stron. W walce z przeciwnikami Borys Jelcyn bezskutecznie szuka kompromisów i godzi się na ustępstwa, które zagrażają rdzeniowi jego polityki. Ustępstwa te idą zawsze w jednym kierunku. 28-go lutego prezydent Rosji oświadczył niespodziewanie: „Pora, żeby odpowiedzialne organizacje międzynarodowe, w tym ONZ, przyznały Rosji specjalne pełnomocnictwa jako gwarantowi pokoju i stabilności w rejonie byłego ZSSR”. Amerykański komentator nazwał propozycję Jelcyna „rosyjskim wariantem doktryny Monroe”. Francuski dziennikarz zauważył, że w dyplomacji bardziej niż w jakiegokolwiek innej dziedzinie pewne zamiary udają się tym lepiej, im mniej się o nich mówi.

Pomijając sam pomysł, który niewątpliwie podoba się niektórym byłym republikom sowieckim, a innym mniej, należy zwrócić uwagę, że prezydent Rosji sformułował go na zebraniu Związku Obywatelskiego, koalicji partii i ruchów centrowych, która stawia sobie za cel odrodzenie silnej Rosji. Tydzień później w długim przemówieniu telewizyjnym Borys Jelcyn podszedł do zagadnienia z innej strony. Mówiąc o deputowanych ludowych, którzy pretendują do władzy wykonawczej, prezydent uprzedził, że jeśli zjazd nie zechce z nim pertraktować, zmuszony będzie „sięgnąć po środki radykalne, nie całkiem zgodne z prawem”.

Wypada tylko powiedzieć, że przedwczesne zapowiadanie bezprawnych posunięć jest nieostrożne — ale takie są zwyczaje prezydenta Rosji. Ważniejsze jest co innego — Borys Jelcyn ma zamiar poddać pod referendum pytanie: czy chcecie republiki prezydenckiej? Silna władza to marzenie i cel Związku Obywatelskiego (i nie tylko jego). Jeden z jego przywódców, wiceprezydent Ruckoj, podzielił się w wywiadzie dla *Raboczej Trybuny* (27.2.93) swoimi planami: „Czas już zaprowadzić porządek w państwie! Co tu gadać o jakiejś demokracji, o jakimś tam demokratycznym romantyzmie, o jakimś niezrozumiałym humanizmie”. Jego zdaniem „demokracja to człowiek, który chce, aby państwo było silne”.

Żywiotowo rosnąca potrzeba silnej władzy jest całkowicie zrozumiała: jest to reakcja na to, co się w rzeczywistości dzieje. Ankieta społecznego działu *Prawdy*, przeprowadzona wśród ekspertów i kierowników przedsiębiorstw państwowych, spółek akcyjnych i prywatnych (w sumie 433 osoby) dała niewesołe wyniki. Na pytanie „jak ocenia pan skuteczność środków, jakie prezydent Rosji stosuje dla ustabilizowania gospodarki?”, 6% odpowiedziało, że uważa je za całkowicie skuteczne, 9% — za skuteczne, ale nie wystarczające, 34% — za mało skuteczne, a 51% — za nieskuteczne (27.3.93).

Wyniki tej ankiety wydały się szczególnie interesujące w porównaniu z inną ankietą, przeprowadzoną w grudniu 1992 r. przez Rosyjski Ośrodek Badania Opinii Publicznej. Wtedy pytanie brzmiało: „Jaki jest główny warunek, aby Rosja odzyskała status wielkiego mocarstwa?”. Odpowiedzi były różne: jeśli stanie się wolnym, demokratycznym krajem (10%), jeśli doprowadzi do końca reformę ekonomiczną (17%), jeśli uda jej się skupić wokół siebie inne były republiki sowieckie (15%), jeśli będzie dbała o wzmocnienie armii (4%). Niezmiernie ciekawy jest fakt, że 4% indagowanych uważa, że Rosja nigdy już nie będzie wielkim mocarstwem, a 30%, że „wielkość” to puste słowo: potrzebne nam jest nie wielkie mocarstwo, tylko kraj, w którym ludzie przyzwyczajeni żyją”. Ważne jest również, że około

75% indagowanych uważa, iż Rosja powinna odzyskać status wielkiego mocarstwa. Socjolog Jurij Lewada w komentarzu do tej ankiety wskazał, że „wśród dostrzegalnych strat, które odnotowuje opinia publiczna, co roku figuruje «utrata pozycji wielkiego mocarstwa»”.

Rosyjscy politycy wiedzą, że naród boleje nad tą stratą i wykorzystują jego tęsknoty w swojej grze. Nacjonal-komuniści całą swoją propagandę opierają na podkreślaniu negatywnych skutków zmiany pozycji Rosji i nią, m.in., tłumaczą katastrofę ekonomiczną. Powszechnie mówi się ostatnio o „agentach wpływu”, co żywo przypomina teorię „ciosu nożem w plecy”, która zrodziła się po porażce Niemiec w 1918 roku. Jednym z głównych zwolenników teorii „agentów wpływu” jest były przewodniczący KGB Władimir Kriuczkow. Niedawno zwolniony z więzienia (przed procesem, który rozpocznie się 14 kwietnia), bezustannie publikuje artykuły i udziela wywiadów, w których opowiada o amerykańskim planie zniszczenia ZSSR, który został sporządzony ćwierć wieku temu i opierał się na „agentach wpływu”, których hersztem był i jest Aleksander Jakowlew.

W warunkach powszechnego kryzysu, słabej władzy państwowej, braku przekonującego programu demokratycznego, który zastępują apele o szybki marsz do kapitalizmu, narodowy komunizm proponuje spójny program, który zdaje się rozwiązywać wszystkie problemy. Najjaśniejszy i stosunkowo zwięzły wykład poglądów narodowych komunistów znalazłem w artykule nieznanego mi L. Ochotina, zatytułowanym „Katastrofa i odrodzenie”. Autor wylicza błędy „śmiertelne”, to jest te, które doprowadziły do odsunięcia partii od władzy, i sporządza listę „dziesięciu zbawczych poprawek”. Główny błąd partii polegał jego zdaniem na tym, że „nie umiała ideologicznie uzasadnić swojej wewnętrznej przemiany w partię o orientacji narodowej”. I tłumaczy: „W latach 30-tych partia światowej rewolucji przekształciła się w partię wielkiego państwa euroazjatyckiego, ale w doktrynie partyjnej nie znalazło to wyrazu. Innymi słowy, komuniści stali się nacjonalistami, euroazjatami, ale dalej obstawali przy ateizmie, proletariackiej orientacji klasowej, internacjonalizmie”. W ten sposób powstała głęboka sprzeczność między rzeczywistością a hasłami.

Analiza jest całkowicie trafna. Niemało w swoim czasie pisałem o zbieżności między partią komunistyczną i narodowo-socjalistyczną i zawsze podkreślałem, że różnica między nimi polegała właśnie na tym, o czym pisze Ochotin, mianowicie hitlerowcy otwarcie mówili, jakie mają cele i zamiary, a komuniści używali słownictwa zamaskowanego, pełnego przemilczeń i nie-domówień. Na tym też przez długi czas polegała ich siła. Zdaniem Ochotina fałszywe słownictwo unicestwiło partię, która w

rzeczywistości dawno pożegnała się z dogmatami, które przyświecały rewolucji.

Ochotin uważa, że można to bez wielkiego trudu naprawić. Trzeba tylko ujednoczyć słowa i czyny. Nowa partia powinna kontynuować dzieło Stalina, który „umocnił państwo rosyjskie, wyniósł je na wyżyny i przekształcił w ogromne, potężne mocarstwo”. Komuniści powinni przyjąć ideologię narodowo-bolszewicką i stworzyć „euroazjatycką partię o zdecydowanie wschodnim obliczu, która interes narodu stawia nad interes pojedynczego człowieka”. Partia ta odrzuci w diabły demagogiczny „humanizm” i „demokratyzm” i kierować się będzie ku „anagogicznemu totalitaryzmowi”, tzn. społeczeństwu zhierarchizowanemu i scentralizowanemu. Wreszcie do partii komunistycznej powinny przyłączyć się — dobrowolnie, bez przymusu — wszystkie odłamy ruchu patriotycznego — od patriotów-monarchistów do patriotów-demokratów.

Autor w zakończeniu uprzedza wrogów: „Niech prawdziwą groźbą będzie dla nich nasze czerwone znamię. Niech wiedzą, że nadchodzimy, że jesteśmy już blisko”.

Projekty nowej, post-zmodernizowanej partii komunistycznej mogą się wydać dziwne i szokujące. Najważniejszy w nich jest jednak nawrót dawnych idei i projektów. Wszystkie tezy Ochotina wydają się żywcem przejęte (może zresztą są przejęte) z książki S. Dmitriewskiego „Stalin”, która wyszła w 1931 roku w Berlinie. Autor pierwszej politycznej biografii Stalina, sowiecki dyplomata który wybrał wolność, uważał Józefa Wissarionowicza za bohatera rosyjskiej rewolucji narodowej, za wroga rewolucyjnego internacjonalizmu Trockiego. S. Dmitriewskij sześćdziesiąt lat temu pisał, że należy koniecznie stworzyć „narodowo-rewolucyjną partię narodów Rosji”. Nieugięcie wierzył w przyszłość: „Z małej ale zwartej narodowo-rewolucyjnej partii wyrosną żelazne legiony wyzwolicieli... Niech żyje trzecia Rosja — imperium narodowe! Niech żyje potężne i wolne narodowe państwo rosyjskie!”

Nic nowego pod słońcem. Cóż się dziwić, że — jak wieść głosi — hymn nowej, demokratycznej Rosji napisze Siergiej Michalkow. Jest on w każdym razie jednym z trzech współprzewodniczących, którzy rozpatrują ponad cztery tysiące nadesłanych tekstów. Nowina ta ucieszy wszystkich, którzy pamiętają, że Siergiej Michalkow jest autorem pierwszego hymnu sowieckiego, wykonanego po raz pierwszy 1 stycznia 1944 roku. To spod jego pióra spłynęły, między innymi, skrzydlate słowa: „Wychował nas Stalin w wierności narodowi...” i inne, nie mniejszej urody. Nie zarzucilibyśmy mu tego, choćby był najgorszym stalinowskim sługusem — mało to ludziom z pióra spłynęło? Ale kiedy po chruszczowowskim zdemaskowaniu „kul-

tu” potrzebny okazał się nowy hymn, znowu poproszono Michalkowa. I Michalkow napisał. Nie wymagało to wielkiego zachodu: wszędzie, gdzie widniał „Stalin”, trzeba było wpisać „Lenin”. Reszta nie wymagała zmian: „Związek nietykalnych i wolnych republik na wieki splełta Wielka Ruś...” A kiedy znów potrzebna nowego hymnu, Michalkow jak zwykle odpowiada: zawsze gotowy! W rozmowie z amerykańskim dziennikarzem przyznał wprawdzie, że nie bardzo wie, jaką myśl powinien zawierać dzisiejszy hymn, natomiast — podkreślił — wie dokładnie, że przy pisaniu hymnów najważniejsza jest wprawa. Wprawy mu nie brakuje.

10.3.1993

Adam KRUCZEK

WSCHODNIA SZKOŁA LETNIA

SESJA II — 1-21 LIPCA 1993

ZORGANIZOWANA PRZEZ STUDIUM EUROPY
WSCHODNIEJ UNIWERSYTETU WARSZAWSKIEGO

Pod nazwą *Wschodnia Szkoła Letnia* organizowane są coroczne staże naukowe, które mają na celu umożliwienie młodym badaczom, zwłaszcza ze Środkowej i Wschodniej Europy, poznanie stanu nauki, nowych szkół i metod badawczych, systematyzację wiedzy oraz samodzielną pracę w archiwach i bibliotekach polskich.

Szkoła gromadzić będzie co roku ok. 30 słuchaczy pragnących poświęcić się badaniom historii i współczesności Europy Środkowej i Wschodniej (historia, historia sztuki, socjologia, geografia, demografia, etnologia, politologia, ekonomia, sowietologia).

Przeznaczona jest ona w zasadzie dla uczestników z Litwy, Białorusi, Ukrainy, państw bałtyckich, Rosji, krajów Europy Środkowej, a także Zachodniej i Ameryki.

Wykłady autorskie prowadzi zmieniająca się co roku grupa ok. 10 wybitnych specjalistów pochodzących z Polski, Europy Zachodniej i Ameryki.

Na program składają się: seria wykładów oraz prezentacje instytutów, bibliotek, archiwów, a także samodzielną pracę naukowo-badawczą uczestników.

Językami wykładowymi są polski i angielski, a w miarę potrzeb także języki Europy Środkowej i Wschodniej.

W br. z wykładami wystąpią:

Andrzej WALICKI — filozof, profesor Notre Dame University, USA: *Skok do królestwa wolności. Narodziny, rozwój i upadek komunistycznej utopii* (wykład inauguracyjny).

Andrzej PACZKOWSKI — historyk, profesor Polskiej Akademii Nauk, Warszawa: *Stalinizacja Europy Środkowo-Wschodniej. Polska.*

Tadeusz ŚWIĘTOCHOWSKI — orientalista, profesor Monmouth College, USA: *Ruchy narodowe na Zakaukaziu w XX wieku.*

Elżbieta KACZYŃSKA — historyk, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa: *Rosyjskie tajne policje polityczne XIX-XX wieku.*

Tomasz STRZEMBOSZ — historyk, profesor Polskiej Akademii Nauk, Warszawa: *Zagrożenia ekologiczne Europy Środkowo-Wschodniej.*

Joanna RAPACKA — slawistka, profesor Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa: *Narodziny i kres idei jugosłowiańskiej.*

Dušan SIDJANSKI — politolog, profesor Université de Genève, Szwajcaria: *European Community and the Western World in the Face of Yugoslavian Conflict.*

Michael RYWKIN — sowietolog, profesor City College of New York, USA: *Problemy narodowościowe krajów byłego Związku Sowieckiego.*

Marek ŚLIWIŃSKI — politolog, wykładowca Université de Genève, Szwajcaria: *Komunizm — nacjonalizm — postkomunizm.*

Michael RYWKIN — *Dokąd zmierza Rosja?* (wykład zamknięty).

Zgłoszenia należy kierować na ręce sekretarza naukowego Studium, Jana Malickiego, na adres: Studium Europy Wschodniej, Uniwersytet Warszawski, Instytut Orientalistyczny, Krakowskie Przedmieście 26-28, PL 00-927 WARSZAWA 64; Fax: 26 75 20). Termin nadsyłania zgłoszeń — 15 kwietnia 1993 r.

Szkola letnia jest przeznaczona dla absolwentów studiów wyższych o nieprzekroczonym 40 roku życia. Całkowity koszt uczestnictwa wynosi 10,5 mln zł (Dol. US 650) od osoby. Od słuchaczy oczekuje się znajomości języków polskiego i angielskiego, pozwalającej na rozumienie wykładów.

Kronika kulturalna

Powrót do płynności czasu

ROZMOWA Z EWĄ HOFFMAN

TERESA HALIKOWSKA-SMITH: — *Twoja książka Lost in Translation (1-sze amerykańskie wydanie 1989) była niezwykle wnikliwą analizą procesu adaptacji kulturalnej; przedmiotem analizy — Ty sama. Ten niezwykle trudny dla wielu ludzi proces został w Twoim przypadku uwieńczony imponującym sukcesem, wejściem do samego serca establishment'u literackiego Ameryki. Pracowałaś przez dziesięć lat jako redaktor literacki New York Book Review; Twoją książkę przyjęli bardzo życzliwie krytycy po obu stronach Atlantyku. Odbiła się też głośnym echem w Polsce, gdzie ma się wkrótce ukazać jej polski przekład.*

A jednak już w samym tytule książki zasygnalizowana jest pewna dwuznaczność, coś jakby ledwie dostyszalna sugestia, że istnieje też druga strona medalu, że za każdy sukces czymś się płaci. Sukces „przetłumaczenia siebie” może czasem przynieść rozczarowanie: imigrantowi udaje się zdomować w obcej kulturze po to tylko, aby odkryć, że ten wymarzony dom zrobił się, po upływie lat, mniej wygodny i nęcący, niż się kiedyś wydawał. Twoje podróże po krajach Środkowo-Wschodniej Europy, o których będziemy za chwilę rozmawiać, Twój obecny dłuższy pobyt w Londynie: czy to ucieczka od Ameryki?

EWĄ HOFFMAN: — W jakimś sensie tak, przynajmniej na jakiś czas. Społeczeństwo amerykańskie wydaje się przeżywać w obecnej chwili głęboki kryzys. Jest wewnętrznie skłócone. Ameryka jest krajem bardzo ekstremalnym; w tej chwili mówi się tam dużo o tzw. wojnach kulturowych. Chodzi o ostrą polaryzację postaw wokół problemów podstawowych wartości. Zasadniczo sprawa przedstawia się tak: jedna część Ameryki chce

zupelnego wyzwolenia od wszelkich ograniczeń osobistych, druga część z całą siłą opiera się tej tendencji. Takie podziały może istnieją wszędzie, ale w Ameryce postawy ścierają się szczególnie ostro i dochodzi do „wojny kulturowej”, do okropnych gniewów, nienawiści itd. Wahadło kultury w tym kraju zaczyna się kołysać w bardzo skrajny sposób. Trudno w tym wszystkim znaleźć poczucie proporcji, spokoju, zgody.

T. H. S.: — *Gdzie widzisz swoje miejsce w tej wojnie kulturowej?*

E. H.: — Gdzieś pomiędzy, w jakimś nudnym punkcie środkowym, ale tego właśnie w Ameryce brakuje i na tym polega trudność. A w ogóle etyka konfliktu, poczucie, że ludzie identyfikują się przez opozycję przeciwko czemuś, stale wzrasta w Ameryce.

T. H. S.: — *Czy jest to problem specyficznie amerykański? Czy zjawisko to nie przybiera wymiarów globalnych?*

E. H.: — Mnie się zdaje, że w Ameryce jest to szczególnie ostre i odbywa się na poziomie codziennego życia. Inna twarz tego zjawiska to to, że Ameryka jest ciągle krajem rządzonym przez ideologię, no, może nie w sferze wielkiej polityki, ale pewnie właśnie dlatego to zjawisko przenosi się na problemy życia codziennego.

T. H. S.: — *Political correctness na co dzień, można by powiedzieć? Może nie jest przypadkiem, że sam ten termin został ukuty w Ameryce?*

E. H.: — Ano właśnie. Na pewno nie jest przypadkiem. Wtedy wszystko staje się problemem ideologicznym, nawet wyjście do restauracji to problem, bo raptem okazuje się, że ktoś nie je mięsa, a ktoś czegoś innego itd. Wszystko to byłoby zupełnie na miejscu, gdyby sprawa nie przemieniła się od razu w ideologię, o którą musi się walczyć.

T. H. S.: — *Może to jest właśnie cena pluralizmu?*

E. H.: — Już Tocqueville pisał o tym stosunku pomiędzy pluralizmem a konformizmem małych grup, zauważając, że tolerancji szerszej towarzyszy zazwyczaj tendencja do ostrej identyfikacji z mniejszością, do której się należy i że ta przynależność staje się kwestią niemal religijną. Wszystko się wtedy przemienia w ideologię.

T. H. S.: — *To jest zapewne bardzo męczące.*

E. H.: — Tak właśnie. Prowadzi do poczucia przesady, które, owszem, dosyć mnie męczy.

T. H. S.: — *Czy masz wrażenie, że w tradycyjnych społecznościach jest tego mniej?*

E. H.: — Tak, oczywiście. Tam można przyjąć za pewnik, że zgadzamy się przynajmniej w jakichś podstawowych sprawach, choćby w tym, jako przenośnia, ma się rozumieć, że gotujemy jeden obiad dla rodziny. Ma to, jak Polacy dobrze wiedzą, i swoje wady, ale tu nie jest miejsce na ich analizowanie.

T. H. S.: — *Ale czy nie jest niejako implicite zawarte w sytuacji imigranta, że jest stale narażony na podwójność wartości?*

E. H.: — Do pewnego stopnia tak, ale w Ameryce nie ma już takiej dwuwątkowej rzeczywistości, że z jednej strony są imigranci, a z drugiej większość. Doszło do bardziej skrajnej fragmentacji, tak, że nawet gdyby się chciało przystosować do czegoś, to nie ma rzeczywistości ogólnie zaakceptowanej, w której można się zadomowić. Poczucie zadomowienia naprawdę zanika. To ma na pewno jakieś efekty twórcze, bo jest bardzo pobudzające do myślenia czy do pisania, ale nie jest to specjalnie dobra recepta na codzienność.

T. H. S.: — *Porozmawiajmy teraz o Twojej nowej książce, która ma wyjść wiosną tego roku nakładem Heinemann/Viking Penguin (w Stanach). Co jest jej tematem?*

E. H.: — Książka jest owocem podróży przez pięć krajów wschodnioeuropejskich: Polskę, Czechosłowację, Węgry, Rumunię i Bułgarię, tzn. te kraje, które przeszły przez rewolucję 1989 r., jak ją tutaj nazywano. Jest to połączenie książki podróżniczej z analizą i portretami ludzi.

T. H. S.: — *Jakiś nowy gatunek literacki?*

E. H.: — Czy ja wiem... Henry James wyraził się kiedyś, że powieść jest niezwykle pojemną torbą, można w niej wszystko zmieścić. A książka podróżnicza zawsze była formą bardzo mieszaną: workiem, do którego można wrzucić wrażenia, opisy pejzażu, ulubione *bon mots* i myśli, a także spojrzenie na społeczeństwo, na kulturę.

T. H. S.: — *Co Cię skłoniło do takiego tematu?*

E. H.: — Pracowałam nad powieścią, kiedy „zdarzył się” rok 1989, który oczywiście wszystkich ogromnie zaskoczył i podekscytował. Czuło się, że jest to historyczny przełom; chciałam go zobaczyć, zdawało mi się, że jest to mój kawałek historii. Chciałam go złapać na gorąco, zobaczyć z bliska, zrozumieć.

T. H. S.: — *Jaki aspekt tego wszystkiego interesował Cię najbardziej? Zmiany w strukturach społeczno-politycznych, czy zmiany sposobu myślenia, mentalności ludzkiej?*

E. H.: — Splot polityki ze zmianami w ludzkiej psychice. Dokładnie to.

T. H. S.: — *Jaką metodę wybrałaś, bo przecież temat to tak ogromny, że prawie nie do ogarnięcia.*

E. H.: — Słusznie. Ledwie wylądowałam w Polsce, poczułam się przerażona. Główną metodą były rozmowy z ludźmi, rozmowy czasem przypadkowe, a czasem wybrane. Ważną częścią tej książki są portrety ludzi, przez które chciałam pokazać historię powojenną tych krajów, portrety ludzi zaangażowanych. Historia Wschodniej Europy w tym okresie była szalenie zwarta i miała silny wpływ na życie każdego człowieka. Praktycznie nie istniał tam przedział pomiędzy sferą życia osobistego a życiem politycznym. W rezultacie życiorysy mogą dużo powiedzieć nie tylko o dramatach ludzkich, ale i o szerszych problemach.

T. H. S.: — *A zatem: w kontekście polskim, kogo będziesz portretowała?*

E. H.: — Niech jeszcze dodam, że jednym z głównych wątków w mojej książce będzie temat ojców i synów. Nietrudno zauważyć, jak wysoki procent dysydentów było dziećmi wcześniejszych komunistów. To zdało mi się metodą na pokazanie tej dialektyki różnych postaw politycznych. Na przykład: przeprowadziłam długą rozmowę z Heleną Łuczywo i z jej Ojcem, który był zaangażowanym komunistą, a właściwie jest do dzisiaj. Inny portret w mojej książce to portret Anny Branickiej-Wolskiej, bo wydaje mi się, że polska arystokracja jest zjawiskiem bardzo specjalnym i to też ciekawy kawałek historii. Rozmawiałam też dużo z Kostkiem Gebertem, lepiej znanym pod nazwiskiem Dawid Warszawski, na tematy żydowsko-polskie. A poza tym miałam czarującą przewodniczkę po kraju i po najróżniejszych te-

matach, problemach i plotkach w osobie Agnieszki Osieckiej. Więc moja książka jest wielowątkowa.

T. H. S.: — *Taka jest też rzeczywistość.*

E. H.: — O to mi właśnie chodziło — o zderzenie się jednej osoby z tą rzeczywistością. Nie jest to książka z tezą, bo sytuacja jest tak nowa i skomplikowana, że jest za wcześnie na podsumowanie.

T. H. S.: — *Z jakiej perspektywy patrzyłaś na tych ludzi i ich problemy? Amerykańskiej? Wschodnioeuropejskiej? Czy można było, nie dzieląc ich przeszłości, wczuć się w ich dzisiejsze problemy, które są w dużej mierze spadkiem po tej właśnie historycznej przeszłości?*

E. H.: — Myślę, że ludzie rozumieją, iż jest to książka napisana z pozycji „z zewnątrz”, ale jednak nie na 100%, bo przecież tam wyrosłam. Zdaje mi się, że jeśli się doświadczyło początków, to lepiej rozumie się dalszy ciąg. Więc mam nadzieję, że mam trochę więcej zrozumienia dla problemów, z którymi ludzie się borykali, ich sytuacji i nawet mentalności, która wyszła ze zderzenia starszych kultur z komunizmem. Z drugiej jednak strony czasem żałowałam, że nie mam pełnej niewinności; byłoby mi łatwiej napisać taką książkę zaczynając tylko od ciekawości.

T. H. S.: — *Czy można z tego wnioskować, że było Ci łatwiej pisać np. o Rumunii?*

E. H.: — O, bez wątplenia... Pobyt tam był, powiedzmy, dosyć trudny, ale pisać było o wiele łatwiej. Zdaje mi się, że proporcja pomiędzy doświadczeniem a pisaniem często jest odwrócona.

T. H. S.: — *Co znaczy intrygujący tytuł, jaki nadałaś swojej najnowszej książce: „Exit into History”? Odczytuję go jako podjęcie polemiki z głośną tezą Fukujamy, że nastąpił koniec historii. Czy słusznie?*

E. H.: — Moja książka nie jest książką polemiczną, ale oczywiście zdawałam sobie sprawę, że będą echa tego tytułu. Centralna teza Fukujamy, że jesteśmy u końca historycznego konfliktu, zawsze mi się zdawała absurdalna. Chodziło o to, że to, co obserwujemy w tej chwili w krajach post-komunistycznych, to jak-

by powrót do płynności czasu. Komunizm miał efekt mroźnika; był to okres względnie statyczny i zahamował różne prądy historyczne, zanim miały szansę w pełni się zrealizować. Teraz obserwujemy powrót do „normalnych” konfliktów, które powracają do punktu, w którym zastygły, choć mam nadzieję, że nastąpi to w słabszej wersji. (Sytuacja w eks-Jugosławii, oczywiście, z miejsca mi zaprzecza). Poza tym tytuł mojej książki jest echem używanego czasem w Ameryce wyrażenia *exit from communism*. No, i chciałam tu podkreślić, że rok 1989 był dramatycznym wyjściem z całego okresu historycznego i że przez chwilę wydawało się, że to „wyjście” będzie rozwiązaniem, zakończeniem wszelkich konfliktów i trudności. Ale, oczywiście, tak nigdy się nie dzieje — zawsze wychodzimy z jednej epoki w następną trudności i problemy — po prostu, w dalszy ciąg historii.

Rozmawiała Teresa HALIKOWSKA-SMITH

Malarstwo Myrosława Jahody

Galeria teatru N.N. w Lublinie pokazała w grudniu 1991 i na początku stycznia 1992 r. obrazy i rysunki lwowskiego artysty Myrosława Jahody. Była to jego pierwsza wystawa. Miał wziąć udział we wcześniejszej warszawskiej wystawie *Jesteśmy*, ale nie zdecydował się na to ze względu na automatyczne przyporządkowanie do grona artystów polskich poza granicami kraju. Nie czuł się na tyle jednoznacznie z Polską związany.

Mimo wcześniejszych zapowiedzi autor nie przybył na lubelski wernisaż. Jedyną nieplastyczną formą jego obecności był krótki fragment prozy umieszczony pod dwustronnie malarzowym *Autoportretem — Pieśń palety*. Wystawie towarzyszył skromny, choć bardzo starannie wydany katalog (doskonałe produkcje).

Malarstwo Jahody na pierwszy rzut oka można określić jako nierealistyczne, przedstawiające (tzn. operujące postacią ludzką) i bliskie ekspresjonizmowi. Pędzel prowadzi szeroko, często dla wzmocnienia akcentu kolorystycznego wykorzystuje gęstość farby. Ostrość kolorów, jaskrawość zawsze sztucznego światła oraz specyficzny sposób eksponowania ludzkich postaci i najważniejszych przedmiotów (od dołu, z żabiej perspektywy, tak

jakby wychodziły ku widzowi przez pochylenie ku dolnej krawędzi obrazu) kojarzy się z ekspresjonizmem Muncha. To jednak tylko pierwsze wrażenie. Przy bliższym spojrzeniu obrazy zaskakują precyzją wykończenia detali, porządkiem pozornie bezładnie rozmieszczonych elementów. Tematy (dotyczy to w równym stopniu obrazów olejnych, pastelów i rysunków) wciąż obracają się wokół wątków egzystencjalnych i spraw ostatecznych. Dzieje się tak nawet wtedy, gdy przedstawione postacie zajmują się czynnościami zwykłymi — np. grają w bilard jak w *Kulach bilardowych*. W jaskrawym świetle żarówki, na ostrej zieleni stołu, toczą się kule o ludzkich twarzach. We wnętrzu baru pełnego szkła toczy się gra z losem. Czasem najważniejsze stają się symbole religijne, czasem przypadłości opanowanego przez „strach i imaginację” ludzkiego umysłu, który dostrzega wokół jedynie śmierć (*Szpital obłąkanych*, *Agonia*). Nie jest to tylko fizyczne zagrożenie ciała — raczej dezintegracja podstawowych wartości: drogowskazów religijnych, ludzkiej wspólnoty (*Miasto*), poczucia godności i odpowiedzialności za słowo (*Słowo*). Świat tych obrazów rządzi się swoimi prawami czasu i przestrzeni. Wszystko rozgrywa się jakby w zawieszeniu, między nieznanym początkiem i niewiadomym końcem. Jeśli jest jakaś droga, to wyłania się z czarnej nicości kartonu i zanika równie tajemniczo (*Ci co chodzą po ostrzu ognia*, *Po rzece czasu*). Nawet kres życia — *Agonia* — to osobliwe „między” dwiema niewiadomymi: życiem, którego nie da się opisać w formie cielesnej i śmiercią, dla której nie wystarcza przedstawienie ulatującej ku górze duszyczki.

Podobne metaforyczne interpretacje opieram na odautor-skich tytułach, wyraźnie ukierunkowujących odbiór. Zarówno wykorzystywane przez artystę znaki ikoniczne, jak i ich słowne uzupełnienia, nieodparcie przywołują związki rozmaitych toposów europejskiej kultury (ogród, droga, labirynt, krzyż, dom, pejzaż idealny z dwoma łabędziami itd.). Różne symbole i znaki mieszają się ze sobą na równych prawach bez jakiegokolwiek dominacji. Aluzje literackie idą tu w parze z aluzjami ikonograficznymi. Sztuka ta wymaga od widza oprócz wrażliwości również wysiłku intelektualnego, pewnej specyficznej formy zaangażowania.

W rozmowie Jahoda wyraźnie podkreślał (mówił o tym kilkakrotnie), że celem życia człowieka jest dostąpienie krótkich chwil „jasności”, zrozumienia ładu wszechrzeczy i własnego w nim miejsca. Mogą do tego dojść tylko ci, którzy przejdą odpowiednią drogę ćwiczeń i kontemplacji. Warunkiem podstawowym jest skupienie się na tym poszukiwaniu, czyli absolutna samotność. Wszelkie formy „prawdziwej twórczości” są jedynie cieniem takich chwil, sztuka jest czymś dodatkowym, a nie celem samym w sobie. Dlatego nigdy nie zajmuje go dłużej cyze-

lowanie formy. Wyraźnie widać to w rysunkach — są wśród nich takie, jakby autor nie umiał trzymać piórka czy pędzelka, a są i takie, które zaskakują portretową wiernością uzyskaną przez krótką nerwową kreskę czy ruch czarno-białej plamy, interesująco przekształcającej znane formy anioła i krzyża (*Niebieski woźnica*). Ogromna większość rysunków Jahody to samodzielne całości narracyjne, niewiele jest szkiców powtarzanych później w formach olejnych czy ćwiczeń ruchu, detalu. Z natury rzeczy ten sposób artystycznej wypowiedzi jest mu bliski, bo powstaje stosunkowo szybko, jest najprostszą (i — co także tu ważne — niedrogą) formą wypowiedzi.

Jedną z konsekwencji programowej rezygnacji z jakiegokolwiek uczestnictwa w oficjalnym świecie kultury była (i jest) życiowa i artystyczna sytuacja Jahody we Lwowie. Malarz deklaruje zupełną obojętność na wszystko, co dzieje się poza jego „norą” — pracownią oświetloną jedną żarówką. Nie domaga się żadnych zmian materialnych, nie chce niczego oglądać (co było bardzo wyraźne w czasie pobytu w Polsce). Jest z obecnego stanu rzeczy zadowolony, uważa, że jego ubóstwo, choroby i niełatwe losy artystyczne mają swój sens. Fakt, że jego sztuka, przesiąknięta na wskroś tematem śmierci ludzi i wiary w Boga, wywołuje reakcje dalekie od optymizmu, nie znaczy, że są to wizje jego wewnętrznych „strachów”. Jak sam mówi: „to jest odpowiedź, a nie dowód słabości”. Nie czuje się człowiekiem nieszczęśliwym, odepchniętym i niezrozumianym, bo na powszechnej aprobacie zupełnie mu nie zależy. Nie jest „życiowym nieudacznikiem”, jak — jego zdaniem — przedstawił go artykuł w *Gazecie Wyborczej*.

Niewiele można się było od Jahody dowiedzieć na temat jego drogi do malarstwa. Dziad i ojciec także byli malarzami, ale „przepili swój talent”. On sam wielokrotnie był zatrzymywany przez policję, ponieważ nie miał świadectwa ukończenia jakiegokolwiek szkoły artystycznej, a więc nie miał prawa być malarzem. Ostatecznie skończył jakiś wieczorowy instytut kształcenia plastycznego, ale nie chciał powiedzieć, na czym konkretnie polegała ta nauka. Na życie zarabiał malując jarmarczne „święte obrazki”. Teraz już tego nie robi, od czasu do czasu sprzedaje jakiś rysunek lub obraz, ale tylko w razie „wielkiej potrzeby”. Pytania o innych artystów, dawnych lub współczesnych, o to co widział, jaką sztukę ceni, na ile świadomie „rozmawia” z tradycją zbywał milczeniem lub ostro protestował, wyraźnie traktując takie dociekania jako zarzut zapożyczeń. Najwięcej zdaje się mówić o sobie we wspomnianym już *Autoportrecie*. Sam fakt dwustronności oblicza jest znaczący i nie można go przypisać jedynie oszczędności płótna. W obu wizerunkach mamy do czynienia z frontalnym ujęciem, oba popiersia

są gesto malowane z wyraźnym zaznaczeniem sfery jasności i cienia na twarzy. W pierwszym autoportrecie ubogą ziemską codzienność reprezentują butelka po alkoholu, zimne światło żarówki bez klosza i jarmarczny wiatraczek. W tym otoczeniu roślinie wewnętrzne bogactwo artysty symbolizowane przez kwiat zakwitły w jego piersi, na który wskazuje obiema rękami. Wyraźna jest różnica w sposobie malowania i dominacji kolorystycznej tła i postaci. W ciemnej „norze” swojej pracowni artysta zdaje się świecić własnym wewnętrznym światłem. Faktura zagęszcza się ku geometrycznemu środkowi obrazu, czyli ku figurze okręgu, kwadratu i jego kwiatowego centrum. Blask tego symbolicznego wnętrza przechodzi tym samym tonem żółci na prawą, oświetloną stronę twarzy modela.

Malarstwo Jahody, mimo kontrowersyjnych ocen, jest niewątpliwie godne uwagi i szerszego omówienia. Nie sposób jednak tego zrobić, nawet pobieżnie, na podstawie jednej wystawy prezentującej płótna i rysunki z lat 1990-91, bez jakiegokolwiek możliwości obejrzenia prac wcześniejszych. Drogi rozwoju jego malarstwa byłyby zapewne interesujące, podobnie jak artystyczny kontekst, w którym ona powstaje. Współczesna sztuka ukraińska to dla nas *terra incognita*, mimo że to tak niedaleko.

Casus Myrośława Jahody świadczy o tym, że nie miał racji Stanisław Rodziński broniąc przed zarzutami nieudolności zaprezentowanych na wystawie *Jesteśmy* obrazów Polaków z dawnego Związku Sowieckiego. Jak pisał w *Tygodniku Powszechnym*, należy brać także pod uwagę ich skromne możliwości techniczne i ograniczony kontakt ze sztuką współczesną. Nie może to jednak, moim zdaniem, zdominować indywidualnej oceny prac. Droga Jahody także nie była usłana różami, doświadczył wszelkich ciosów i ograniczeń systemu, łącznie z więzieniem, brakiem farb, kartonu itd. A przecież przy pomocy środków tak prostych jak kredka, ołówek lub tusz i papier potrafił stworzyć własny świat, który może się nie podobać, jest nierówny artystycznie, ale trudno posądzić autora o wtórność artystycznych pomysłów lub nieudolność formy.

Dorota KUDELSKA

NOTA BIOGRAFICZNA

Myrośław Jahoda mieszka i tworzy we Lwowie. Ukończył Państwowy Instytut Poligrafii, Wydział Grafiki. Zajmuje się malarstwem, grafiką, sztuką *performance*.

Jest również pisarzem i poetą. W 1991 roku publikował wiersze w czasopismach *Awżez* (nr 6) i *Pjata Kolona* (nr 3). Obecnie

na Węgrzech trwają przygotowania do wystawienia jednego z jego dramatów.

Wystawa w Galerii „N.N.” była pierwszą indywidualną wystawą artysty. W warszawskiej Galerii Krytyków „Pokaz” odbył się 9.01.1992 wernisaż drugiej wystawy indywidualnej M. Jahody. Ostatnio twórczością Myrosława Jahody zainteresowali się Ukraińcy z Belgii i Kanady. Galeria „N.N.” planuje obecnie trzecią z kolei wystawę prac malarza.

KOMUNIKAT

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

potwierdza otrzymanie kolejnych darów na rzecz bibliotek, przekazanych w lutym 1993 r. Dziękujemy:

- Oficynie Wydawniczej PoMOST za 60 egz. książek/pism,
- Wydawnictwu AKAPIT za 636 egz. książek,
- Wydawnictwu RES PUBLICA za 10.922 egz. książek,
- Wydawnictwu INTERART za 7.088 egz. książek,
- Wydawnictwu WIĘŻ za 3.579 egz. książek.

Dla tych, którzy zechcą wesprzeć finansowo idee Fundacji, podajemy numer naszego konta: Fundacja Pomocy Bibliotekom Polskim, PBK III Oddział w Warszawie, nr konta 370015-975148-132-3.

Nasz adres:

FUNDACJA POMOCY BIBLIOTEKOM POLSKIM

ul. Hoża 29/31, 00-524 WARSZAWA

tel./fax 628-42-57, tel. 21-70-75.

LIBELLA

12, Rue Saint-Louis-en-l'Île, 75004 Paris, France.
Métro: Pont Marie. Telephone: 43-26-51-09.

KSIĄŻKI POLSKIE □ KSIĄŻKI FRANCUSKIE
DOTYCZĄCE POLSKI I EUROPY WSCHODNIEJ □
PRZEKŁADY Z JĘZYKA POLSKIEGO NA FRANCUSKI.
KATALOGI BEZPŁATNE WYSYŁAMY NA KAŻDE ŻĄDANIE.
KSIĄŻKI WYSYŁAMY NA CAŁY ŚWIAT.
WSPÓŁCZESNE MALARSTWO POLSKIE I OBCE W SĄSIEDNIEJ

GALERIE LAMBERT

Zapraszamy wszystkich przejeżdżających przez Paryż, by odwiedzili najpiękniejszą polską księgarnię i polską galerię na historycznej Wyspie Świętego Ludwika.

O Józefie Czapskim

Trzy „podróże” Józefa Czapskiego do Polski

Un art vaut mieux qu'une patrie — zanotował bez komentarza w marcu 1919 roku Henryk Elzenberg. Mieć sztukę własną i dla niej pokorę, i ojczyznę, nawet odległą, niewolną — ojczyznę, w której żyło się wszystkiego kilka szczęśliwych lat... — „Czym jest dla Pana Polska?” — pytają autorzy filmu nakręconego przez VideoKONTAKT. — „Polska jest dla mnie wszystkim...” — odpowiada Czapski. — „Zawsze wiedziałem, że o co mi chodzi bez porównania najwięcej, to pokazać w Polsce, co dziś robię — doda później. — Bo *exil* to nie tylko nieobecność w kraju, ale nieobecność wśród żywych”.

Podróż pierwsza

Dla większości czytelników jego książek w Polsce Józef Czapski był przede wszystkim autorem najbardziej wstrząsających wspomnień o „nie ludzkiej ziemi”, świadkiem historii oficjalnie zakazanej. Znane były również, choć w węższym, elitarnym kręgu, jego drukowane głównie na łamach paryskiej *Kultury* szkice i eseje o sztuce. Lecz malarstwo, hermetyczne i przekorne wobec zmieniających się prądów i mód, docierało do kraju wolniej. Na przekór wszystkiemu właśnie sztuka była pretekstem dla pierwszej powojennej pielgrzymki Józefa Czapskiego do Polski, która zdarzyła się w krótkim okresie „popaździernikowej odwilży”. Dzięki staraniom Muzeum Narodowego w Poznaniu, przez kilka letnich tygodni 1957 roku, było tam eksponowanych 25 obrazów olejnych oraz 23

rysunki i akwarele wykonane już na obczyźnie w Maisons-Laffitte. Wystawa pokazywana była również w Krakowie, w dwóch salkach Domu Plastyka przy ulicy Łobzowskiej i... wróciła do Paryża, pomimo kilkunastu rzeczowych, często bardzo pochlebnych artykułów w prasie. Jak wiele Czapski obiecywał sobie po tej niewielkiej wystawie, pierwszej niemal po dwudziestu latach nieobecności „wśród żywych”, świadczy choćby wstęp jaki napisał do wydanego wtedy w Poznaniu katalogu oraz wypowiedzi bliskich mu osób. Pasjonowało go obserwowanie zmian zachodzących we wschodnioeuropejskim malarstwie po odrzuceniu socrealizmu, zwłaszcza gdy nabierający świeżego oddechu artyści powoływali się w swej pracy na dokonania „Klubu Paryskiego”. „Gdybym żył w Polsce, na pewno broniłbym abstrakcjonizmu razem z Woźniakowskim” — pisał w tym czasie, chociaż na widok obrazów abstrakcyjnych „wył z nudy”. Wystawa miała być zadośćuczynieniem za doświadczenia wojny i niemożność malowania, za lata wątplenia w sens sztuki, ze egzystencją w oddaleniu od kraju... Była jak się zdaje niespełnieniem.

„Podróż” roku 1957 miała również swój smutny epilog w sali Sądu Wojewódzkiego w Warszawie, w maju roku następnego, gdzie nazwisko Józefa Czapskiego mało kto kojarzył ze skromnymi pejzażami i martwymi naturami z poznańskiej wystawy. *Kultura* paryska, dostępna oficjalnie w Polsce przez kilka miesięcy, trafiła w międzyczasie ponownie na indeks, a „kontakty” z emigracją zyskały miano zdrady ojczyzny.

W mieszkaniu Hanny Rewskiej, skazanej za współpracę z Instytutem Literackim — za to, że „sporządzała i kolportowała odpisy maszynowe” ciekawych artykułów Mieroszewskiego, Czapskiego, Horzelskiego i innych a także rozpowszechniała książki, „o których świadczą już same tytuły np.: «W imieniu Kremla», «Na nieludzkiej ziemi»” — znaleziono podczas rewizji maszynopis tekstu Józefa Czapskiego *Enfin, la verité sur Katyn*. Tekstu, który — jak zaznaczono w dokumentach procesu — „usiłuje ujawnić prawdę o Katyniu. Ponieważ decyzja władz o zakazie debitu objęła wszystkie wydawnictwa Instytutu Literackiego, tym samym cała powojenna twórczość Józefa Czapskiego obłożona została anatema.

Po oficjalnie zakazane książki z charakterystyczną jońską kolumną na okładce, przekazywane z rąk do rąk, niczym skarby domowych bibliotek, często zaczytane i zniszczone, sięgało się z oporem. Głód wiedzy łagodził strach przed wiadomym, ale informacje, które niosła lektura, z trudem

prostowały pamięć. „Byłam porażona i osłupiała” — wspomina Anka Kowalska o lekturze „Na nieludzkiej ziemi”. W wewnętrznych zarządzeniach urzędów cenzury zaznaczano przy nazwiskach pisarzy i publicystów związanych z wychodźstwem politycznym — w tym również przy nazwisku Józefa Czapskiego, że „nie należy dopuszczać do przeceniania twórczości w/wym. osób bądź przedstawiania ich w zbyt pochlebnym świetle [...] Należy eliminować ich nazwiska oraz tytuły utworów z prasy codziennej, radio i TV, z wyjątkiem informacji krytycznych”. Nie trzeba dodawać, że nakazy były respektowane ze zrozumieniem, choć bez żelaznej konsekwencji, tak charakterystycznej pod koniec lat siedemdziesiątych. W 1974 roku nie dopuszczono do publikacji w *Tygodniku Powszechnym* informacji o wystawie prac malarskich Józefa Czapskiego w paryskiej „Galerie Lambert” oraz recenzji wydanego w Szwajcarii albumu prac malarza, a kilka miesięcy później notatka o książce ukazała się w *Twórczości*. A jednak nazwisko Czapskiego zniknęło nawet z pism poświęconych sztuce, bowiem, w sytuacji gdy obowiązującą w kraju wykładnią wiedzy o „zbrodni katyńskiej” był raport Komisji Specjalnej ze stycznia 1944 roku oraz informacje zawarte w Bolszoi Soviet-skoj Encykłopedji, żadna informacja, nawet krytyczna, dotycząca wspomnień Czapskiego nie mogła ukazać się w śród-kach masowego przekazu.

Podróż druga

W drugiej połowie lat siedemdziesiątych rozwinął się w Polsce, przyjmując niespotykane nigdzie indziej rozmiary, niezależny od państwowego monopolu informacji, obieg wydawniczy i czytelniczy. Kilka lat wcześniej, przy okazji rocznicy 25-lecia *Kultury*, Józef Czapski napisał (tekst ten przedrukowała w 1979 roku NOWa w wyborze artykułów paryskiego miesięcznika): „Ktoś powiedział, że nie ma w Polsce potrzeby Samizdatu skoro istnieje *Kultura* i jej biblioteka. Stanowisko to uważamy za błędne. Ideą *Kultury* byłoby stać się zapleczem polskiego Samizdatu w Kraju”. Niezwykła antycypacja Czapskiego sprawdziła się również w odniesieniu do jego własnych, zakazanych w Polsce książek. W styczniu 1979 roku ukazały się nakładem Niezależnej Oficyny Wydawniczej NOWa „Wspomnienia starobielskie”. We wstępie do krajowej edycji Czapski napisał: „Od chwili, gdy te wspomnienia trzydzieści pięć lat temu pisałem, nie dały mi

one tego wzruszenia co dzisiaj, kiedy dotarła do mnie wiadomość, że może w Polsce będą się mogły ukazać. Przecież pisałem je w pierwszym rządzie dla Polski, dla rodzin moich towarzyszy, które znałem z opowiadań na narach naszego obozu”. Wkrótce potem Wiktor Kulerski dopisał swoisty aneks do „Wspomnień” — opublikowany pierwotnie w kraju, jako 37 zeszyt PPN, a później również w Bibliotece *Kultury*, pt. „Starobielsk czy Dergacze?” — uzupełniając ówczesną wiedzę o losach jeńców obozu w Starobielsku, których na polecenie gen. Andersa przez wiele miesięcy poszukiwał Józef Czapski. Tekst ten, przysłany do Paryża, zrobił na Czapskim „niesamowite wrażenie”.

Dopiero jednak wydarzenia sierpnia 1980 roku sprawiły, że nazwisko autora „Wspomnień starobielskich” stało się znane szerokim kręgom opinii publicznej. Oficjalne artykuły w *Tygodniku Powszechnym* oraz liczne teksty o Czapskim w prasie wydawanej przez „Solidarność”, wreszcie kilka pół-oficjalnych wtedy, choć wciąż nielegalnie drukowanych, wydań jego wspomnień sprawiło, że władze zgodziły się na edycję wyboru esejów o sztuce z paryskiego tomu „Okno”.

Na wydarzenia w Polsce Czapski reagował emocjonalnie. Skazany na współuczestnictwo w niemal wszystkich najważniejszych momentach historii Polski XX wieku, mógł teraz jedynie obserwować z „bocianiego gniazda” Maisons-Laffitte, jak rośnie odwaga i, na przekór Norwidowi, tworzy się społeczeństwo.

— „Co myśli Pan o tym co dzieje się w Polsce?”

— Jest to wydarzenie wielkiej doniosłości, nie tylko polskie, ale światowe... Nasz kraj, zakneblowany, karmiony oficjalnymi kłamstwami nagle się podźwignął. [...] Cały lud dał poruszający dowód odwagi i zmysłu rzeczywistości. [...] wszyscy żyjemy miotani między najwyższym niepokojem a najwyższą radością”. 13. XII. 1981 roku przekreślił nie tylko jego marzenia; opóźnił nie tylko oficjalne wydanie jego książki, ale przerwał przygotowania do dużej retrospektywnej wystawy malarskiej w Krakowie. *Exil* stał się nagle udziałem wnuków pokolenia przyjaciół Czapskiego z młodości, o wiele bardziej zachłannych, lecz zdolnych do mniejszych wyrzeczeń. Nikt już nie mówił *la Pologne n'intéresse personne*, nikt nie zmuszał do powrotu. W Paryżu był wreszcie Instytut Literacki, z którym Czapski współpracował od samego początku, stanowiąc pomoc i podporę dla nowej emigracji.

W grudniu 1982 roku odbyła się w Bibliotece Polskiej w Paryżu na wyspie Św. Ludwika sesja poświęcona „Solidar-

ności”. W gronie zaproszonych gości znalazł się również Józef Czapski, którego dwumetrowa postać wyróżniała się wśród wielojęzycznego tłumy. Siedział w pierwszym rządzie, z grubymi szklami na oczach, i szkicował twarze opowiadających o *la vie quotidienne* stanu wojennego. Później, na podstawie fotografii zrobionej nielegalnie i przemyconej z obozu internowania w kraju, namalował obraz, pokazywany w lipcu 1990 roku na wystawie w Musée Jenisch w Vevey pod Lozanną pt. „Białoleka 1982”. Obraz przedstawia „spacer” Rulewskiego, Kuronia, Onyszkiewicza, Dymarskiego i Wujca. Czapski miał powiedzieć kiedyś: „Bardzo poważam tych ludzi. Żałuję, że nie byłem z nimi”. Internowany w obozie, najpewniej uczyłby współtowarzyszy celi malarstwa lub jak w Griażowcu, prowadził lekcje konwersacji francuskiej opowiadając o Prouście. A może zapełniałby notatniki szkicami podobnymi do rysunków Andrzeja Trzaski ze Strzebielinka, które zdają się być efektem tego samego imperatywu, który kazał Czapskiemu notować twarze współwięźniów Starobielska.

Zbigniew Herbert napisał w początkach 1982 roku wiersz zatytułowany: „17. IX”, który później znalazł się w zbiorze „Raport z oblężonego miasta i inne wiersze”. Wiersz zadedykował Józefowi Czapskiemu, zapewne w przeświadczeniu, że jeżeli coś się zdarzy — iluż myślało wtedy o najgorszym? — konieczny będzie ktoś taki jak rotmistrz Józef Czapski, jeżdżący po Sowietach w poszukiwaniu zaginionych więźniów z obozów dla internowanych.

Stan wojenny nie przerwał „pielgrzymki” Czapskiego po Polsce; w latach 1982-1987 ukazało się poza obiegiem cenzury siedem wydań „Na nieludzkiej ziemi” oraz przynajmniej cztery „Wspomnień starobielskich”. Nakłady niektórych edycji osiągały nawet liczbę kilku tysięcy egzemplarzy, lecz żadne wydawnictwo podziemne nie było w stanie zaspokoić potrzeb czytelników, którzy w latach 80-tych coraz częściej decydowali o profilu wydawniczym niezależnych oficyn zmuszając do wznowień. Ogromne znaczenie miało łączne wydanie obu wspomnień, dokonane przez paryskie wydawnictwo Spotkania w 1984 roku. Teksty Czapskiego trafiały do czytelników w kraju w formie bezpośrednich przedruków z wydań emigracyjnych; czytano również podziemne reedycje *Kultury*, *Zeszytów Historycznych* oraz *Zeszytów Literackich*, w których — coraz mniejsze i rzadsze — pojawiały się artykuły Czapskiego oraz, wybierane z pełną świadomością ich wartości, fragmenty stron wyrwanych z dziennika. Do Polski docierały także minia-

turowe wydania paryskiej *Kultury*, a także wydany w miniaturowej (przez Spotkania) tom „Na nieludzkiej ziemi”. Czy Czapski zdawał sobie sprawę z tego, jak wiele osób czyta jego książki, czy miał świadomość, jak liczne są przedruki obu jego prac w obiegu niezależnym? Tylko nieliczne podziemne oficyny posyłały egzemplarze wydanych przez siebie książek do Paryża. Napisał w 1984 roku: „nie potrafiłbym wyrazić wdzięczności dla tych, którzy z narażeniem największym zdecydowali się te książki wydać. Fakt, że po latach są jeszcze ludzie, którzy chcą je czytać, jest dla mnie największą nagrodą, o jakiej nie marzyłem”.

Niewiele napisano ważnych i interesujących artykułów o Czapskim w podziemnych pismach i biuletynach. Godne zanotowania są na pewno teksty: Floriana Hryniewieckiego „Na nieludzkiej ziemi” z 8 numeru *Kultury Niezależnej* oraz drukowany w *Szkicach* nr 4, 1986 artykuł „Znane nazwisko, niewidzialne obrazy”, podpisany „a.b.”. Ale bodaj najważniejszym tekstem, jaki powstał w podziemiu, był napisany przez Adama Michnika szkic „Czytając”, drukowany w 13 numerze paryskich *Zeszytów Literackich*. Pretekstem do jego napisania był list Czapskiego oraz wydany oficjalnie w 1983 roku tom szkiców o sztuce i filozofii. Dla Michnika, czekającego w mokotowskim więzieniu na wyrok, eseje Czapskiego o sztuce i pożytkach płynących z jej surowego postrzegania oraz słowa listu były — o ile tekst jest szczery — pomocą w przezwyciężeniu pokusy łatwej rozpacz. W lekturze szukał „ocalenia i osłony przed brudną falą przemocy i kłamstwa, które wypełniało salę sądową”. A jednak przesłanie Czapskiego „zdolność przebaczenia jest kryterium siły”, Michnik zrozumiał opacznie, chociaż zaznaczył, że „przebaczać mogą tylko wtedy, gdy prawdziwie nazwę winnych. Inaczej będzie to akt tchórzostwa”. Czapski lubił i podziwiał Rosjan, przyjaźnił się z wieloma z nich, fascynowała go rosyjska literatura i ciepły blask ikon... ale czy zdecydowałby się na wspólną z Mołotowem czy Berią podróż po Europie i promocję oficjalnego sowieckiego komunikatu o zbrodni katyńskiej?

Podróż trzecia

Nie udało się zorganizować wystawy Czapskiego przed wprowadzeniem stanu wojennego, rozmowy z Muzeum Narodowym w Krakowie przeciągnęły się poza 13 grudnia. Świadomość wieku, pogodzenie się (czy na pewno?) z nazbyt póź-

ną starością, po której spodziewał się, że przyniesie mu zrozumienie własnej sztuki, kazały mu wtedy wyznaczyć: „Sądzę, że za mojego życia do tego już nie dojdzie [...] to właśnie jest dla mnie największym brakiem”. Nie przygotowano również żadnej podziemnej wystawy prac Józefa Czapskiego, chociaż już od połowy 1983 roku, początkowo w mieszkaniach prywatnych — gdzie jedynym ograniczeniem była powierzchnia ścian — a rok później również w kościołach, wystawy niezależnej sztuki odbywały się dość regularnie. Przeszkodą nie była tym razem niecenzuralność nazwiska — w 1984 roku ukazał się oficjalny wybór szkiców „Patrzac” — lecz trudność zebrania nielicznych rozproszonych w kraju płócien i rysunków. Co prawda w środkach masowego przekazu jego książki były nadal „wyraźnie antykomunistyczne” lecz posuwająca się atrofia systemu łagodziła ostrość cenzury. Oficjalnie Józef Czapski istniał jedynie jako malarz mieszkający na stałe we Francji, autor „niewidzialnych obrazów”. I nie było w tym nic szczególnego, wszakże Czapski sam sobie uważał przede wszystkim za malarza, bardzo „nieudolnego” malarza. Trzeba jednak było wielu starań i zabiegów by, po niemal trzydziestu latach nieobecności, doszła do skutku wystawa obrazów i rysunków w maju 1986 roku; 42 płótna i ponad 100 rysunków. Ekspozycja zbiegła się w czasie z pojawieniem się w niezależnym obiegu, przygotowanego przez Joannę Pollakównę wyboru „Dzienników, wspomnień i relacji” Czapskiego, będących wartościowym uzupełnieniem wiedzy o życiu i poglądach estetycznych malarza. „Świadomość, że moje obrazy wiszą w Warszawie [...] dała mi przeżycie silniejsze niż oczekiwałem — napisał o warszawskiej wystawie. — Ten fakt, że mnie czytają, że malarze się mną interesują, że robią moje wystawy [...] że naprawdę mnie lubią, jest największą nagrodą”.

Był nareszcie znany, czytany, oglądany i rozumiany. Przygotowując w 1988 roku, dla toruńskiego wydawnictwa, trzeci numer *EUTOPY* poświęcony Józefowi Czapskiemu, szukaliśmy tekstów mało znanych a jednocześnie istotnych dla pisarskiej i artystycznej biografii malarza. Dlatego przypomnieliśmy, dziś już zapomniani, a wzbudzający w połowie lat 40-tych żywe reakcje, zwłaszcza wśród Polaków, „List otwarty Józefa Czapskiego do Jacques Maritaina i François Mauriac” oraz wspomnienia W.A. Zbyszewskiego i F. Lilpop-Krancowej. Napisałem wtedy: „Mówią, że już nie widzi, że już nie maluje; dyktuje kartki swojego pamiętnika, który jeżeli zostanie kiedy wydany w całości, to zajmie cztery

łokcie na półce z książkami, gdzieś pomiędzy «Próbami» de Montaigne, a «Rodziną Europą» Miłosza. Nie wiem, czy z tych przemyśleń tkanych filozofią, literaturą i malarstwem jest Pan Józef szczególnie dumny, czy może bardziej ceni swoje wspomnienia wojenne; oba łączy ten sam ciepły stosunek do ludzi, znajomych, przyjaciół, czasem konkurentów czy wrogów. Pogodzony z ciemnością (czy aby) ma Józef Czapski o ileż ostrzejszy wzrok od wielu z nas. Jego wspomnienia-listy o Miłoszu, Jeleńskim, Vincenzie, bardzo osobiste, stanowią część duchową spuścizny polskiej kultury — już nie tej dzielonej na Krajową i Emigracyjną, ale tej uniwersalnej, europejskiej. To nic, że z 93 lat życia kilkanaście tylko spędził w Polsce, zrobił dla niej przez kolejnych 50 lat o wiele więcej niż my tutaj, przywiązani wzrokiem do drogowskazu pod Bydgoszczą...”

W 1989 roku ukazał się w warszawskim niezależnym wydawnictwie PoMost zbiór kilkunastu mniej znanych artykułów Czapskiego pod wspólnym tytułem „Swoboda tajemna”, uzupełniony ośmioma kolorowymi reprodukcjami jego obrazów. Drukowane wcześniej, przy okazji reedycji zbioru wierszy Adama Zagajewskiego, rysunki z dzienników Czapskiego ukazywały jedynie zrzęczość zbyt pospiesznej kreski, nic nie mówiąc o kolorach tak istotnych dla ucznia Pankiewicza. „Swoboda tajemna”, będąc jedną z najpiękniej wydanych poza cenzurą publikacji, wypełniła ostatnią lukę w pełnym poznaniu niezwykle osobowości malarzkiej Czapskiego, o którym wszyscy myśleliśmy, że będzie żył wiecznie.

Fragment z dziennika:

„To Manet powiedział, że za każdym nowym obrazem ma wrażenie, że *rzuca się w przepaść*. To jest właśnie ten skok, ten niebezpieczny lot, o którym piszę — do ostatniej chwili nie wiemy, czy mamy skrzydła, które nas niosą, czy runiemy w przepaść”.

Mirosław Adam SUPRUNIUK

„Oddychać razem”

O Józiu wiedziałem, kiedy jeszcze nawet w fantazji nie przypuszczałem, że tak go kiedyś będę nazywał. O jego istnieniu dowiedziałem się od mojego starszego przyjaciela, ukraińskiego malarza Romana Turyna ze Lwowa, przed wojną odkrywcy słynnego potem lemkowskiego twórcy ikon i pejzaży — Nikifora. Było to podczas wojny. Turyn, który należał do grona malarzy polskich i ukraińskich, przebywających przed wojną wraz z Czapskim w Paryżu, doradzał mi, abym się jakoś dostał nad Sekwanę, bo tam „wszystko jest inne, kolorowe, a nie takie szare jak u nas”. A gdybym się tam znalazł, to powinienem odszukać malarza polskiego, Józefa Czapskiego, który tam może jeszcze jest, a on mi już ten Paryż pokaże w całym bogactwie...

Wtedy do Paryża nie dotarłem. Przyjechałem po raz pierwszy chyba na początku lat pięćdziesiątych. Trafitem do Maisons-Laffitte. Czapski mi Paryża nie pokazywał, musiałem go sam odkrywać i wydał mi się wcale nie taki kolorowy, jak opowiadał Roman Turyn, który w tym czasie siedział w Gułagu. Był listopad i Paryż był szary. Ale oko na kolory odkrył mi właśnie ten suchy jak szczapa, ogromny dryblas ze strasznie skrzeczącym głosem i nieziemskim uśmiechem. Tak się zaczęła moja przygoda z obrazami malarza i samym mistrzem — z początku „Panem Józefem”, potem po prostu „Józkiem”. Za każdym pobytem oglądałem coraz to nowe kolekcje, na piętunku albo w szopie na podwórzu. Lata płynęły, kolory w pracach Józka się zmieniały — a on trwał zawsze ten sam, ciekawski na wszystko, co mu donosiłem ze Wschodu. Zawsze podziwiałem w jego malarstwie i pisarstwie niezwykłą łatwość w chwytaniu ważnego elementu czy typowego szczegółu. Raz, kiedy akurat wróciłem z Chin i byłem tym, co tam widziałem, bardzo przejęty, Józku namalował mój portret i „złapał” moją jeszcze widoczną świeżą „chińszczyznę”.

Ale nade wszystko lubiłem go za humor, a miał go pod dostatkiem i to w rozmaitych wersjach. Jedną z nich były żarty urwisowskie. Ale najważniejsza warstwa — to był humor nie kpiarsko-cyniczny i złośliwy, ale jakby wypływający z serca i dobroci. Była w nim jakby ponadnarodowa, kosmopolityczna tkanka, pozwalająca na dostrzeganie fałszu i niemości. Dar ten dało mu chyba wędrowanie po świecie i kulturach i w czasie,

jak mało komu w kręgach moich przyjaciół i znajomych.

Dla mnie był fantastycznym, może po Jerzym Stempowskim ostatnim uosobieniem Polaka i Europejczyka, łączącego w sobie nierozdzielnie elementy Wschodu i Zachodu. Na próżno szukać dziś podobnej symbiozy w stolicach i prowincjach naszych krajów. Czapski był ostatnim odyńcem tej odeszłej epoki. Tamta epoka już dawno minęła i żyła tylko w nim i przez niego dochodziła do umysłów i fantazji jego otoczenia. Tego nam, młodszymi od niego, będzie teraz bardzo brakowało.

Obcowanie z Józkiem — niestety zawsze tylko sporadyczne i ułamkowe — w moim wypadku związane było również z jego ukraińskim kręgiem malarzy, nie tylko kapistów. Czasami rozmowy przechodziły na ogólne sprawy współżycia obu nacji. Kiedyś chciałem te rozmowy utrwalić na taśmie, aby po przepisaniu ogłosić gdzieś drukiem. Niewiele z tych zamysłów udało się ziścić. Ale pozostał jeden okruczek — zapis jego wspomnień i poglądów, noszący datę 11 grudnia 1986 roku. Oto tekst — jako dodatkowa cegiełka do wielorakich wspomnień o Nim:

„Po raz pierwszy spotkałem Ukraińców blisko na Akademii zaraz po wojnie w 1920 roku w Krakowie. Tam było kilku Ukraińców-malarzy, z którymiśmy się pokochali wprost i którzy razem z nami pracowali. Pierwszy był Buraczok, to był syn księdza ukraińskiego — sama wesołość, serce, dobroć. I razem z nim pracowaliśmy długo i dużo. I potem razem z nim — on należał do Kapistów, czyli do tej samej grupy którą ja założyłem — siedzieliśmy wiele lat w Paryżu. Kapiści to był Komitet Paryski, to była grupa malarzy gdzie byli Polacy, Ukraińcy, Żydzi, wszystkie narodowości, żadnego nacjonalizmu tam nie było. Ci, którzy zrozumieli, że trzeba jechać do Paryża, bo to był wielki moment francuskiego malarstwa, wyżebrali pieniądze na drogę i na sześć tygodni pobytu w Paryżu. Skończyło się na tym, żeśmy tam mieszkali sześć do siedmiu lat. Był jeszcze Roman Turyn, on nie należał do Kapistów, ale był z nami bardzo związany zawsze. Ja uważam, że w naszych stosunkach, jeżeli każdy ma o swoich winach coś powiedzieć, to winą polską jest stałe zadzieranie nosa, że oni są ważniejsi. A to jest nieprawda. Oni wcale nie są ważniejsi. Są tacy sami ważni jak tamci. I oni ich muszą czuć jako swoich rodzonych braci. Tylko tak można o tym myśleć. A przecież wprost i historycznie i tematycznie — te kraje muszą tak czy inaczej oddychać razem. Wcale nie z wspólnego panowania, ale z pełnej niezależności”.

Bohdan OSADCZUK

Książki

Obym się mylił!

Zetknąłem się z prozą Janusza Rudnickiego jeszcze chyba w końcowym okresie stanu wojennego. Debiutował w berlińskim *Archipelagu*; od razu uderzyła mnie „twardość” tej prozy, jej jakaś „nagość”: żadnych ozdóbek, żadnego „pięknego pisania”, prostota doprowadzona aż do chropowatości i zdania jakby kolokwialne, ale przecież domyślam się w ich kształcie świadomej pracy autora. Przez *Archipelag* nawiązałem z nim kontakt, zachęciłem do nadsyłania mi tekstów do Monachium; nie wszystkie, ale niektóre z nich (bo przecież radio ma wiele ograniczeń) wykorzystywałem. Były w tej prozie jakieś hotele azylanckie, zagubienie młodych ludzi wyrzuconych na obcy bruk, zawziętość i poczucie krzywdy topione w wódce, walka o byt, robota na czarno, pytania egzystencjalne stawiane na poziomie elementarnym, próby odbicia się od dna, nie zawsze uciwione. Kojarzyła mi się ta proza (i do dziś jakoś tak właśnie kojarzy) z obrazem, który głęboko zapadł mi w pamięć z podróży po Francji w lutym albo początku marca 82-go roku. Posuwałem się wolno w ciasnej kolumnie samochodów sunących w zimnym, zacinającym deszczu ze śniegiem ku przejściu granicznemu do Strasburga, kiedy na wjeździe na most na Renie zobaczyłem dwie oddzielone od siebie kilkunastoma metrami trójki siedzących w kucki, skulonych, okrytych ortalionowymi płaszczami i plandekami i po wiejsku z workami na głowach młodych ludzi (mężczyzn? dziewcząt? ale były na pewno także dziewczęta), a u stóp pierwszej, jak i drugiej grupy, o ich kolana opierały się wycięte z kartonów plansze z napisami flamastrem w języku niemieckim i francuskim, mówiącymi o głodowym proteście przeciwko wprowadzeniu w Polsce stanu wojennego. Tak ich właśnie, tych młodych Polaków, zapamiętałem (bo że byli to Polacy nie miałem najmniejszych wątpliwości) zastygłych nieruchomo, niemal jak gdyby pozbawionych twarzy, w tym deszczu ze śniegiem,

w zimnie zacinającym od rzeki, przed frontem tej kolumny samochodów, sunących niepewnie i obojętnie. W kilkusekundowej migawce.

Postacie z wczesnej prozy Rudnickiego takie były właśnie. Dla mnie. Najczęściej nie zaopatrzone przez autora w intelektualną motywację czynów, ich wyborów, działające spontanicznie i instynktownie w myśl zakodowanych gdzieś w podświadomości moralnych wskazań, może wynikłych z tradycji, może z jakiegoś podstawowego kodeksu. Taki też był na pewno najczęściej sam autor. Była to emigracyjna masa, magma, wyrzucona falą stanu wojennego na obcy brzeg, przelewająca się z bolesnym sykiem w miejscu, nie chcąc się cofnąć. Po jakimś czasie narrator, Rudnicki, z tej masy zdołał się wyłonić, stanął jak gdyby z boku. Solidarnościowo-bogoojczyźniany szum przekrzykujących się przy wódce nocnych Polaków rozmów pozostał gdzieś za nim, on odszedł; uczył się języka, pracował, zakorzenił się w inną glebę, dorabiał się jakiegoś skromnego statusu. Z tej fazy twórczości Rudnickiego pamiętam świetne opowiadanie, w którym narrator zostaje na dzień czy na dobę zatrudniony przez hamburską telewizję w charakterze tłumacza-przewodnika i z ekipą dziennikarsko-zdjęciową jeździ (prowadzi ją) po hotelach azylanckich, polskich melinach pijackich, miejscach pośrednictwa pracy na czarno i innych spotkań. Nie znalazłem tego opowiadania w tomie „Można żyć”, podobnie jak nie znalazłem kilku innych z tej pierwszej emigracyjnej fazy autora. Zastąpiły je opowiadania cofające narratorkę poza pierwszą emigracyjną fazę do kraju, próbując znaleźć mu rodowód (nawet jeżeli w niektórych nie Rudnicki jest narratorem — „Gieniuś” i „Paluszka”) i dalej opowiadania, które nazwałbym trzecią fazą twórczości autora z Hamburga.

W zbiorze te opowiadania właśnie znalazły się na pierwszym miejscu. Narrator — Rudnicki, to już nie tamten stojący nieco z boku, nasłuchujący i podpatrujący, którego jednak emigracyjna fala wciąż jeszcze omywa, ale już osobnik, który z „emigracyjności” wyrósł ostatecznie, zapuścił korzenie, który w obcym mu społeczeństwie znalazł sobie miejsce (nieważne, że nie na zbyt wysokim piętrze tego społeczeństwa, on tego nie wie), a bagaż przeżyć z kraju „jedyne go słusznego ustroju” i solidarnościowej rewolty czyni go (w jego własnych oczach) kimś od tego społeczeństwa ważniejszym, lepszym, wydaje mu się bowiem, że jest zaopatrzone jak gdyby w podwójną świadomość. Co upoważnia go (we własnym mniemaniu) do traktowania tego społeczeństwa jak gromady strasznych mieszczan, filistrów, z niewielką dozą pogardy i z bardzo dużą dozą lekceważenia. Nie zacierając swego pochodzenia, czuje się w tym społeczeństwie pewnie, przekonany o jego europejskości, o zaniku w nim resen-

tymentów (rzecz dzieje się przecież grubo przed neonazistowską czkawką, jaka nawiedziła Niemcy), korzysta z danych mu przez demokratyczne Niemcy możliwości bycia międzynarodowym Polakiem. I choć temu Polakowi na drodze od „emigracyjności” do „ponad-państwowości”, do owego europejskiego obywatelstwa co rusz wylazi z butów słoma, jak większości peerelowskiego chowu inteligentom, on tego nie widzi. W ogóle wielu rzeczy nie widzi. Narrator-Rudnicki. Że — na przykład — dla widza z zewnątrz większość bohaterów jego opowiadań może reprezentować najbardziej odpychający typ peerelowskiego chowu Polaka; małego „spryciaczka”, odzianego w dzinsy i wiatrówkę, najczęściej w pepegach na nogach, z chlebaczkiem pod pachą, koniecznie z wąsami *à la* Wałęsa; „spryciaczka” od drobnych interesów i kradzieży, którego jeszcze dziś pełno wokół niemieckich dworców wielkich miast, a w każdym razie do niedawna było pełno. Który swoją pychą, pewniactwem, hałaśliwością maskuje tylko głęboko ukryty kompleks niższości. Że owo wyobcowanie się jego, narratorkę, z „emigranckości” na pseudoeuropejską jest pełne nonszalancji i robi się miejscami nieznośne, zwłaszcza, gdy błazeństwami lub arogancją próbuje dowieść „porządny” Niemcom swojej mądrości i wyższości. I nie wie jeszcze, że owo wyobcowanie jest po prostu prostackim zadufaniem w sobie i wykrzywioną na wszystko, co nie jest „sobą”, gombrowiczowską pozą.

Czytałem kilka głosów krytyków; chwalą: że nie ma w książce Rudnickiego martyrologii, że żadnych narodowych cierpień, żadnego „dźwigania polskiego losu”. Rzeczywiście: nic z tego! Nie rozumiem jednak, dlaczego właśnie te wyróżniki, a właściwie ich brak, mają świadczyć tak dodatnio o jego prozie. Każdy naród ma jakiś swój los. Nie wydaje mi się, żeby jakikolwiek osobnik tego narodu mógł pozbyć się tego losu. Ten los idzie za nim czy on chce, czy nie chce. A czujna świadomość przeszłości tak bliższej, jak dalszej, tak złej, jak dobrej swego narodu, pozwala zwykle nie zatracić się w obcym świecie. I czasem nawet poświęcić się celowi wykraczającemu poza teraźniejszość. Brak tych wyróżników u Rudnickiego być może wynika z faktu, że na ogół postacie powołane przez niego do życia same nie bardzo wiedzą, kim są. Oczywiście, Polakami, ale co to znaczy, nie wiedzą, albo wiedzą tyle, że oznacza to mieszkańców obszaru między Bugiem a Odrą. Niewiele więcej. Niestety.

Myślę, że Rudnicki nie musi być chwalony za te braki właśnie. Braki postaci jego prozy i samego narratorkę. Jest w jego prozie wiele rzeczy rzeczywiście godnych pochwalenia. Sugestywność, ostrość w obserwacji szczegółu, brawurowy temperament, umiejętność kreślenia typów, poczucie humoru, paradoksu,

pełna optymizmu akceptacja życia. I stylistyczna świeżość. Wystarczy. A że mnie ewolucja jego prozy sprawia zawód, że mnie nawet niepokoi, gdyż dar lekkiego formułowania sądów znosi go niekiedy na manowce kabotyństwa. No cóż... może się myśleć. Obym się mylił! Chciałbym jednak, żeby się zastanowił. Bo że — można żyć? Pewnie, że można. Ale czy to nie za mało?

Włodzimierz ODOJEWSKI

Janusz Rudnicki — „Można żyć”, opowiadania, Wyd. Dolnośląskie, Wrocław 1992.

Poznański Przegląd Teatralny

Różnorodne kłopoty, z jakimi borykają się redakcje niskonakładowych czasopism literackich czy artystycznych, nie zniechęcają jakoś młodych pisarzy i krytyków do tworzenia i wydawania nowych pism. Przez dziesięciolecia na polskim rynku dominowały trzy pisma teatralne o ustalonym prestiżu: *Teatr*, *Dialog* i *Pamiętnik Teatralny* (oprócz nich ukazywało się parę innych, o mniejszym znaczeniu). W ostatnich latach pojawiły się trzy nowe tytuły, usiłujące złamać ten monopol albo przynajmniej proponujące inną formułę pisma teatralnego. W 1990 w Warszawie zaczął się ukazywać *Goniec Teatralny*, w 1991 we Wrocławiu *Notatnik Teatralny*, a w Poznaniu — *Poznański Przegląd Teatralny*. Wszystko prawie te pisma różni. *Goniec* był popularnym tygodnikiem kolportowanym w miastach posiadających teatr (w czerwcu 1992 przestał się ukazywać z powodu kłopotów finansowych); *Notatnik* jest kwartalnikiem poświęconym głównie współczesnej myśli teatralnej, *Poznański Przegląd* zaś to miesięcznik skupiony na lokalnym życiu teatralnym. Wydawcami tych pism są państwowe instytucje finansowane z budżetów miast, kolejno Centrum Edukacji Teatralnej Dzieci i Młodzieży w Gdańsku, Ośrodek Badań Twórczości Jerzego Grotowskiego i Poszukiwań Teatralno-Kulturowych we Wrocławiu oraz Ogólnopolski Ośrodek Sztuki dla Dzieci i Młodzieży w Poznaniu. (Podaję dane za ostatni okres; w dwóch przypadkach wydawca się zmienił). Łączy te pisma przede wszystkim fakt, że powstały dzięki uporowi i determinacji trzech osób: Macieja Nowaka, Krzysztofa Mieszkowskiego i Juliusza Tyszki.

Warto się bliżej przyjrzeć dziełu tego ostatniego, gdyż ze względu na swój wybitnie lokalny charakter, jest ono najmniej znane poza Poznaniem.

Juliusz Tyszka — pracownik naukowy Instytutu Kulturoznawstwa Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza, znawca recepcji Stanisławskiego w Polsce, kierownik literacki Teatru „Wierzbak” — założył *Poznański Przegląd Teatralny* z myślą o studentach kulturoznawstwa, którzy na łamach pisma mieli doskonalić swój warsztat, uczyć się dziennikarstwa i zdobywać umiejętności redaktorskie. Z tego tytułu oficjalnym współwydawcą *PPT* jest Koło Naukowe Kulturoznawców UAM. Juliusz Tyszka był redaktorem pierwszych dwunastu numerów, po czym przekazał redakcję całkowicie w ręce swoich uczniów. Obecnie redaktorem naczelnym jest Ewa Obrębowska-Piasecka.

Pierwszy numer ukazał się z początkiem 1991 r. w nakładzie 150 egzemplarzy i przypominał pisma podziemne z okresu stanu wojennego, gdyż wydany został przy pomocy identycznych technik. Z czasem *PPT* dorobił się doskonałego druku i papieru, kredowej okładki, a nawet — w jednym numerze — czarnobiałych fotografii. Nie zmienił się natomiast charakter pisma. Na łamach *PPT* omawiane są nadal wszelkiego rodzaju widowiska czy imprezy mające związek z teatrem, zarówno profesjonalne jak i amatorskie, prezentowane w Poznaniu. Redaktorzy i współpracownicy pisma recenzują wszystko: przedstawienia dramatyczne, operowe, operetkowe, baletowe i lalkowe, recitale, monodramy, kabarety, widowiska estradowe, wieczory poezji, przeglądy i festiwale, spotkania z ludźmi teatru. Dodać należy, że z rzadka pojawiają się również recenzje z przedstawień warszawskich czy krakowskich, a nawet relacje z wojaży zagranicznych.

Takie podejście do życia teatralnego ma wady i zalety. Słabością tej koncepcji pisma jest niewątpliwie zatracenie jakiegokolwiek poczucia hierarchii, bez niego zaś trudno sobie wyobrazić sensowne uprawianie krytyki. Otrzymujemy jednak za to pełny i prawdziwy obraz obecnego życia teatralnego. Próżno go szukać w warszawskich miesięcznikach skupionych na dokonaniach kilku najwybitniejszych twórców. Poznańscy recenzenci pokazują zaś i oceniają dzień powszedni polskiego teatru, na który składają się m.in. produkcje wszelkiego rodzaju scenek impresyjnych, różnej jakości monodramy etc. Jest to teatr z którym obcuje zwykli zjadacze chleba i przy pomocy którego zarabiają na życie, ruszając na prowincję, aktorzy często czołowych scen warszawskich i krakowskich. Recenzenci *PPT* są szczególnie wyczuleni na przejawy szmiry, tandety i hochsztaplerki. Obchodzą się przy tym dość bezceremonialnie z uznanymi wielkościami teatralnymi. Krytyczna recenzja ze spektaklu, na któ-

ry składają się wiersze Zbigniewa Herberta z cyklu „Pan Cogito” w wykonaniu aktora, któremu zresztą poeta dedykował jeden z utworów z tomu „Rovigo”, i jego żony, nosi wymowny tytuł „Myślę, więc zarabiam”.

W recenzjach — przynajmniej niektórych — widoczna jest niedojrzałość autorów. W *PPT* dominują raczej impresyjne zapisy w stylu z lekka pretensjonalnym. „Dlatego właśnie — pisze jedna z autorek po obejrzeniu spektaklu Kantora «Dziś są moje urodziny» — zaczęłam się bać. Dlatego dziś i być może zawsze będę czuła ten lęk, miała tę świadomość, że należą tylko do przeszłości, do świata iluzji”. Stosunek młodych autorów do teatru jest bardzo osobisty i emocjonalny. Na miejscu redaktorów większą wagę przywiązywałbym do umiejętności opisu przedstawienia czy nawet streszczenia fabuły dramatu lub scenariusza. Tak wyobrażał sobie naukę recenzenckiego rzemiosła zmarły przed paru laty znakomity krytyk teatralny — Konstanty Puzyna, na którego wypowiedzi z okresu jego fascynacji teatrem kontrkultury redaktorzy *PPT* lubią się powoływać.

— Oprócz sprawozdań, relacji i recenzji publikowane są na łamach *PPT* także wywiady, eseje i felietony. W esejach i wywiadach może najbardziej widoczne są zainteresowania młodych recenzentów i ich nauczyciela. Uwagę redaktorów *PPT* przyciąga bowiem teatr zrodzony w kręgu kontrkultury, któremu patronuje Jerzy Grotowski. Szczególnie cenione są w *PPT* dokonania poznańskiego Teatru Ósmego Dnia, otoczonego legendą kontestacji, udziału w ruchu opozycyjnym i przymusowej emigracji. W kilku numerach pisma drukowany był ogromny wywiad z Lechem Raczakiem, kierownikiem zespołu, pod znamienym tytułem „Mistrzowie”. Czytając *PPT* czasami ma się poczucie obcowania z pogrobowcami kontrkultury. Zainteresowania te wynikają chyba jednak nie z przesłanek ideowych, lecz są rezultatem naturalnej w młodym wieku potrzeby radykalizmu. Jest to chyba również reakcja na nijakość i letniość tradycyjnego, zawodowego teatru.

Na szczęście te fascynacje nie powodują bezkrytycznego nastawienia do zjawisk zrodzonych z ducha awangardy kontrkultury. Na ogół młodzi recenzenci bezbłędnie wyczuwają fałsz postaw i powierzchowność zastosowanych chwytów w spektaklach zespołów z tzw. *offu*, gdzie od lat dominują pseudoawangarda i pseudokontestacja. W każdym bądź razie na przestrzeni szesnastu dotychczas wydanych numerów *PPT* zaobserwować można, jak sądy o teatrze są coraz bardziej dojrzałe i ugruntowane.

Jak zapewnia redakcja, pismo redagowane jest bezinteresownie. Redaktorzy nie pobierają pensji, a autorzy — honorariów. Ta bezinteresowność ma swoje granice, gdyż coraz częściej pod

tekstem odnaleźć można notatkę, że autor wygłosił go w Radio „Merkury”, jak sądzę, inkasując honorarium. Wydawanie pisma — nie da się ukryć deficytowego — jest możliwe dzięki poważnym dotacjom. Sponsorami pisma byli Urząd Miejski i Uniwersytet im. Adama Mickiewicza, obecnie jest nim Urząd Wojewódzki. Poznań zapewne stać na luksus wydawania własnego pisma teatralnego. Nie sądzę zresztą, by *PTT* był jedynym pismem niskonakładowym dotowanym z tych budżetów. W tej chwili w Poznaniu wydawane są aż cztery pisma literackie z hałaśliwym, ale dość nijakim *Czasem Kultury* Grupińskiego na czele.

Pozostaje mieć nadzieję, że młody zespół *Poznańskiego Przeglądu Teatralnego* nie tylko obroni pismo, ale będzie doskonalił jego formułę i poszerzał krąg czytelników.

Rafał WĘGRZYŃIAK

Pożytki płynące ze szperania w gazetach

„Wiersze w gazetach”^{*} Jacka Łukasiewicza to kolejna praca tego krytyka poświęcona rozpoznaniu sytuacji polskiej poezji powojennej. Nie jest przypadkiem, że autor skupia się na funkcjonowaniu poezji w prasie codziennej i dodatkach literackich z lat 1945-1949. Ten okres to czas wzajemnego „dopasowywania się” rzeczywistości politycznej i kulturalnej w powojennej Polsce. Rok 1949 stanowi moment przełomowy, w którym następuje wprowadzenie w życie zasad socrealizmu jako jedynej obowiązującej (poza wyjątkami, jak w *Tygodniku Powszechnym*) „metody” literackiej. Lata poprzednie to okres „przygotowawczy”. Ale czy można go widzieć w perspektywie teologicznej, jako czas z góry przez komunistów na owo „przystosowanie” kultury do ideologii przeznaczony? Analizy Łukasiewicza dowodzą, że tak.

Autor zwraca uwagę na podwójną funkcję poezji w gazecie: „Używało się wiersza jako gatunku literackiego, jak i gatunku dziennikarskiego. Owa przynależność do dwóch porządków genealogicznych charakteryzuje sytuację wiersza w prasie codziennej”. Tak dawniej, jak nawet dzisiaj. Jak dalece jest to

* Jacek Łukasiewicz: *Wiersze w gazetach 1945-1949*, Wrocław 1992, s. 140, ISBN 83-229-0790-7, ISSN 0239-6661.

twierdzenie zasadne, zaświadczyć może niedawny spór o rolę, jaką odegrało zamieszczenie wiersza Wisławy Szymborskiej „Nienawiść” w *Gazecie Wyborczej*. W nr 7/8 *Kultury* (1992) pisał Andrzej Biernacki: „Wplątanie tego wiersza w kontekst polityczny (...) jest dziełem złej woli”. Podobnie, choć ostrożniej, ujął to Jan Pieszczachowicz: „Jego (wiersza) usytuowanie wzbudziło również moje wątpliwości, ponieważ utwór o wymowie uniwersalnej został jakby uwikłany w konkretny kontekst polityczny” (*Kultura* nr 12). Można tu tylko dodać, że to uwikłanie na pewno nie było przypadkowe — *Gazeta* drukuje wiersze w przypadkach absolutnie wyjątkowych. Jak więc widać, „używanie” poezji, o którym pisze Łukasiewicz, jest w gazetach praktyką stałą.

Jest, oczywiście, pytaniem otwartym, w jakim stopniu w ową sytuację uwikłany jest sam autor tekstu. A właśnie to pytanie lektura książki Łukasiewicza narzuca. Rzecz jasna, inaczej rzecz wyglądała wówczas, gdy redakcja sięgała po tekst już opublikowany i posłużyła się nim bez wiedzy i zgody autora, inaczej zaś, gdy autor sam przysyłał tekst gazecie. W tym drugim wypadku jest on w mniejszym lub większym stopniu świadom umieszczenia swojego utworu w dwóch różnych porządkach: porządku literatury i porządku publicystyki. „Wiersze w gazetach” to esej, który precyzyjnie wskazuje, jak nawet zgoła niewinne utwory — poświęcone przyrodzie czy zmianom pór roku — zaczynają funkcjonować w gazecie w całkiem nieprzewidzianych kontekstach (znakomity rozdział „Pory roku — zmiana kalendarza”). A i sami autorzy, do niedawna jeszcze bardzo „liryczni”, zwolna i prawie niedostrzegalnie zmieniają sposób obrazowania podlegając tej ewolucji, jakiej podlega prasa: „Jeszcze drukowano dużo poezji pejzażowej. A głównym zadaniem pozostawała zgoda narodo- (...) Ale już coraz więcej się zmieniało. (...) Pojednanie zastępowano wezwaniami do zaostrzającej się walki (...). Zmieniała się frazeologia, zmieniał się też kalendarz”. „Religiancki” Dzień Zaduszny zastępowało Święto Zmarłych.

Różnie owe zmiany realizowano: „Można było wtedy albo poprzez wyrabianie w czytelnikach postawy tolerancji, rozszerzając repertuar stylów przez nich akceptowanych, propagując postawę otwartą — przekonać ich do nowych sposobów wypowiedzi, albo też — gwałtownie i bezkompromisowo narzucając język — nawrócić słuchaczy na własną totalitarną ortodoksję. Pierwszą strategię można by nazwać od szczególnie ważnego pisma „czytelnikowskiego” — strategią *Przekroju*. Drugą była właśnie związana bezpośrednio i wprost z „nowomową”, tę nazwijmy od tytułu KC połączonych partii — strategią *Trybuny Ludu*. Rzecz jasna, ta druga strategia po roku 1949 stała się jedyną. Lecz przecież musiało nastąpić „przygotowanie”. I do tego

służyła ta pierwsza, która zarazem pełniła funkcje maskujące. Słusznie bowiem powtarza Łukasiewicz za Krystyną Kersten, że „otwarta” formuła marksizmu — reprezentowana m.in. przez takie pisma prasy „czytelnikowskiej” jak *Odrodzenie* czy *Kuźnica* — była jedynie fasadą mającą odwrócić uwagę od tego, co działo się w tym czasie na zapleczu systemu, szczególnie w jego ubec- kich piwnicach. Dlatego zasadne i ważne zdaje się jedno z podstawowych pytań postawionych w książce: „Czy ci poeci szli w paszczę lwa nie zdając sobie z tego sprawy? Czy też, mając nie- raz dobre katastroficzne przygotowanie, wiedzieli, że są w paszczę lwa?”. Łukasiewicz pozostawia tę kwestię otwartą: „Trudno odpowiedzieć generalnie i z całą pewnością. Raczej jed- nak nie zdawali sobie sprawy”.

Z generalną odpowiedzią autora wypada się zgodzić. Ale, rzecz jasna, przestaje ona obowiązywać w odniesieniu do poszcze- gólnych autorów. Kto nie wiedział i nie zdawał sobie sprawy: Wążyk i Jastrun, Woroszyński i Szymborska, Machejek i Bratny? Tu już należy dokonywać szczegółowej analizy.

Nie da się jej sensownie przeprowadzić bez odniesień do doświadczenia wcześniejszego od opisywanego w książce Łukasie- wicza. Decydujący, jak sądzę, zwłaszcza z perspektywy historycz- no-literackiej, wydaje się epizod lwowski z lat 1939-1941. Bez dokładnej analizy i zrozumienia tego doświadczenia analizy późniejszych muszą zawisnąć w próżni.

W żadnym wypadku nie mam zamiaru umniejszać tą uwagą pionierskiego znaczenia świetnej książki Łukasiewicza (która, nawiasem mówiąc, stanowi, podobnie jak tom „Oko poematu”, nawiązanie metodologiczne do jego „Szmaciarzy i bohaterów”). Tym bardziej, że praca ta odznacza się rzadkim dziś obiektywizmem, zmiernym raczej do zrozumienia niż osądzenia i „rozli- czenia”, jak to ma miejsce w przypadku interesującej skądinąd pracy jego nieco starszego kolegi, Jacka Trznadla („Hańba domowa”).

Jedno nie ulega wątpliwości — to kolejna próba opisanie i zrozumienia tego, co się w latach powojennych stało z polską inteligencją. Próba wiarygodna przez odwołanie się do źródeł, przez rzeczowość analizy i okiełznanie emocji. To dzisiaj rzad- kość. Dominuje dążenie do ewokowania efekciarskich osądów odwołujących się nie do rzeczywistości, lecz do mniemania o niej. To łatwiejsze, gdyż nie wymaga wysiłku. Łukasiewicz raz jeszcze dowodzi, jak sensowna, jak efektywna może stać się żmudna dłu- bania wsparta pracą poszukującego prawdy rozumu.

Leszek SZARUGA

„Wietrzne miasto” pod znakiem manifestu

W Chicago przezywanym przez Amerykanów „wietrzny miastem” powstała nowa grupa poetycka, na emigracji pierwsza chyba od czasu londyńskich „Kontynentów”. I ta, jak tamta, wprawdzie na zupełnie innej płaszczyźnie, rzuca wyzwanie literackiemu *establishment*’owi emigracyjnemu. Swoje stanowisko poetyckie i poniekąd społeczne grupa sformułowała w wydanym właśnie „Manifestie literackim”, opublikowanym w pierwszym numerze kwartalnika *Dwa końce języka*. Ten dwujęzyczny „Polsko-amerykański przegląd poezji” ma formę ośmiostronicowej gazetki, w której poza wspomnianym manifestem znajdują się utwory członków grupy, wolna trybuna poetycka pod nazwą „Poczta poezjożerców”, ogłoszenie konkursu literackiego i reklamy. Kwartalnik redaguje Adam Lizakowski, założyciel i kierownik literacki grupy, wraz z Arnoldem Warchałem i Dariuszem Wiśniewskim. Opracowanie graficzne — też swego rodzaju manifest, może nie tyle formalny, co tematyczny — jest dziełem Marka Hapona-Gerowita.

Ogłoszenie manifestu na ogół dobrze służy grupom niezależnie od wagi konfliktu. „Niezapłacony rent” (angielskie słowo oznacza czynsz, komorne) to coś więcej niż chęć drażnienia purystów językowych. Niejedna wieża z kości słoniowej sprowadzała się w gruncie rzeczy do „wspólnego” czy też do nieopłaconego pokoju, ale nie każda konwencja literacka pozwalała się do tego otwarcie przyznać. Warto tu podkreślić, że puryzm językowy emigracji politycznej odgrywał dwojaką rolę, był nie tylko protestem przeciw krajowej nowomowie, ale także obroną przed jakże lekko ferowanym w kraju wyrokiem, że pisarze emigracyjni skazani są na utratę języka ojczystego. Tymczasem poeci z chicagoskiej grupy w przekorny sposób stawiają czoła temu potencjalnemu zarzutowi.

Skończyła się emigracja polityczna, pozostali Polacy żyjący w diasporze. Ich życie nie jest mniej autentyczne, ani mniej godne literackiej mszy. Jeżeli „Niezapłacony rent” potrafi być głosem tej społeczności, będzie to może pierwszy taki głos. W manifestie czytamy: „Nazwa grupy poetyckiej sugeruje podmiot literacki, a także pozycję i rolę poety i poezji w polskim getto w Chicago. Zwężenie jednak całej sprawy do polskiego getta w Ameryce nie miałyby sensu. W chwili obecnej cały świat zmierza w dużych podskokach do zamknięcia się w niewidzialnych get-

tach. Dlatego pisząc polskie getto mamy na myśli nawrót do prymitywizmu, w tym przypadku współczesnego”.

Piąta strona kwartalnika poświęcona jest Rafałowi Wojaczkowi, którego dwudziesta rocznica samobójczej śmierci przypadła w ubiegłym roku. Tłumacz wierszy Wojaczka, Jan Kałuża, jako motto obrał sobie cytat z Artura Rimbaud, należałoby zatem przypuszczać, że na przecięciu tych dwóch poetyk plasałby się program poetycki grupy, która łączy etos bohemy z doświadczeniem getta. Samo wypowiedzenie głośno tego słowa jest niewątpliwie innowacją w oficjalnej literaturze i publicystyce na emigracji. Stosunek emigracji do siebie samej pełen był ambiwalencji. Zawsze jakoś nie wypadało się przyznawać do autentyzmu doświadczenia emigracyjnego, zawsze wypadało uważać, że emigracja jak księżyc tylko odbija światło kultury krajowej, lub jakiejś idealnej. Tymczasem poeci z „Niezapłaconego rentu” zdają się głosić, że mieszkańcy getta „też swój język mają”. Manifest podkreśla to prawo do samoistności gettowego doświadczenia, ale też do jednostkowości procesu pisarskiego. „Chcemy współpracować z każdym (ale nie ze wszystkimi)”.

Króciutki wiersz Adama Lizakowskiego pod tytułem „Poeta” jest poetycką wykładnią manifestu: Poeta powinien być psem/ który wkłada nos do śmietnika ulicznego/ wacha różę w carskim ogrodzie/ szczeka i wyje do księżycu/ nawet jeśli ten nie zwraca/ na niego uwagi”.

Nie ma w tym nic nadzwyczaj odkrywczego, nawet odwaga przyznawania się do wachania śmietnika nie jest czymś nowym, pozostaje jednak odwagą. Przy lekturze manifestu przypominała mi się scena w nowojorskiej kolejce podziemnej, której byłam świadkiem: młoda, trochę niezrównoważona Murzynka zadawała wszystkim pytanie: jak dojechać do getta? jak dojechać do getta? W końcu ktoś nie wytrzymał i powiedział: *Lady, we are in a ghetto, this is the ghetto*. (Jesteśmy w getcie, to jest getto). Uderzyło mnie wówczas, że nie jest łatwo powiedzieć wprost, bez uciekania się do sublimacji: „To jest getto”.

Jak każdy manifest, tak i ten formułuje swoje zarzuty: „Poeci, artyści byli dyskryminowani przez polityków, wszelkiego rodzaju działaczy tzw. obrońców polskości, prawdziwych patriotów, którzy skutecznie izolowali kulturę polską w Ameryce od szarych mas polonijnych przez długie lata. (Brak czasopism literacko-artystycznych, brak działów kulturalnych, programów radiowych, fundacji literackich, krytyków, recenzentów, etc., etc., etc.) Nazwa grupy sugeruje atak, jako kierunek literacki. Atak ten wymierzony jest przede wszystkim w tych, co próbują porównywać przeszłość polską z teraźniejszością amerykańską”.

Nie znam środowiska chicagoskiego, ale wydaje mi się, że inercja tzw. „szarych mas” jest w równej mierze winna tej izolacji,

co działalność polityków i działaczy. To fakt, że na emigracji brak pism literackich, fundacji, recenzentów, ale też fakt, że kilka najbardziej prestiżowych nagród literackich powstało właśnie na emigracji, że ambitne pisma mogłyby być jeszcze ambitniejsze, gdyby znalazły poparcie tych właśnie szarych mas. Prawdą jest też, że aby „masy”, szare czy jakiegokolwiek inne, popierały pisma, muszą tam znaleźć odbicie swoich spraw i swego bólu. Czy uda się to członkom grupy? Sprawa to dość złożona.

Prócz Adama Lizakowskiego, poety o znanym już dorobku poetyckim, do grupy należą: Maria Zamora, Marcisz Bielski, Hanna Powichrowska, Sławomir Mikowski, Adrian Wiśnicki, Dariusz Wiśniewski i Arnold Warchał. Trudno sobie wyrobić pogląd na ich twórczość na podstawie kilku polskich lub angielskich wierszy zamieszczonych w *Dwóch końcach języka*. Manifesty nie tworzą literatury i dopiero przyszłość pokaże, w jakiej mierze „Niezapłacony rent” zrealizuje swój program i czy opłaci swój literacki „rent” na chicagowskim Parnasie. Ale fakt, że grupa ta odczuła potrzebę sformułowania programu w nowej sytuacji polskiej diaspory, jest interesujący. Czuje się, że poeci z Chicago chcą zobaczyć swój „niezapłacony rent” równie gorąco, jak niedługo Lechoń w swoim programowym wierszu chciał „wiosną” zobaczyć.

Anna FRAJLICH

Izraelskie „Kontury”

Z końcem lata ubiegłego roku ukazał się w Tel-Awivie trzeci numer almanachu literackiego, wydawanego przez Związek Autorów Piszących po Polsku w Izraelu. Związek, założony w roku 1986, już dwa lata później obszernym tomem zaprezentował swe środowisko; w nocy redakcyjnej do owego pierwszego tomu można było przeczytać: „Związek zaprasza autorów, których łączy język i kraj pochodzenia, lecz różnią się oni, oczywiście, stylem, doborem tematyki, poglądami, osiągnięciami, itp. Każdy z członków Związku miał prawo do zamieszczenia swego tekstu w niniejszym zbiorze¹”. Od początku swego istnienia

1. *Kontury. Wybór prozy i poezji autorów piszących po polsku w Izraelu*. Tel-Aviv 1988, stron 154. Cyt. fragm. na str. 5.

Kontury miałyby być literackim dokumentem odrębnego i samoistnego, choć niezbyt liczego środowiska pisarskiego — na tom pierwszy, zawierający wyłącznie twórczość oryginalną w języku polskim (z zapowiedzią przedstawienia w przyszłości również twórczości przekładowej z literatury hebrajskiej) złożyły się utwory kilkunastu osób. Są to, w dziale prozy: Eli Barbur, Ruth Baum, Halina Birenbaum, Ida Fink, Natan Gross, Renata Jabłońska, Aniela Jasińska, Anna Kadary, Leo Lipski, Michał Tonecki; w dziale poezji: Łucja Gliksmann, Ida Henefeld-Ron, Jerzy Herman, Szoszana Raczynska, Jael Shalitt. Eseistykę reprezentuje szkic Ryszarda Löwa na temat obecności Antoniego Słonimskiego w literaturze hebrajskiej².

W następnym, 1989 roku ukazał się drugi tom *Konturów*, obok działów poezji i prozy wzbogacony działem wspomnień wojennych, oraz działem publicystyki, którego opracowanie okazało się możliwe — jak podaje nota komitetu redakcyjnego — dzięki otwarciu i rozwojowi wymiany kulturalnej z Polską. Środowisko pisma, obok pisarzy już wymienionych, rozszerza się — nowi autorzy w tym numerze *Konturów* to: Józef Bau (w dziale poezji) oraz Harry Berlin, Irena Bronner, Herbert Friedman, Eugenia Lewin i Edward Nejman (proza wspomnieniowa). Spoza kręgu Związku Autorów, gościnnie na łamach drugiego tomu almanachu teksty swe przedstawiają: Marian Grześczak, którego „Opowiadanie Kacperka” otwiera dział prozy, Henryk Grynberg (w dziale poezji) oraz — w dziale publicystyki — Jan Pietrzak, opowiadający o dziejach PRL-owskich kabaretu „Pod Egidą”. W tym samym dziale zasługują na uwagę: relacja pióra Renaty Jabłońskiej z przygotowania w Tel-Awivie teatralnej realizacji „Dybuka” Bialika przez Andrzeja Wajdę — wystawienie sztuki rozpoczęło Festiwal Izraela w 1988 roku — oraz opracowany przez Ryszarda Löwa zarys historii przekładów hebrajskich z literatury polskiej, od najdawniejszych z ubiegłego stulecia, zapoczątkowanych przez Juliana Klaczkę (dodajmy za autorem szkicu, że „język hebrajski jest tym językiem orientalnym, któremu w tłumaczeniach, zawsze bezpośrednich z oryginału, przekazano największą ilość polskiej poezji, dramatu, prozy beletrystycznej i eseistycznej, utworów dla dzieci i młodzieży³”).

Trzeci tom *Konturów* ukazał się po trzyletniej przerwie, jego wydawca to Federacja Związku Pisarzy Izraelskich, której częścią składową jest Związek Autorów Piszących po Polsku. W nocy wstępnej redakcja podejmuje ponownie próbę określenia specyficznej przeciwieństwa sytuacji twórczości pisarzy zrzeszonych w Związku Autorów: „Utwory zamieszczone w *Konturach* repre-

2. Ryszard Löw jest prezesem izraelskiego Związku Autorów.

3. Tom II, str. 152.

zientują twórczość, która będąc polską z języka, tradycji i częściowo z tematyki, jest zarazem izraelską i to nie tylko ze względu na miejsce jej powstania, także z powodu przenikania wpływów kulturowych, tematyki oraz zajmowanej postawy ideowej". Równolegle z aktualnymi sprecyzowaniami, jak powyższe, ulega rozwojowi poszukiwanie historycznej tożsamości środowiska pisma. I tak, obok stałych działów obecnych już w poprzednich numerach, formuła tomu trzeciego została znacznie rozszerzona. Dwa nowe działy należy tu wspomnieć. Jeden to wybór tekstów literackich i wspomnieniowych poświęconych tematowi zagłady, „W cieniu zagłady”. (Jest zresztą oczywiste, ponieważ mówimy o środowisku pisarskim Żydów polskich, że tematyka wojny i zagłady jest obecna na powierzchni lub w głębi wielu tekstów spoza tego działu, nie mogąc być pomieszczoną w żadnym jednym zamyśle formalnym; dział ten można rozumieć jako wybór głosów szczególnie wyrazistych literacko. Tekst pierwszy to osobiste wspomnienie Harrego Berlina o zagładzie getta wileńskiego; następnie wiersze Haliny Birenbaum, pozwalając wierzyć iż doświadczenie zgrozy i żalu nie musi zniszczyć miar poematu; „Z kalejdoskopu wspomnień” Ireny Bronner-Rothberg; dwie krótkie, wyraziste nowele Herberta Friedmana; obozowe wiersze Łucji Gliksman, oszczędne i przekraczające dosłowność; przypowieściowy poemat „Ballada o nienapisanym wierszu” Jerzego Hermana; dział zamyka krótkie opowiadanie wspomnieniowe Mieczysława Rolnickiego, zatytułowane „Tramwaj”.

Drugi nowy dział zapowiadany już w pierwszym numerze *Konturów* dział przekładów z literatury hebrajskiej i żydowskiej — tę drugą reprezentuje jedynie krótkie opowiadanie Cwi Ajzenmana, zarazem jedyne prozaika tłumaczonego do tego tomu (przekład autorstwa Stefana Bergmana i Jerzego Ficowskiego). Przekłady z poezji hebrajskiej tworzą niemal małą antologię, od poetów znanych i od dawna tłumaczonych na polski (jak Chaim Nachman Białik, Szaul Czernichowski, Izrael Emiot) do współczesnych i mało lub wcale dotychczas polszczyźnie nie przyswojonych (Szalom Szin, Natan Alterman, Lea Goldberg, Amir Gilboa, Jehuda Ofen, Chaim Guri, Natan Zach, Szlomo Zamir). Tłumacze wierszy to Jael Shalitt, Szoszana Raczyńska, Jerzy Ficowski i Natan Gross.

Kilka zdań jeszcze o zawartości stałych działów pisma w omawianym trzecim tomie. W dziale prozy, obok wspomnianej już miniatury prozatorskiej Cwi Ajzenmana, współczesnego prozaika piszącego w zanikającym języku jidysz, znajdujemy jeszcze: „W poszukiwaniu Marii” autorstwa Ruth Baum, opowiadanie z czasów powojennej emigracji, sięgające do korzeni wo-

jennych zakłóceń losów ludzkich; „Żyj i daj żyć innym”, krakowskie wspomnienia z lat dwudziestych i trzydziestych pióra Arie Braunera (ojciec autora był krawcem męskim, wśród jego klienteli przewijają się znane postacie krakowskie, jak prof. Estreicher, malarze Wojciech i Jerzy Kossakowie, Wincenty Wodziański, Henryk Uziębło i inni); liryczne opowiadanie Anny Cwiakowskiej „Czy pamiętasz jak ze mną tańczyłeś walca?...”; interesująca nowela Leo Lipskiego „Król Olch”. Dział poezji otwierają obrazowe i nasycone moralnym zaangażowaniem wiersze Józefa Bau, dalej delikatna liryka Łucji Gliksman, potrafiąca jednak sięgać do współczesnych konkretnych faktów (np. wiersz „Iperyt” lub obraz ptaków ginących w ropie naftowej w Zatoce Perskiej), następnie gorzka i ironiczna próba poetyczna Rafała F. Scharfa. Dział zamyka intelektualna poezja Jael Shalitt. Wreszcie dział publicystyki i reportażu: Natan Gross przedstawia „Krótki zarys dziejów filmu hebrajskiego w Palestynie i w Izraelu”, „Okopy w sypialni” Aleksandra Klugmana to notatnik korespondenta wojennego z wojny w Zatoce Perskiej w styczniu 1991, następnie szkic Ryszarda Łöwa do postaci Karola Dresdnera, lwowianina, poety, tłumacza, historyka literatury, edytora, zamordowanego przez Niemców w obozie Janowskim w 1942, na koniec wspomnienie Rafała F. Scharfa o Michale Borwiczu, pisarzu, postaci niezwyklej i złożonej, zmarłym w Paryżu w 1987 roku. Trzeci tom *Konturów* zamyka dział frazsek; autorzy to Łucja Gliksman, Jerzy Herman i Mieczysław Rolnicki.

Trzeba dodać, że tom trzeci został przygotowany w 85-tą rocznicę urodzin Stanisława Wygodzkiego, poety, prozaika i tłumacza (zmarłego w przeddzień ukazania się numeru, 8 maja 1992 roku). Twórczość Wygodzkiego została przypomniana wyborem z dwóch wydanych w warszawskim „Czytelniku” tomików wierszy (w 1963 i 1990 roku) oraz autobiograficznym tekstem „O samym sobie” (odpowiedź na ankietę *Arki* z 1986 roku); ten okolicznościowy dział jest zamknięty poetyckim szkicem do postaci Stanisława Wygodzkiego, pióra Krystyny Bernard-Stattler.

Paryż, styczeń 1993

Maciej NIEMIEC

Huculszczyzna

Huculszczyzna była do r. 1939 obok Podhala najbardziej chyba popularnym wśród turystów, letników, miłośników gór i folkloru zakątkiem ówczesnej Polski. Wśród starszego pokolenia w Polsce i na emigracji wiele jest osób, które pamiętają tę dziś legendarną krainę swej młodości lub dzieciństwa, niemało też słyszało o niej od rodziców. W pamięci narodowej — jeśli jest coś takiego — zachowało się dzięki temu wspomnienie o spienionych potokach i odwiecznych lasach, o niebosiężnych szczytach i bezkresnych połoninach, o pasterzach i zbójnikach huculskich. Gorzej jest zapewne z konkretną znajomością literatury poświęconej Huculszczyznie (niedawno dopiero wznowiono standardowe przedwojenne dzieło, „Huculszczyznę” Antoniego Ossendowskiego). Ale ilu Polaków śpiewających (po trzeźwemu) „Czerwony pas, za pasem broń” zdaje sobie sprawę, że pieśń ta wywodzi się ze sztuki „Karpaccy górale”, napisanej przez jednego z dziewiętnastowiecznych klasyków? A chyba nawet najwięksi miłośnicy tej krainy nie zdają sobie sprawy, że liczba autorów, którzy pisali o niej, przekracza pół tysiąca! Tyle mianowicie, bo około 550 nazwisk, zawiera indeks do wydanego we Wrocławiu dzieła „Huculszczyzna w literaturze polskiej”.

Historycy literatury są różni, jedni bardziej, drudzy mniej zasuszeni, a są i tacy jak w Polsce Wacław Borowy, a we Francji Charles Du Bos, którego pasjonującą biografię Benjamina Constant podsunął mi przed laty Józef Czapski. Do tej ostatniej kategorii należy też zaliczyć „Huculszczyznę” J.A. Chorożego (co nie oznacza bynajmniej, że nie odpowiada ona warunkom, jakie stawia nauka o literaturze, nie inaczej zresztą niż Borowy).

Tak wielką popularność tematu huculskiego wśród pisarzy i literatów — choć oczywiście nie wszyscy z nich są pisarzami najwyższego lotu — tłumaczy autor szeregiem następujących po sobie przyczyn, poczynając od oświeceniowego pre-romantyzmu, który pod wpływem Rousseau zaczął przeżywać uczuciowo opisy górskich widoków. Nie przypadkiem więc poeta Franciszek Karpiński (autor „Kiedy ranne... i „Do Justyny”) pozostawił też bardzo romantyczny opis spotkania z najśłynniejszym ze zbójników huculskich, Ołeksą Doboszem, który zjawił się w rodzinnym dworku poety w godzinę po jego urodzeniu i zamiast dokonać krwawej rzezi odszedł ugoszczony, zostawiając w podarunku trzy czerwone złote i prosząc, by na jego pamiętkę dziecku nadano na chrzcie imię Ołeksy.

Autor śledzi przemiany bohatera huculskiego oraz odczuwania gór (Czarnohory) przez blisko półtora stulecia. W miarę jak mieszkańcy miast zapoznają się z Huculszczyzną, jak drogi a następnie koleje udostępniają tę krainę, jak powstają letniska i uzdrowiska (aż po słynny zakład leczniczy zmienia się też stosunek Tarnowskiego w Kosowie huculskim) zmienia się też stosunek piszących do gór i do ludzi. Nie sposób streścić dzieła tak bogate, wspomnijmy więc tylko o najzupełniej dziś zapomnianych huculskich *bestsellerach* (aż cztery wydania!) Juliana Turczyńskiego z lat 1884-1909, a z czasów nowszych i z pisarzy bardziej znanych o Jarosławie Iwaszkiewicz, Jerzym Liebercie i Józefie Wittlinie.

Historia literatury widziana jest na tle wydarzeń politycznych, gospodarczych i społecznych, choć zawsze na pierwszym miejscu stoi literatura. Jest też rozdział poświęcony stosunkom między literaturą a sportem, a nawet polskiemu malarzom Huculszczyzny. Warto też podkreślić rozdział poświęcony wątkom huculskim w literaturze ukraińskiej, pierwszą w ogóle tego rodzaju próbę.

Dla czytelnika związanego uczuciowo z Huculszczyzną, lub choćby tylko zainteresowanego a pragnącego się z nią zapoznać, może więc ta książka stać się kopalnią cennych wiadomości o przeróżnych aspektach tej krainy; czytelnik, którego ciekawi historia literatury, znajdzie tu szereg poważnych analiz składających się na ambitną syntezę, pokazującą przemiany, jakim ulegał temat huculski od chwili wejścia do „skarbcza pamięci narodowej”.

Andrzej VINCENZ

Nadesłane nowości wydawnicze

RYMKIEWICZ (Jarosław Marek).

Umschlagplatz. Str. 248. (Wyd. JMJ, Oficyna Wydawnicza Gdańsk, 1992).

MARYNOWICZ (Sylwester). *Wyznania intymne czyli wiersze do córki*. Str. 224. (Wyd. polsko-angielsko-hispańskie, wyd. WOM, Kraków 1992).

ORLICKI (Jan). *Poprzez Starobielsk do Piątej Dywizji Kresowej*.

Str. 128. (Wyd. Oficyna Przekładu Powszechnego, Warszawa 1992).

Słownik uczestniczek walki o niepodległość Polski 1939-1945. Poległe i zmarłe w okresie okupacji niemieckiej. Str. 616. (Wyd. PIW, Warszawa 1992).

KACZYŃSKI (Tadeusz). *Rozmowy z Witoldem Lutosławskim*. Str. 168. (Wyd. TAU, Wrocław 1993).

- ZALESKA-OLEKSIKOWA (Irena). *Uny idom... Opowieści z Drozdówki*. Tom I. Str. 108. (Wyd. Myśl, Warszawa 1992).
- BERENC (Jerzy G.). *Przekłete ścieżki* Poezje. Str. 80. (Wyd. nie podane, Warszawa 1992).
- KONARSKI (Szymon). *O heraldyce i „heraldycznym” snobizmie*. (Wydanie poprawione, uzupełnione i rozszerzone z aktualnym spisem polskich rodzin utytułowanych). Str. 88. (Wyd. „Adiutor”, Warszawa 1992).
- SUCHCITZ (Andrzej). „*Non omnis moriar*”... Polacy na londyńskim cmentarzu Brompton. Str. 112. (Wyd. „Adiutor”, Warszawa 1992).
- MIECZKOWSKI (Romuald). *Powróć*. Str. 32. (Wyd. Oficyna Literatów i Dziennikarzy „Pod wiatr”, Warszawa 1992).
- HOSTOWIEC (Paweł, ie. Jerzy Stempowski). *Polacy w powieściach Dostojewskiego*. Przeł. na japoński Taro Odashima. (Nadbitka z *Meiji Gakuin Review*, vol. 36/1992, str. 47-82).
- TIMOSZEWICZ (Jerzy). „*Hamlet*” Henryka Józefowskiego. (Nadbitka z *Pamiętnika Teatralnego*, zes. 1/1991).
- FRISZKE (Andrzej). *Publicystyka Polski Podziemnej wobec zagłady Żydów 1939-1944*. (Nadbitka z *Polska-Polacy-Mniejszości narodowe*, Ossolineum, Wrocław 1992).
- Z dziejów Romerów na Litwie. *Nie ustawajmy więc w ochocie pisania... Z listów i dzienników trzech pokoleń*. Wybór, opracowanie i wstęp Danuta Komolowa. Str. 202, aneks i fotografie nlb. (Wyd. Krag, Warszawa 1992).
- Z dziejów Romerów na Litwie. *Pasmo czynności ciągiem lat idące...* Wybór, opracowanie i wstęp Anna i Andrzej Rosnerowie. Epi-
- log Andrzej Romer. Str. 338, ilustracje nlb. (Wyd. Krag, Warszawa 1992).
- KOSIŃSKI (Dariusz), ORZECZOWSKI (Emil). *Teatr polski poza krajem*. Str. 24. (Wyd. Fundacja Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, Poznań 1992).
- KAFKA (Franz). *Ameryka*. Przeł. Juliusz Kydryński. Str. 336. (Wyd. Puls, Londyn 1993).
- KAFKA (Franz). *Proces*. Przeł. Bruno Schulz. Str. 262 i 10 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1993).
- BARTH (John). *Koniec drogi*. Przeł. Andrzej Słomianowski. Str. 274 i 12 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1993).
- IWASZKIEWICZ (Jarosław). *Najpiękniejsze opowiadania*. Wybrał, ułożył i przedmową opatrzył Tomasz Burek. Str. 570 i 6 nlb. (Wyd. Puls, Londyn 1993).
- WNUK (Miłosz Piotr). *Car Miłosz i caryca Swietłana. Świt nowej Rosji*. Str. 76. (Wyd. Instytut Literacki Unii Narodów Słowiańskich, Milwaukee USA, 1992).
- GIZA (Jerzy). *Nowosądecka lista kатыńska*. Str. 131 i 5 nlb. (Wyd. Oficyna Literacka, Kraków 1991).
- SIEJAK (Tadeusz) *Dezerters*. Str. 344. (Wyd. BGW, Warszawa 1992).
- GOMBROWICZ (Witold). *Dziennik 1967-1969*. (Witold Gombrowicz, *Dzieła*, tom X). Str. 183 i 5 nlb. (Wyd. Wydawnictwo Literackie, Kraków 1992).
- GOWIN (Sławomir). *Białe tygodnie*. Wiersze. Str. 80. (Wyd. „Gazeta Nowa” i Urząd Miasta w Zielonej Górze, 1992).
- Władysław Tatariewicz — *bibliografia*. Opracował Janusz Krajewski. Str. 156. (Wyd. Ossolineum, 1992).
- ZIÓŁKOWSKA (Aleksandra). *Korzenie są polskie*. Str. 100 i 10 nlb. (Wyd. BGW, Warszawa 1992).

- ZAGÓRSKI (Zdzisław). *Spółczesność Polski współczesnej. Strukturalne konsekwencje reglamentacji*. Str. 252. (Wyd. Uniwersytetu Wrocławskiego, Wrocław 1992).
- MADEJ (Marek Grzegorz). *Z ciemności*. Wiersze. Str. 88. (Wyd. Oficyna Bibliofilów, Łódź 1993).
- KAMIENIECKI (Witold). *Historia i polityka warszawscy 1900-1950*. Str. 168. (Wyd. Towarzystwo Przyjaciół Ossolineum, Wrocław 1992).
- GRZEŠKOWIAK-KRWAWICZ (Anna, opr.). *Za czy przeciw ustawie rządowej. Walka publicystyczna o Konstytucję 3 Maja*. *Antologia*. Str. 280. (Wyd. IBL, Warszawa 1992).
- GŁOWIŃSKI (Michał, red.), ŁAPIŃSKI (Zdzisław, red.). *Pisanie Białoszewskiego*. *Szkice*. Str. 274. (Wyd. IBL, Warszawa 1993).
- Dokumenty i materiały Archiwum Polski Podziemnej 1939-1956*. Nr 1. Warszawa, styczeń 1993. (Wyd. Fundacja Archiwum Polski Podziemnej 1939-1956, Warszawa 1993).
- MACIEJEWSKI (Janusz, red.). *Literatura południa wieku. Twórczość lat sześćdziesiątych XIX stulecia wobec romantyzmu i pozytywizmu*. Str. 156. (Wyd. IBL, Warszawa 1992).
- Mickiewicziana w zbiorach Tomasa Niewodniczańskiego w Bitburgu*. Str. 332. (Wyd. Arkady, Warszawa 1993 przy współpracy Deutsches Polen-Institut w Darmstadtzie).
- Almanach Polonii 1993*. Str. 248. (Wyd. Stow. „Wspólnota Polska”, Warszawa 1993).
- FILIPOWICZ (Kornel). *Powiedz to słowo*. Str. 88. (Wyd. a5, Poznań 1992).
- KANDZIORA (Jerzy). „*Literatura*” Wiktora Woroszyńskiego — *poetycka formuła prozy autobiograficznej*. (Nadbitka z *Pamiętnika Literackiego* nr LXXXIII, 1992).
- CISŁO (Maciej). *Było jutro będzie wczoraj*. Wiersze. Str. 64. (Wyd. Przedświt, Warszawa 1993).
- Un demi-siècle de purgatoire. Entretien avec Tadeusz Konwicki recueillis par Stanisław Bereś*. Przeł. z polskiego Maryla Laurent. Str. 424. (Wyd. Editions Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1993).
- MROŻEK (Sławomir). *Théâtre 2; Oeuvres complètes III*. Przeł. Thérèse Douchy, Laurence Dyèvre. Str. 346 i 6 nlb. (Wyd. Noir sur Blanc, Montricher, Szwajcaria 1993).
- MAREK (Edmond). *Un chef-d'oeuvre inconnu: les Thrènes de Jean Kochanowski*. Str. 24. (Wyd. Club Polonia-Nord, Lille 1993).
- URBAN (Thomas). *Deutsche in Polen. Geschichte und Gegenwart einer Minderheit*. Str. 224. (Wyd. Verlag C.H. Beck, München 1993).
- Oberschlesisches Jahrbuch 1992*. Str. 300. (Wyd. Gebr. Mann Verlag, Berlin 1992).
- Studien zu Nationalitätenfragen* nr 8/1992. Str. 108. (Wyd. Ukrainische Freie Universität, Monachium 1992).
- HELLER (Edith). *Macht Kirche Politik. Der Briefwechsel zwischen den polnischen und deutschen Bischöfen im Jahre 1965*. Str. 264. (Wyd. Ost-West-Verlag, Kolonia 1992).
- ROMANOWICZOWA (Zofia). *Der Zug durchs Rote Meer*. Przeł. Josef Hahn. Str. 210 i 14 nlb. (Wyd. Suhrkamp Vlg., Frankfurt/M 1992).

KRAJ — BLOK WSCHODNI

8.2.93

W Polsce został zakończony proces nieodpłatnego przekazywania przez Skarb Państwa ziemi parafiom rzymskokatolickim. Znowelizowana ustawa z 1991 roku o stosunku państwa do Kościoła ustaliła, że można dać bezpłatnie poszczególnym parafiom po 15 ha ziemi, a tam gdzie są seminaria duchowne — nawet do 80 ha.

18.2.93

Rada Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa uchwaliła zaprzestanie sprowadzania do Polski prochów wybitnych Polaków oraz organizowania uroczystości pogrzebowych na koszt państwa. Uchwała dotyczy również prochów generała Władysława Sikorskiego — w latach 80-tych bowiem władze PRL czyniły starania o sprowadzenie prochów Generała i pochowanie ich w Katedrze Wawelskiej.

27.2.93

Romuald Spasowski, b. ambasador PRL w USA, pozbawiony obywatelstwa PRL i skazany za zdradę i szpiegostwo w 1984 r., niewinny przez Sąd Najwyższy w 1990 r., otrzymał postanowieniem prezydenta Wałęsy przywrócenie obywatelstwa polskiego.

1.3.93

Polska utrzymuje stosunki dyplomatyczne ze 161 państwami, a ze 121 wymieniła przedstawicieli dyplomatycznych. W Warszawie mieszczą się 73 ambasady oraz 13 przedstawicielstw organizacji międzynarodowych. Jest również 13 konsulatów generalnych i 5 agencji konsularnych. ■ Rusyfikacja Białorusi jest niezmiernie zaawansowana. Nie ma np. ani jednego uniwersytetu z białoruskim językiem wykładowym. Niestety do pogłębienia rusyfikacji przyczynia się również Kościół rzymskokatolicki w Polsce, który prowadzi kursy języka rosyjskiego dla kapłanów wyjeżdżających na Wschód — natomiast nie ma nauki języka białoruskiego czy ukraińskiego. ■ Zarząd polskiego PEN-Clubu przyznał w styczniu i lutym br. następujące nagrody:

— Nagroda 1992 za całokształt twórczości poetyckiej, prozatorskiej i eseistycznej (fundacja dr. Piotra Büchnera). Laureaci: Ewa Lipska (poezja), Piotr Wojciechowski (proza) i Stanisław Stomma (esej);

— Nagroda 1992 imienia Ksawerego Pruszyńskiego (fundacja dr. Mieczysława Pruszyńskiego). Laureaci: Leon Bójkó i Kazimierz Traciewicz;

— Nagroda 1992 imienia Jana Strzeleckiego. Laureat: Ireneusz Krzemiński;

— Nagroda stypendialna (fundacja Czesława Seyferta, Concord, Kalifornia, USA). Laureat: Erwin Kruk.

2.3.93

OBOP przeprowadziło sondaż na temat „Jakie narody cieszą się w Polsce sympatią?” — wyniki: Francuzi — 55 %, Amerykanie — 50 %, Włosi — 50 %, Anglicy — 41 %, Węgrzy — 41 %. Odczuwa się antypatię w stosunku do: Cyganów — 48 %, Ukraińców — 35 %, Rumunów — 34 %, Niemców — 31 %, Arabów — 31 %. Sondaż wykazał również, że co czwarty Polak jest przekonany, że w Polsce mieszka od 760 tys. do 3,4 mln Żydów, a co dzie-

siaty — że od 3,8 mln do 7,2 mln. Co trzeci mieszkaniec Polski jest przekonany, że Żydzi mają zbyt duży wpływ na kulturę, a czterech na dziesięciu — że mają zbyt duży wpływ na życie polityczne i gospodarce. ■ Prezydent Jelcyń wystąpił z wnioskiem, by ONZ przyznała Rosji status „gwaranta pokoju i stabilizacji na obszarze b. ZSSR”. Nie zostało sprycyzowane czy ma to dotyczyć krajów WNP, czy także Ukrainy i Republik Bałtyckich. ■ Projekt utworzenia Prezydenckiej Gwardii Narodowej został zaakceptowany przez Komitet Obrony Kraju, w skład którego wchodzi m.in. premier, ministrowie Spraw Wewnętrznych, Spraw Zagranicznych i Obrony Narodowej. Gwardia Narodowa ma osiągnąć liczebność 22 tys. ludzi zorganizowanych w 15-tu samodzielnych oddziałach. Ma być ona podporządkowana bezpośrednio Prezydentowi RP. ■ Papież przyjął rezygnację 75-letniego Sekretarza Generalnego Konferencji Episkopatu Polski, arcybiskupa Bronisława Dąbrowskiego, z obowiązków biskupa pomocniczego Archidiecezji Warszawskiej.

10.3.93

Przy uchwaleniu ustawy podatkowej Sejm cofnął wszystkie istniejące do tej pory przywileje, m.in. zwolnienie Kościołów od podatku „od tacy” oraz od jego działalności gospodarczej. Senat uchwalił poprawkę do ustawy, przywracając przywileje Kościołów. Sprawa jest z powrotem w Sejmie.

15.3.93

Staraniem Instytutu Badań Literackich PAN odbył się odczyt prof. Michała Głowińskiego w Pałacu Staszica pt. „Propaganda marcowa po ćwierćwieczu”.

16.3.93

Staraniem Koła Naukowego Polonistów Studentów KUL odbyła się w Lublinie konferencja naukowa poświęcona osobie i twórczości Józefa Mackiewicza. Wzięli w niej udział: Andrzej Sulikowski, Janusz Goćkowski, Andrzej Chmielarz, Jacek Trznadel, Olaf Swolkień, Tomasz Mianowicz, Jerzy Paszek, Kazimierz Orłó i Włodzimierz Odojewski.

2.6.93

W Teatrze Powszechnym w Radomiu odbędzie się I Międzynarodowy Festiwal Gombrowiczowski. Głównym organizatorem jest Teatr Powszechny im. J. Kochanowskiego w Radomiu. Spektaklami towarzyszyć będą wystawy prac scenograficznych.

ZACHÓD — EMIGRACJA

5.1.93

Zmarł w Chicago w wieku 80 lat ppłk Jan Morelewski („Roland”), wieloletni prezes Okręgu b. Żołnierzy A.K. w Stanach Zjednoczonych, współzałożyciel i pierwszy prezes Fundacji A.K. w Stanach Zjednoczonych.

22.1.93

Zmarł w Stanach Zjednoczonych Czesław Maliszewski, długoletni redaktor miesięcznika *Listy do Polaków*.

25.1.93

W 1992 r. CNRS (Francuska Akademia Nauk) nagrodziła Barbarę Romanowicz Srebrnym Medalem. To odznaczenie przyznano jej za podwójne osiągnięcia: jej własne badania i kierowanie przez dziesięć lat światową siecią stacji sejsmograficznych Geoscope. Z wykształcenia matematyczka, Barbara Romanowicz spotkała się z naukami o Ziemi przy okazji doktoryzowania się na Uniwersytecie Paris VII, a następnie w związku ze swoją pracą doktorską z astronomii o orbitach sztucznych satelitów w laboratorium geodezji Smithsonian Institute w Bostonie. Jej badania naukowe i liczne opublikowane prace bardzo zainteresowały Amerykanów. Barbara Romanowicz od roku kieruje siecią sejsmograficzną w Berkeley (uniwersytet kalifornijski), która pilnie bada trzęsienia ziemi w północnej Kalifornii. Jej zadanie: zmodernizowanie aparatury sieci oraz analiza danych. Przenacza na to trzy lata, a następnie powróci do Francji.

6.2.93

Zmarła w Albuquerque w wieku 92 lat Marion M. Coleman, bardzo zasłużona dla polskiej literatury i historii. Autorka i wydawca kilkunastu książek na ten temat.

22.2.93

Zmarł w Paryżu w wieku 82 lat Szymon Szyszman, jeden z ostatnich uczonych karaïmskich w Europie, autor pracy „Le Karaïsm”, która ukazała się w wydawnictwie L'Age d'Or, oraz szeregu opracowań dotyczących karaïmów w Bizancjum, na Krymie, na Litwie i w Egipcie.

23.2.93

Konsul generalny RP w Paryżu, p. Janikowski dekorował p. Adelę Żeleńską Krzyżem Kawalerskim Polonia Restituta za zasługi w pracy społecznej we Francji. P. Żeleńska była przez 10 lat przewodniczącą Komitetu Pomocy Inteligencji, Artystom i Studentom we Francji, przez 20 lat sekretarzem Towarzystwa Opieki nad Polskimi Zabytkami i Grobami Historycznymi we Francji. P. Żeleńska była ponadto znaną tłumaczką literatury polskiej na język francuski przed i po wojnie.

1.3.93

Organizacja *Aide à l'Eglise en Détresse* przyznała 145.300 dolarów na kształcenie 481 seminarzystów ukraińskich obrządku greckokatolickiego i katolickiego na studiach w Pradze Czeskiej, w Polsce i w Rzymie.

3.3.93

Mały jubileusz w redakcji *Kultury*: 50 lat współpracy Zofii Hertz z Jerzym Giedroyciem.

4.3.93

W Bibliotece Polskiej w Paryżu odbył się wieczór muzyczny z okazji 80-lecia Witolda Lutosławskiego, zorganizowany przez Towarzystwo Historyczno-Literackie i Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków we Francji.

5.3.93

Krzysztof Rutkowski rozpoczął na Uniwersytecie Paris VIII cotygodniowe seminarium na temat „Mickiewicz i Francuzi”.

12.3.93

W Centre du Dialogue OO. Pallotynów w Paryżu prof. Krzysztof Pomian wygłosił odczyt pt. „Polska w Europie”.

16.3.93

W Stacji Naukowej PAN w Paryżu odbył się odczyt prof. François Chapeville z Uniwersytetu Paris VII, na temat „Ingénierie génétique — progrès dans l'étude des génomes: bénéfices et dangers”. Przed odczytem ambasador RP w Paryżu, Jerzy Łukaszewski, wręczył profesorowi komandorię Orderu Zasługi. Poprzednio, w stacji PAN, miał miejsce 4 marca br. „Tydzień naukowego Wrocławia” połączony z wystawą książek naukowych wydawnictwa Ossolineum i Uniwersytetu Wrocławskiego. „Tydzień” był inaugurowany przez rektora Uniwersytetu Wrocławskiego, Wojciecha Grzebińskiego, oraz 16 stycznia br. „Wieczór ukraiński” z udziałem ambasadora Ukrainy, Jurija Koczubeja oraz ambasadora RP, Jerzego Łukaszewskiego. Referaty wygłosili: prof. Michel Cadot, X. Serge A. Wołkoński, p. Anne Klimov i prof. Remi Forycycki. ■ W Domu Polskiego Kombatanta w Paryżu prof. Eugeniusz Zaleski wygłosił odczyt na temat „Stosunki gospodarcze Polski ze Wschodem”. Wieczór został zorganizowany przez Koło „Paryż” Stowarzyszenia Polskich Kombatantów. ■ W Instytucie Polskim w Paryżu miał miejsce wernisaż prac Daniela Jerzego de Tramecourt.

24.3.93

Sławomir Mrozek w Księgarni Polskiej w Paryżu podpisywał trzy tomy swoich „Dzieł zebranych”, które ukazały się w wydawnictwie *Noir sur Blanc*, a Stanisław Beres swoją pracę pt. „Pół wieku czyścica — spotkania z Tadeuszem Konwickim”.

2.4.93

Staraniem Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie i Polskiego Uniwersytetu PUNO w Londynie odbyła się konferencja na temat „Nauka polska w podziemiu w czasie drugiej wojny światowej”.

25.4.93

W Londynie odbędzie się akademie jubileuszowa Zrzeszenia Ewangelików Polaków w Wielkiej Brytanii z okazji 50-lecia istnienia.

Stockholm, 21 luty 1993

Listy do Redakcji

12. II. 1993

Wielce Szanowny Panie Redaktorze,

W *Kulturze* nr 12/543, 1992, p. Adam Podgórecki z Ottawy uprawia się krótko a bezwzględnie z tym, co Andrzej Dobosz w *Kulturze* nr 9/510, 1992, napisał w swoich wspomnieniach dobrego o prof. Bronisławie Baczce.

Jak łatwo zauważyć, wspomnienia p. Andrzeja Dobosza odnoszą się do okresu o kilkanaście lat późniejszego od czasów, które przypomina p. Podgórecki. Potem przyszło traktowanie Baczki jako wroga, usunięcie go z Uniwersytetu, emigracja, działalność na emigracji... Nie jestem kompetentny, by zabierać głos o twórczości Prof. Baczki, ale z wielu stron słyszałem, że jego prace zyskały mu w świecie szerokie uznanie.

Tak się złożyło, że ja dopiero w ostatnich latach miałem kontakt z Prof. Bronisławem Baczką, a i to na razie niestety tylko korespondencyjny. O jego postawie jako człowieka usłyszałem jednak wiele dobrego.

W okresie stanu wojennego Prof. Bronisław Baczko stworzył zakonspirowany fundusz stypendialny, powierzony gronu wybitnych polskich uczonych; z funduszu tego skorzystało wiele źle wówczas widzianych osób, które mogły dzięki temu prowadzić twórczą pracę naukową.

Po upadku komunizmu w Polsce Prof. Bronisław Baczko ufundował dla uczczenia pamięci swej zmarłej małżonki nagrodę w wysokości \$1000, którą powierzył Towarzystwu Popierania i Krzewienia Nauk na najlepszą w Polsce pracę doktorską. TPKN rozpiisał w zeszłym roku konkurs o nagrodę im. Dr Aurelii Baczko na najlepszą pracę doktorską z dziedziny nauk bio-medycznych, obronioną w Polsce w roku 1991. Konkurs spotkał się z dużym zainteresowaniem, różne Wydziały i Instytuty nadesłały 26 prac; przyznano nagrodę i 2 wyróżnienia (ufundowane dodatkowo przez rodzinę Prof. Baczki), za naprawdę znakomite prace. W tym roku odbywa się następny konkurs o nagrodę.

Obecną postawę Prof. Bronisława Baczki uważam za niezwykle piękną i szlachetną. Mogę ją stawiać jako przykład głęboko obywatelskiej (w najlepszym sensie tego słowa) postawy polskiego uczonego, który był w swoim czasie przez komunistyczne władze zmuszony do emigracji z kraju.

Z wyrazami najgłębszego szacunku

Zbigniew Ryszard GRABOWSKI
(Prezes Towarzystwa Popierania i Krzewienia Nauk)

Szanowny Panie Redaktorze!

Polityka kadrowa polskiego MSZ nadal „śmiesz, tumani, przestrasza”. Mimo kilku lat niepodległości, trzon służby zagranicznej stanowią funkcjonariusze starego reżymu, którzy kończąc pracę za granicą są bez zwłoki umieszczani na eksponowanych stanowiskach w ministerstwie, względnie bezpośrednio kierowani na inne placówki dyplomatyczne. Wielu także z nowoprzybywających dyplomatów i urzędników konsularnych to „zasłużeni ale nie skompromitowani (!)” — o czym zapewnia się równie gorliwie, co nieprzekonywująco — weterani służb PRL. Ten, jak mówiono w PRL, „drugiej świeżości” skład personalny polskich ambasad i konsulatów jest okraszony nazwiskami kilkunastu powszechnie szanowanych naukowców i prominentów dawnej opozycji oraz wybitnymi lingwistami, stosownymi dla danego obszaru dyplomatycznego. Nieliczne (na szczęście) próby mianowania konsulami lokalnych znakomitości emigracyjnych w większości nie zdały egzaminu. Pytania, dlaczego sytuacja nie ulega poprawie, zbywano są w MSZ stereotypowo: BRAK KADR!

Zdumieniem napawa, że osobistości odpowiedzialne za MSZ i jego przyszły kształt dotąd nie pomyślały o utworzeniu podyplomowego studium czy wydziału służby zagranicznej. Takie dwu, najwyżej trzyletnie, specjalistyczne studia można było już od dawna zorganizować na jednym, czy nawet kilku uniwersytetach w Polsce. Odpowiednich wykładowców i słuchaczy na pewno nie brak. Już obecnie mielibyśmy pierwszych absolwentów, mogących reprezentować i dobrze służyć za granicą RP, a nie budzących przy tym zastrzeżeń natury ideologicznej. Ponadto tą drogą spełniłoby się wymóg odmłodzenia polskiej dyplomacji, której obecni reprezentanci często są w wieku przedemerytalnym.

Praktyka bezradnego rozkładania rąk i zastaniania się brakiem kadr prowadzi jedynie do bezterminowego uzależnienia się i posługiwania w służbie zagranicznej fachowcami z nomenklatury dawnego MSZ (oby tylko tego resortu!), oraz polegania na — z pewnością zacnych i wartościowych, ale w innych niż konsularno-dyplomatycznej dziedzinach — amatorach. Polsce pilnie potrzebni są zawodowi dyplomaci bez komunistycznego bagażu.

Łączę wyrazy szacunku i uścisk dłoni

Dr Zygmunt STANKIEWICZ

ODPOWIEDZI REDAKCJI

Czytelników nadsyłających nam swoje artykuły i utwory prosimy o pamiętanie, że Redakcja nie zwraca rękopisów nie zamówionych. Wobec nawału pracy odpowiadać będziemy tylko w niniejszej rubryce.

J. S. F., Polska — Wybraliśmy do druku wiersz *Palenie listów*.

S. D., Polska; J. L., Polska; A. G., Polska; R. M., Polska; J. S., USA — Z wierszy nie skorzystamy.

A. Sz., Polska — Wybraliśmy do druku wiersz *Chomik*.

A. T. B., Francja — Wybraliśmy do druku wiersz *Kropla i kamień*.

A. L., USA — Skoro Pana przekład Whitmana wejście do tomu planowanego już na maj, nie możemy go wydrukować w *Kulturze* (unikając dublowania).

E. D., USA — Z przysłanych nam przez Pana wierszy Mirosławy Krużewskiej wybraliśmy *Rozmowę z Piotrem*.

J. B. Australia — Artykuł Pana o wzorowej australijskiej tolerancji wydrukujemy, jakkolwiek trudno nie zapytać, dlaczego australijscy homoseksualiści odnoszą się niezbyt tolerancyjnie do uczuć australijskich wierzących.

S. D., Polska — Niezbyt udana wydaje nam się recenzja z tomu wierszy Krzysztofa Lisowskiego, natomiast chętnie wydrukujemy notę informacyjną o antologii współczesnej poezji ukraińskiej.

T. S., Polska — Pana *Głód sensu* budzi sympatię i uznanie jako próba powieściopisarza, który postanawia, nie mając wykształcenia filozoficznego, podzielić się z czytelnikiem swoimi rozmyślaniami i refleksjami o życiu. Ale jest to duża książka, której wydanie — w naszych warunkach — nie wchodzi nawet w rachubę. A rzecz stanowi tak organiczną całość, że próżne byłoby poszukiwanie fragmentów do druku w czasopiśmie.

Włoski korespondent „Kultury”: Gustaw HERLING-GRUDZIŃSKI
Napoli, via Crispi 69. — Telefon: 66 57 28.

Wydawca: INSTITUT LITTERAIRE
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi, 78600 Maisons-Laffitte.

Le directeur de la publication: Jerzy Giedroyc.
Commission Paritaire N° 60789.
Dépôt légal: 2^m trimestre 1993.

Photocomposition: AKTIS S.A.R.L.
42, av. de Wagram, 75008 Paris
Imprimé en France.
N° d'imprimeur 1377-1993

PRZEDSTAWICIELSTWA	Egz. poj.	Prenumerata	
		1/2-roczna	roczna
Ceny na rok 1993			
AFRYKA POŁUDNIOWA: Dr F. Kaluza, 214 Giovanetti Str. New Muckleneuk, Pretoria 0181	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
ARGENTYNA: «Libreria Polaca», Serrano 2076, 1425 Buenos Aires	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
AUSTRALIA: Księgarnia Polska VISTULA, King York House, 32, York St., 6 Floor, Suite 2, Sydney, NSW 2000. Tel.: 29 1248	\$ A. 15,00	\$ A. 90,00	\$ A. 160,00
AUSTRIA: Księgarnia Polska, 1070 Wien, Burggasse 22. Tel.: (1) 52-63-114	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BELGIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
BRAZYLIA: prosimy o przysyłanie należności za prenumeratę do administracji «Kultury»	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
DANIA: O.T. Zalewski, Postboks 41, 2880 Bagsvaerd	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
FRANCJA: do nabycia w redakcji «Kultury» i w księgarniach polskich w Paryżu	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
HOLANDIA: Barbara Malak-Minkiewicz, Reguliersgracht 46/II, 1017 LS Amsterdam. Tel.: (20) 62-61-623	Fl h 20,00	Fl h 110,00	Fl h 210,00
IZRAEL: Księgarnia Polska, E. Neustein, 94, Allenby Rd., Tel-Aviv, P.O.B. 29443. Tel.: 621311	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
KANADA: Krystyna Krakowska, 770 Cr. Picard, Ville Brossard, P.Q. J4W 1S5, Tel.: (514) 465-2362; Baltazar Krasuski, 8, Neilor Crsc., Etobicoke, Ont., M9C 1K4; Very rev. D.M. Malinowski, 3817 Laurel Dr., Royston, B.C., VOR 2V0. Tel.: (604) 338-80-40; Z. Micherdziński, 285-287 Ottawa St. N., Hamilton, Ont. L8H 3Z8. Tel.: 545-2115; Księgarnia Polska w Ottawie, Andrzej Lifsches, 512 Rideau Street, Ottawa, ON K1N 5Z6, tel.: (613) 230 82 60, FAX (613) 235 01 63	\$ can. 13,00	\$ can. 75,00	\$ can. 140,00
NIEMCY: Kubon & Sagner, Buchexport-Import, Hessstrasse 39/41, Postfach 340108, D 8000 München 34. Tel.: (089) 52-20-27; Księgarnia Wawel, Stephanstr. 11, 5000 Köln, I. Tel.: 0221/24-61-60	DM 17,00	DM 100,00	DM 185,00
NORWEGIA: Zb. Tyszkó, Toppenhaugberget 14, 1353 Baerums Verk. Tel.: 51-20-55	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
SZWAJCARIA: Krystyna Wasung, 4, Avenue Cardinal Mermilod, 1227 Carouge/GE, tel.: 343 05 84	F.S. 15,00	F.S. 90,00	F.S. 160,00
SZWECJA: Norbert Żaba, Kalskärgsgatan 3/IV, 115 33 Stockholm. Tel.: (08) 660-15-70. Postgirokonto Nr 48 82 34 6	K.S. 60,00	K.S. 330,00	K.S. 650,00
U.S.A.: Ada Dziewanowska, 3352 No Hackett Avenue, Milwaukee, Wis. 53211; St. Kwiatkowski, 4749 W. 11 St., Cleveland OH, 44109. Tel.: (216) 351-8219; Halina Kościuch, 41963 Utica Road, Sterling HTS, MI 48078; POLONIA Bookstore, 2886 Milwaukee Avenue, Chicago, IL 60618. Tel.: (312) 489-2554; Jan Wójcik, 674, Farmington Avenue, New Britain, Conn. 06053; Księgarnia Ludowa, Peoples Book Store, 5347, Chene Street, Detroit, Mich. 48211; Szwede Slavic Books, 2233, El Camino Real, Palo Alto, Cal. 94302. Tel.: (415) 327-5590 & 851-0748; Księgarnia «Nowego Dziennika», 21, West 38th Street. New York, N.Y., 10018. Tel.: (212) 354-0492	\$ US 11,00	\$ US 60,00	\$ US 116,00
WIELKA BRYTANIA: Orbis Books (London) Ltd., 66 Kenway Rd., London SW5. ORD. Tel.: (01) 370 2210	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00
WŁOCHY: Elżbieta Zahorska, 00183 Roma, via Gallia 60 Int. 27. Tel.: 75-67-241	F. 55,00	F. 320,00	F. 600,00

W krajach niewymienionych prenumerata roczna — F. 600; półroczna — F. 320.
Przesyłka pojedynczego numeru — F. 6,00.

Należności wysyłane pocztą prosimy przekazywać na nasze konto pocztowe.
INSTITUT LITTERAIRE, 91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi,
par 78600 MAISONS-LAFFITTE — C.C.P. PARIS 18 228-56 W (z Francji)
lub C.C.P. PARIS 18-228-38 B (z zagranicy).

Nowości wydawnicze

BIBLIOTEKA «KULTURY»

TOM 476 — SMECZ

Z UKOSA

Wybór felietonów o Polsce od maja 1990 do sierpnia 1992.

Str. 224

Cena F. 95

TOM 477 — ROMAN ZIMAND (Leopolda)

MATERIAŁ DOWODOWY

Szkice drugie

Pośmiertnie wydany tom esejów znanego pisarza. Zawiera działy: O NARODACH, PODRÓŻ I O PODRÓŻY, MATERIAŁ DOWODOWY.

Str. 312

Cena F. 120

TOM 479 — ZESZYTY HISTORYCZNE

ZESZYT STO TRZECI

zawiera opracowania: Mirosław Czech: *Kwestia ukraińska w III Rzeczypospolitej*; Andrzej Friszke: *Memoriał polityczny Adama Bienia (kwiecień 1944)*; Z.S. Siemaszko: *Ujawnione dokumenty katyńskie*; Jerzy Timoszewicz: *Z dziejów Teatru Wileńskiego. Parę uwag o latach 1832-1864*; Maria Turlejska: *Uwagi o tzw. „Wspomnieniach W. Gomułki”*; Krzysztof Tarka: *Epigoni Wielkiego Księstwa Litewskiego — Krajowcy wileńscy 1937-1939*; *Dezerccje Żydów z Armii Polskiej na Wschodzie*; Dora Kacnelson: *Kustosz Władysław Abramowicz*; Nika Kłosowska: *Fragmenty wspomnień*; Walentyna Najdus-Smolarowa: *Lwów obecnie*; Bogusław Bakula: *W oczach historyków*; Piotr Wandycz: *O dyplomacji II Rzeczypospolitej*; Wojciech Krzyżanowski: *Źródłowa praca o żołnierzach polskich w Rumunii*; Adam W. Kulik: *„Obrządek słowiański w dawnej Polsce” czyli krzyżowanie historii*; Andrzej Suchcitz: *W cieniu Kapitolu*; Tadeusz Wyrwa: *Słownik biograficzny kobiet poległych w walce w okresie okupacji niemieckiej*; Andrzej Chwalba: *Wykłady historyczne Józefa Piłsudskiego*; Hanna Świdarska: *Przyczynki do „rozrachunków z sanacją”*; Andrzej Friszke: *Listy Macieja Rataja do A. i S. Urbanowiczów*; Józef Dużyk: *Historycy; Polskie służby specjalne a organizacje emigracyjne na Zachodzie oraz bogaty dział LISTÓW.*

Str. 240.

Cena F. 90,00.